

ANDREA
Camilleri



Głos skrzypiec



NOIR SUR BLANC

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

Od autora

Andrea Camilleri

**GŁOS
SKRZYPIEC**

Przełożył
Jarosław Mikołajewski

Noir sur Blanc

Tytuł oryginału: LA VOCE DEL VIOLINO

Opracowanie redakcyjne: MIROŚLAW GRABOWSKI

Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA

Fotografia na okładce: TOMASZ LEC

Opracowanie graficzne serii: OLGIERD CHMIELEWSKI

Copyright © 1997 Sellerio Editore, via Siracusa 50, Palermo

For the Polish edition

Copyright © 2008, Noir sur Blanc, Warszawa

Wydanie I elektroniczne

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7392-423-9

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

Księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

1

Kiedy komisarz Salvo Montalbano otworzył okiennice sypialni, natychmiast się przekonał, że nadchodzący dzień na pewno nie będzie należał do udanych. Była jeszcze noc, do świtu brakowało co najmniej godziny, lecz przez rozrzedzoną ciemność można było zobaczyć, że niebo pokrywają ciężkie, deszczowe chmury, a morze, z wyjątkiem jasnego pasma plaży, jest nastroszone jak pekińczyk. Odkąd maleńki przedstawiciel tej psiej rasy, cały wyfiokowany, zaatakował go ze wściekłym jazgotem, który miał udawać szczekanie, i boleśnie ugryzł w łydkę, Montalbano właśnie do pekińczyka porównywał wzburzone morze w chwili, gdy krótkie, chłodne porywy piętrzyły na nim miriady drobnych fal, przystrojonych w żalosne pióropusze piany. Jego nastrój jeszcze się pogorszył, kiedy uprzytomnił sobie, jak nieprzyjemne czeka go dziś zajęcie: o poranku miał jechać na pogrzeb.

Poprzedniego wieczoru odkrył w lodówce świeżutkie sardele, które kupiła mu Adelina – sprzątaczką i kucharką w jednej osobie – więc przyrządził z nich sałatkę, spryskał obficie sokiem z cytryny i oliwą, posypał świeżo utartym pieprzem i dosłownie pochłonał, ale cały efekt popsuł mu jeden telefon.

– Halo, pan komisarz? To pan w swojej osobie?

– Ja w mojej osobie, Catarella. Możesz mówić śmiało.

Catarellę posadzono w komisariacie przy centralce telefonicznej, w mylnym przekonaniu, że na tym stanowisku może wyrządzić mniej szkody niż gdziekolwiek indziej. Po kilku spektakularnych aktach wkurwienia Montalbano zrozumiał, że jedynym sposobem na to, by się z nim w ogóle

dogadać w przewidywalnych granicach obłędu, jest stosowanie tego samego języka.

– Proszę o przebłaganie i wyrozumienie, panie komisarzu.

Montalbano nastawił uszu. Kiedy Catarella prosił o przebaczenie i wyrozumiałość, a jego tak zwana włoszczyzna stawała się ceremonialna i odświętna, znaczyło, że sprawa jest poważna.

– Mów śmiało, Catarella.

– Trzy dni temu szukano właśnie pana, panie komisarzu, ale pana osoby nie było, a mnie wypadło z głowy złożenie o tym powiadomienia.

– Skąd dzwoniło?

– Z Florydy, panie komisarzu.

Montalbano załamał się, i to dosłownie. W przebłysku myśli ujrzał siebie w dresie podczas porannej przebieżki w towarzystwie dzielnych, wysportowanych amerykańskich policjantów z brygady antynarkotykowej, którzy dostali polecenie, by współpracować z nim przy jakimś skomplikowanym dochodzeniu dotyczącym handlu narkotykami.

– Zaspokój moją ciekawość, jak ze sobą rozmawialiście?

– A jak mieliśmy rozmawiać? Po włosku, panie komisarzu.

– Powiedzieli ci, czego chcą?

– Pewnie, wszystko o wszystkim mi powiedzieli. Powiedzieli, że zamarła żona wicekwestora Tamburino.

Nie mógł się powstrzymać, by nie odetchnąć z ulgą. Nie z Florydy do niego dzwoniło, tylko z komisariatu we Floridii koło Syrakuz. Caterina Tamburrano od dawna ciężko chorowała, więc wiadomości o jej śmierci można się było spodziewać.

– Panie komisarzu, czy to wciąż pan?

– Tak, to wciąż jestem ja, Catarella, we własnej osobie.

– Powiedzieli również, że pochówek pogrzebowy odbędzie się w czwartek rano o dziewiątej.

– W czwartek? Czyli jutro rano?

– Tak jest, panie komisarzu.

Zbyt blisko przyjaźnił się z Michele Tamburrano, by nie jechać na pogrzeb pod pretekstem, że ten nie powiadomił go osobiście. Z Vigaty do Floridii czekało go co najmniej trzy i pół godziny jazdy.

– Słuchaj, Catarella. Mój samochód jest u mechanika. Przyślij mi wóz służbowy do domu, do Marinelli, jutro o świcie, punktualnie o piątej. Uprzedź komisarza Augello, że rano mnie nie będzie i wrócę zaraz po południu. Czy dobrze zrozumiałeś?

Kiedy wyszedł spod prysznic, skórę miał w kolorze langusty: żeby zrównoważyć uczucie chłodu, jakiego doznał na widok morza, zdecydowanie przesadził z temperaturą wody. Zaczął się już golić, gdy usłyszał, że nadjeżdża samochód. Któż zresztą w promieniu dziesięciu kilometrów mógł go nie słyszeć? Auto zajechało z prędkością ponaddźwiękową, zatrzymało się z potężnym jazgotem, wystrzeliwując we wszystkich możliwych kierunkach serie żwirowych pocisków, aż wreszcie rozległ się rozpaczliwy ryk rozgrzanego do białości silnika, rozdzierający szczęk zmiany biegów, ostry zgrzyt buksujących opon i poleciała kolejna seria żwirowych pocisków. Kierowca zawrócił, ustawiając się przodem w kierunku celu podróży.

Komisarz wyszedł z domu, gotowy do drogi. Gallo, dyżurny kierowca komisariatu, nie krył zadowolenia.

– Niech pan popatrzy, komisarzu! Tutaj, na ślady! Co za manewr! Samochód dosłownie się złożył!

- Gratulacje – burknął ponuro Montalbano.
- Mam włączyć syrenę? – spytał Gallo przed odjazdem.
- Wsadź ją se w dupę i zawyż – warknął komisarz i zamknął oczy. Nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę.

Kiedy tylko Gallo, który cierpiał na syndrom Indianapolis, zobaczył, że przełożony ma zamknięte oczy, zaczął przyspieszać, pragnąc uzyskać prędkość na miarę przypisywanych sobie umiejętności prowadzenia pojazdu. I nie minęło nawet piętnaście minut, jak przywalił. Na zgrzyt hamulca Montalbano otworzył oczy, ale nic nie zobaczył. Głowa najpierw poleciała mu gwałtownie do przodu, następnie cofnęła się pod naciskiem pasa bezpieczeństwa. Potem rozległ się przeraźliwy zgrzyt blachy o blachę i zapadła magiczna, grobowa cisza, przerywana tylko szczebiotem ptaków i szczekaniem psów.

– Nic ci nie jest? – spytał komisarz, widząc, że Gallo rozmasowuje sobie pierś.

– Nie. A panu?

– Też nie. Co się stało?

– Kura przebiegła przez drogę.

– Nigdy nie widziałem, żeby kura przebiegała przed pędzącym samochodem. Zobaczmy, jak wygląda wóz.

Wysiedli. Wokół nie było żywego ducha. Na asfalcie ciągnęły się ślady długiego hamowania, a na samym ich początku widać było ciemną kupkę. Gallo podszedł do niej i zawołał triumfalnie:

– A nie mówiłem?! To kura!

Ewidentne samobójstwo. Samochód, w który walnęli, rozbijając mu cały tył, musiał być przepisowo zaparkowany na poboczu, lecz siła uderzenia

ustawiła go nieco ukosem. Ciemnozielony renault twingo stał przy wjeździe w polną alejkę, prowadzącą do oddalonej o trzydzieści metrów piętrowej willi z pozamykanymi oknami i drzwiami. Samochód policyjny miał zmiążdżony reflektor i pogięty prawy błotnik.

– I co teraz? – spytał zmartwiony Gallo.

– Jedziemy. Myślisz, że nasz samochód jest na chodzie?

– Zobaczymy.

Na wstecznym biegu, ze zgrzytem, Gallo wyrwał swoje auto z kleszczy twingo. I znów żaden z mieszkańców willi nie pokazał się w oknie. W pobliżu nie było innych zabudowań, więc renault musiał należeć do kogoś z domowników. Widocznie wszyscy spali jak zabici. Kiedy Gallo oburącz próbował odciągnąć błotnik od opony, Montalbano zapisał na karteczce numer telefonu komisariatu i włożył ją pod wycieraczkę.

Jak już coś nie idzie, to święty Boże nie pomoże. Po półgodzinnej jeździe Gallo znów zaczął masować sobie klatkę piersiową, a twarz co jakiś czas wykrzywił mu bolesny grymas.

– Poprowadzę – powiedział komisarz.

Gallo się nie sprzeciwił.

Na wysokości Feli, zamiast jechać prosto autostradą, Montalbano skręcił w odnogę prowadzącą do centrum miasta. Gallo nie zauważył tego manewru, powieki miał opuszczone, głowę opierał o szybę.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, otwierając oczy dopiero w chwili, kiedy samochód zaczął się zatrzymywać.

– Przed szpitalem w Feli. Wsiadaj.

– Ale to nic takiego, panie komisarzu.

– Wsiadaj. Ktoś musi cię zbadać.

– Ale zostawi mnie pan i pojedzie dalej. Zabierze mnie pan po drodze, wracając do Vigaty.

– Nie pleć bzdur. Idziemy.

Badanie, któremu poddano Galla – osłuchiwanie, trzykrotne mierzenie ciśnienia, prześwietlenia i tym podobne – trwało ponad dwie godziny. Wreszcie orzeczono, że nie ma żadnych złamań, ból został wywołany niefortunnym uderzeniem o kierownicę, a stan osłabienia to reakcja na lęk, jakiego kierowca doznał w chwili wypadku.

– I co teraz? – spytał Gallo, który wydawał się coraz bardziej przybity.

– A co ma być? Jedziemy dalej. Ale prowadzę ja.

We Floridii był dwa albo trzy razy, pamiętał nawet, gdzie mieszka Tamburrano. Skierował się w stronę kościoła pod wezwaniem Matki Bożej Łaskawej, który prawie przylegał do domu wicekwestora. Kiedy dojechał do placu, zobaczył symbole żałoby i spieszących na nabożeństwo ludzi. Uroczystość zaczęła się z opóźnieniem, nie tylko on musiał napotkać przeszkody.

– Podskoczę do warsztatu, żeby sprawdzili samochód – powiedział Gallo.

– Potem przyjadę tutaj po pana.

Montalbano wszedł do zatłoczonej świątyni. Msza dopiero co się rozpoczęła. Rozejrzył się, ale nie rozpoznał nikogo. Tamburrano musiał stać w pierwszym rzędzie, obok katafalku, przed głównym ołtarzem. Komisarz postanowił zostać tam, dokąd udało mu się dotrzeć – przy bocznym wyjściu; uściśnie wicekwestorowi dłoń, kiedy będą wynosić trumnę z kościoła.

Na pierwsze słowa księdza prawie podskoczył. Był pewien, że się nie przesłyszał.

– Nasz drogi Nicola opuścił ten padół łez...

Zebrał się na odwagę i dotknął ramienia starszej kobiety.

– Przepraszam panią, czyj to pogrzeb?

– Świętej pamięci księgowego Pecoraro. A co?

– Myślałem, że pani Tamburrano.

– Nie, tamten miał się odprawić u Świętej Anny.

Szybki marsz do kościoła Świętej Anny zajął mu kwadrans. Zdyszany, zlany potem, komisarz podszedł do proboszcza, który stał w pustej nawie.

– Przepraszam... Pogrzeb pani Tamburrano?

– Zakończył się prawie dwie godziny temu – powiedział ksiądz, wpatrując się w niego surowo.

– Czy pochowali ją tutaj? – spytał Montalbano, unikając wzroku kapłana.

– Ależ skąd! Po nabożeństwie zabrali zmarłą samochodem do Vibo Valentia. Spoczęła tam w grobowcu rodzinnym. Jej mąż, czyli wdowiec, pojechał za nią samochodem.

Wszystko na nic.

Na placu Matki Bożej Łaskawej zauważył kawiarnię z wystawionymi na zewnątrz stolikami. Kiedy Gallo podjechał naprawionym naprędce samochodem, była prawie druga. Montalbano opowiedział mu, co się zdarzyło.

– I co teraz? – spytał Gallo po raz trzeci tego dnia, całkiem zbłąkany w czeluściach zasmucenia.

– Zjesz rogalika, napijesz się granity, którą robią tu całkiem przyzwoicie, i wracamy. Jeśli Pan Bóg będzie nad nami czuwał, a Matka Boska nas poprowadzi, na szóstą będziemy w Vigacie.

Modlitwa została wysłuchana. Jechali aż miło.

– Ten samochód wciąż tam stoi – powiedział Gallo, kiedy było już widać

Vigate.

Twingo stało w tym samym miejscu co rano, nieco ukosem do polnej alejki.

– Pewnie zadzwonili już na komisariat – powiedział Montalbano.

Mówił bzdury: widok samochodu i willi z pozamykanymi oknami zasiał w nim wątpliwości.

– Wracaj – polecił nagle Gallowi.

Gallo zawrócił jak wariat, wzbudzając chór klaksonów. Na wysokości twingo zawrócił ponownie jak co najmniej dwóch wariatów naraz i zatrzymał się za uszkodzonym samochodem.

Montalbano energicznie wysiadł. Nie mylił się: karteczka z numerem telefonu wciąż tkwiła za wycieraczką, nikt jej nie ruszył.

– Coś mi tu nie pasuje – powiedział do Galla, kiedy ten go dogonił.

Szli alejką. Willę musiano wybudować niedawno – trawa przed drzwiami wejściowymi była spalona wapnem, z boku leżał stos nowych dachówek. Komisarz uważnie przyjrzał się oknom – nie przebijała przez nie nawet strużka światła.

Podszedł do drzwi i zadzwonił. Odczekał chwilę i zadzwonił ponownie.

– Wiesz, do kogo należy ten dom? – spytał Galla.

– Nie, panie komisarzu.

Cóż było robić? Zapadał zmierzch, zaczynało dawać o sobie znać pierwsze zmęczenie. Odczuwał na barkach ciężar tego bezużytecznego i wyczerpującego dnia.

– Jedziemy – powiedział. I w daremnym wysiłku przekonania samego siebie dodał: – Na pewno już sami dzwoniли.

Gallo spojrział na niego z powątpiewaniem, ale się nie odezwał.

Komisarz nie pozwolił Gallowi nawet wejść do biura, tylko od razu kazał mu iść do domu odpocząć. Jego zastępcy, Mimi Augella, nie było – został wezwany do raportu przez nowego kwestora Montelusy, Luce Bonetti-Alderighi, młodego i energicznego funkcjonariusza z Bergamo, który w ciągu miesiąca zdołał pozyskać sobie zastępy śmiertelnych wrogów.

– Kwestora zaniepokoiła pańska nieobecność w Vigacie – poinformował Fazio, podoficer, z którym Montalbano rozumiał się najlepiej – więc komisarz Augello musiał tam pojechać.

– Musiał? – spytał zaczepnie Montalbano. – Przecież on nie przepuści żadnej okazji, żeby się wepchnąć na afisz!

Opowiedział Paziowi o porannym wypadku i spytał, czy wie, kim są właściciele willi. Fazio nie wiedział, ale zapewnił przełożonego, że nazajutrz rano pójdzie do gminy i się dowie.

– Aha, pański samochód jest już w garażu.

Przed powrotem do domu komisarz podszedł do Catarelli.

– Słuchaj uważnie i spróbuj sobie przypomnieć. Czy ktoś dzisiaj dzwonił w sprawie potrąconego samochodu?

Żadnego telefonu nie było.

– Wytłumacz mi to raz jeszcze – nalegała Livia przez telefon, siedząc w swoim domu w Boccadasse koło Genui.

– Ale co niby miałbym ci wytłumaczyć, Livio? Już raz powiedziałem i mogę tylko powtórzyć to samo: dokumenty adopcyjne Francois nie są jeszcze gotowe, pojawiły się nieoczekiwane przeszkody. Tymczasem stary, dobry kwestor, który kiedy tylko mógł, to załatwiał mi wszystko od ręki, przeszedł na emeryturę, więc nie mogę już liczyć na jego pomoc. Musimy uzbroić się w cierpliwość.

– Nie miałam na myśli adopcji – odparła lodowatym głosem Livia.

– Ach, nie? A więc co miałaś na myśli?

– Nasz ślub. Możemy się pobrać, a formalności związane z adopcją będą toczyły się własnym trybem. Te dwie sprawy nie są od siebie zależne.

– Pewnie, że nie są – przytaknął Montalbano, który czuł, że grunt nieuchronnie zaczyna mu się palić pod stopami.

– Chcę jasnej odpowiedzi na pytanie, które ci teraz zadam – ciągnęła nieubłagane Livia. – Załóżmy, że adopcja okaże się niemożliwa. Jak sądzisz, czy wtedy i tak się pobierzemy, czy nie?

Potężny i nagły grzmot przyniósł mu wybawienie.

– Co to było? – spytała Livia.

– Grzmot. Mamy tu potworną bu...

Odłożył słuchawkę i wyciągnął sznur z gniazdka.

Nie mógł zasnąć. Kręcił się w łóżku i wiercił, raz po raz zaplątując się w prześcieradło. Około drugiej pogodził się z myślą, że tej nocy nie zaśnie. Wstał, ubrał się, wziął skórzany plecak, подарowany mu jakiś czas temu przez pewnego włamywacza, z którym niebawem się zaprzyjaźnił, wsiadł do samochodu i ruszył. Burza przybierała na sile, od błyskawic robiło się jasno jak w dzień. Na wysokości twingo zjechał pod drzewa i wyłączył reflektory. Ze schowka wyjął pistolet, rękawiczki i latarkę. Oczekał, aż deszcz się przerzedzi, kilkoma susami przeskoczył szosę, podbiegł alejką do willi i przywarł do drzwi. Nacisnął guzik dzwonka i długo trzymał na nim palec, ale nikt się nie odezwał. Włożył rękawiczki i ze skórzanego plecaka wyjął dużą obręcz, na której zawieszonych było kilkanaście wytrychów o różnym kształcie. Przy trzeciej próbie drzwi się otworzyły – nie były zamknięte na klucz, tylko zatrzaśnięte. Wszedł i znów zatrzasnął je za sobą. Po ciemku

pochylił się, zdjął przemoczone buty i stanął na podłodze w samych skarpetkach. Włączył latarkę, kierując światło na parkiet. Znajdował się w przestronnej jadalni, do której przylegał salon. Meble pachniały lakierem, wszystko było nowe, czyste i utrzymane w nieskazitelnym porządku. Jedne drzwi prowadziły do kuchni, która błyszczała, jakby wyjęto ją prosto z reklamy, drugie do łazienki, która lśniła tak, jak gdyby nikt jeszcze nigdy z niej nie korzystał. Wszedł powoli na schody. Na piętrze było troje zamkniętych drzwi. Za pierwszymi, które otworzył, ujrzał schludny pokój gościnny. Drugie prowadziły do łazienki, większej niż ta na parterze, za to już trochę zabałaganionej. Różowy szlafrok frotte leżał niedbale na ziemi, jak gdyby ktoś zrzucił go z siebie w pośpiechu. Trzeci pokój okazał się główną sypialnią właścicieli. A właścicielką była zapewne młoda jasnowłosa kobieta, klęcząca nago, z brzuchem opartym o krawędź łóżka, z rozłożonymi ramionami, z twarzą wciśniętą w prześcieradło, podarte na strzępy paznokciami w konwulsjach śmierci przez uduszenie. Montalbano podszedł do zwłok, zdjął rękawiczkę i lekko dotknął martwego ciała: było zimne i sztywne. Kobieta musiała być piękna. Komisarz zszedł na parter, włożył buty, wytarł chusteczką mokre ślady na podłodze. Potem opuścił dom, zamknął drzwi, przeszedł przez jezdnię, wsiadł do samochodu i ruszył. W drodze powrotnej do Marinelli mocno się głowił, co zrobić, żeby doprowadzić do odkrycia morderstwa. Na pewno nie mógł pójść do sędziego i wyznać, czego się dopuścił. Lo Bianco wziął bezpłatny urlop, żeby pogłębić niekończące się studia historyczne o swoich domniemanych przodkach, a jego zastępca, weneccjanin imieniem Nicolo i nazwiskiem Tommaseo, o twarzyczce schorowanego chłopca, którą skrywał pod zarostem męczennika z Belfiore, z uporem powoływał się na swoje „niezbywalne uprawnienia”. Dopiero w chwili, gdy Montalbano otwierał drzwi swego domu, przyszło mu do głowy stosowne rozwiązanie. Dzięki czemu mógł

wreszcie uciąć sobie porządną drzemkę.

2

Dotarł do komisariatu o wpół do dziewiątej, świeżutki i uśmiechnięty.

– Czy wiesz, że kwestor jest szlachcicem?

To były pierwsze słowa, jakie Mimi Augello wypowiedział na jego widok.

– Czy to osąd moralny, czy fakt heraldyczny?

– Heraldyczny.

– Domyśliłem się już po myślniku pomiędzy dwoma członami jego nazwiska. I jak na to zareagowałaś, Mimi? Tytułowałaś go hrabią, baronem, markizem? Dobrze mu wylizaleś?

– Daj spokój, Salvo, masz jakąś obsesję!

– Ja?! Fazio powiedział, że podczas rozmowy telefonicznej z kwestorem merdałeś ogonem, a potem pomknąłeś jak strzała, żeby się z nim spotkać.

– Posłuchaj, kwestor powiedział dosłownie tak: „Jeżeli komisarz Montalbano jest nieosiągalny, niech pan przyjedzie, i to natychmiast”. I co miałem robić? Odpowiedzieć, że nie mogę, bo mój przełożony się wkurwi?

– Czego chciał?

– Nie był sam. Było pół prowincji. Zawiadomił nas, że ma zamiar wszystko unowocześnić i odświeżyć. Powiedział, że jeśli ktoś nie jest w stanie za nim nadążyć w tym przyspieszeniu, może iść na złom. Tak właśnie powiedział: na złom. Dla wszystkich było jasne, że miał na myśli ciebie i Sandra Turri z Calascibetty.

– Wytłumacz mi, jak się tego domyśliliście?

– Ponieważ kiedy mówił o złomie, popatrzył przeciągle najpierw na Turriego, a potem na mnie.

– A wyklucasz, że mógł mieć na myśli właśnie ciebie?

– Daj spokój, Salvo. Przecież wszyscy wiedzą, że jest o tobie jak najgorszego zdania.

– Czego chciał pan i władca?

– Poinformować, że niebawem przyślą supernowoczesne komputery. Wszystkie komisariaty dostaną po jednym. Zażądał, żeby każdy z nas podał nazwisko funkcjonariusza szczególnie dobrze wprowadzonego w sekrety informatyki. Więc podałem.

– Zwariowałeś? Tu nikt nie zna się ni chuja na komputerach. Kogo wymieniałeś?

– Catarelłę – oznajmił poważnie, niewzruszenie Mimi Augello.

Prawdziwy sabotaż. Nagle Montalbano wstał, podbiegł do swojego zastępcy i wziął go w ramiona.

– Wiem wszystko o willi, która pana interesuje – powiedział Fazio, siadając na krześle przed biurkiem komisarza. – Rozmawiałem z urzędnikiem gminy, który zna od podszewki każdego mieszkańca Vigaty.

– Mów.

– A więc teren, na którym stoi willa, należał do doktora Rosaria Licalziego.

– Doktora nauk?

– Nie, prawdziwego. Lekarza. Zmarł jakieś piętnaście lat temu, pozostawiając posiadłość starszemu synowi Emanuele, który również jest lekarzem.

– Mieszka w Vigacie?

– Nie, mieszka i pracuje w Bolonii. Dwa lata temu Emanuele Licalzi ożenił się z dziewczyną stamtąd. Przyjechali na Sycylię w podróż poślubną. Jak

tylko żona zobaczyła działkę, wbiła sobie do głowy, że muszą wybudować tam willę. I to wszystko.

– Czy wiesz, gdzie w tej chwili są ci Licalzi?

– Mąż jest w Bolonii, ją trzy dni temu widziano w mieście. Robiła zakupy, żeby urządzić willę. Ma zgniłozielone twingo.

– To, które potrafił Gallo.

– Właśnie. Sekretarz powiedział, że nie może przejść niezauważona. Podobno jest piękna.

– Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie zadzwoniła – powiedział Montalbano, który, kiedy mu zależało, potrafił być znakomitym aktorem.

– Mam pewne podejrzenia – odparł Fazio. – Sekretarz zasugerował, że ta kobieta jest... jak by to powiedzieć... taka kumpela. Lubi towarzystwo.

– Damskie?

– Męskie też – podkreślił znacząco Fazio. – Możliwe, że gości u jakiejś rodziny, może przyjechali po nią swoim samochodem. Zauważy, co się stało, dopiero kiedy wróci.

– To prawdopodobne – odparł Montalbano, ciągnąc swoje przedstawienie.

Kiedy tylko Fazio wyszedł, komisarz zadzwonił do pani Clementyny Vasile Cozzo.

– Jak się pani czuje?

– Pan komisarz?! Jak miło! Jakoś leci, dzięki Bogu.

– Czy mógłbym wpaść, żeby się pani pokłonić?

– Jest pan mile widziany w każdym momencie.

Pani Clementina Vasile Cozzo była starszą kobietą – sparaliżowaną, emerytowaną nauczycielką szkoły podstawowej, obdarzoną inteligencją i naturalną godnością. Komisarz poznał ją w trakcie skomplikowanego

śledztwa sprzed trzech miesięcy i od tej pory żywił w stosunku do niej synowskie przywiązanie. Nie mówił tego wprost, ale to taką kobietę chciałby wybrać sobie na matkę. Własną stracił, kiedy był bardzo mały; w pamięci miał tylko coś w rodzaju jej złotawego połysku.

– Czy mama miała jasne włosy? – zapytał kiedyś ojca, próbując sobie wyjaśnić, dlaczego całe wspomnienie o mamie sprowadza się do jasnego odcienia.

– Pszeniczne – odpowiedział sucho ojciec.

Montalbano miał zwyczaj odwiedzać panią Clementinę co najmniej raz w tygodniu. Opowiadał jej o niektórych śledztwach, które właśnie prowadził, a kobieta, wdzięczna za wizytę, która przerywała monotonię jej dni, prosiła go do stołu. Pina, pokojówka, była osobą zrzedliwą i w dodatku nie lubiła Montalbana. Potrafiła jednak przyrządzać wyśmienite posiłki o rozbijającej prostocie.

Pani Clementina, ubrana bardzo elegancko, w hinduskim jedwabnym szalu na ramionach, przyjęła go w salonie.

– Dziś jest koncert – szepnęła – ale właśnie się kończy.

Cztery lata temu pani Clementina dowiedziała się od Piny, która z kolei dowiedziała się od Jolandy, gospodyni maestra Catalda Barbery, że ten słynny skrzypek, który zajmował apartament piętro wyżej, ma wielkie kłopoty podatkowe. Porozmawiała więc o tym z synem, który pracował w nadzorze finansowym Montelusy, i problem, wynikły zasadniczo z nieporozumienia, został rozwiązany. Dziesięć dni później gospodyni Jolanda przyniosła jej bilecik: „Szanowna Pani, chcąc się odwzajemnić przynajmniej w części, w każdy piątek rano, od wpół do dziesiątej do wpół do jedenastej, będę dla Pani grał. Z wdzięcznością – Cataldo Barbera”.

I tak w każdy piątek rano pani Clementina zakładała strój wizytowy, żeby

ze swej strony okazać szacunek dla maestra, po czym sadowiła się w niewielkim saloniku, gdzie najlepiej było słyszeć dźwięki skrzypiec dochodzące z góry. I maestro, punktualnie o dziewiętej trzydzieści, zaczął swój koncert.

Wszyscy w Vigacie wiedzieli o istnieniu maestra Catalda Barbery, ale bardzo niewielu widziało go na własne oczy. Maestro przyszedł na świat w Vigacie przed sześćdziesięciu pięciu laty jako syn kolejarza, ale wyjechał z miasta, kiedy miał zaledwie kilka lat, ponieważ jego ojciec został oddelegowany do Katanii. O karierze swego ziomka mieszkańcy Vigaty dowiedzieli się z gazet: po ukończonych studiach w klasie skrzypiec Cataldo Barbera szybko został solistą o międzynarodowym rozgłosie. Jednak z niewyjaśnionych przyczyn, u szczytu sławy, wycofał się z życia publicznego, przyjechał do Vigaty, tu kupił apartament i prowadził w nim życie dobrowolnego więźnia.

– Co teraz gra? – spytał Montalbano.

Pani Clementina podała mu kartkę w kratkę. Maestro miał w zwyczaju przesyłać jej w przeddzień koncertu program zapisany ołówkiem. Na ten dzień zapowiedziane były *Taniec hiszpański* Sarasatego oraz *Scherzo-tarantela opus 16* Wieniawskiego. Po zakończonym koncercie pani Vasile Cozzo włączyła telefon do kontaktu, wybrała jakiś numer, położyła słuchawkę na półce i zaczęła bić brawo. Montalbano spontanicznie przyłączył się do aplauzu. Nie znał się na muzyce, ale jedno wiedział na pewno: że Cataldo Barbera musi być wielkim artystą.

– Droga pani – zaczął – moja wizyta nie jest bezinteresowna. Chciałbym, żeby wyświadczyła mi pani pewną przysługę.

Opowiedział jej o wszystkim, co wydarzyło się poprzedniego dnia – o wypadku, o pomyłce z pogrzebami, o potajemnej nocnej wizycie w willi, o odkryciu zwłok. Na zakończenie opowieści zawahał się; nie wiedział, jak

sformułować swoją prośbę.

Pani Clementina, która wydawała się to rozbawiona, to znowu przejęta całą historią, próbowała mu dodać odwagi:

– Dalej, komisarzu, bez skrupułów. Czegóż to pan ode mnie chce?

– Chciałbym, żeby wykonała pani anonimowy telefon – wyrzucił z siebie Montalbano jednym tchem.

Był w biurze od dziesięciu minut, kiedy Catarella zawiadomił go, że dzwoni Mlekko, szef gabinetu kwestora.

– Jak idzie, mój drogi Montalbano? Jak idzie?

– Dobrze – odparł sucho komisarz.

– Cieszę się, że znajduję pana w dobrym zdrowiu – powiedział szef gabinetu, znany ogólnie pod przydomkiem „Mlekko z Mioddem”, jakie zostało mu kiedyś nadane w uznaniu jego złotoustej srogości.

– Na rozkaz! – ponaglił go Montalbano.

– No właśnie. Otóż niespełna kwadrans temu jakaś kobieta zadzwoniła na centralę kwestury, prosząc o osobistą rozmowę z panem kwestorem. Bardzo nalegała. Jednak kwestor był zajęty, więc zlecił mi, żebym odebrał za niego telefon. Kobieta miała atak hysterii. Krzyczała, że w willi w dzielnicy Tre Fontane została popełniona zbrodnia. I odłożyła słuchawkę. Kwestor prosi, żeby na wszelki wypadek pan tam pojechał i złożył mu sprawozdanie. Kobieta powiedziała również, że willę łatwo można rozpoznać, ponieważ stoi przed nią zgniłozielone twingo.

– Boże! – wykrzyknął Montalbano, przechodząc do swojej roli, skoro pani Clementina Vasile Cozzo swoją odegrała wyśmienicie.

– Co takiego? – spytał zaciekawiony Mlekko.

– Niezwykły zbieg okoliczności! – powiedział Montalbano, tonem głosu

wyrażając zdziwienie. – Potem panu wyjaśnię.

– Halo? Mówi komisarz Montalbano. Czy rozmawiam z sędzią Tommaseo?

– Tak. Dzień dobry. Słucham.

– Szef gabinetu kwestora poinformował mnie właśnie, że otrzymał anonimowy telefon od osoby, która zgłosiła zabójstwo w willi na terytorium Vigaty. Poleciał mi, żebym sprawdził. Zaraz tam jadę.

– Czy aby nie chodzi o głupi żart?

– Wszystko jest możliwe. Chciałem powiadomić o tym pana w pełnym poszanowaniu pańskich niezwykłych uprawnień.

– Znakomicie – powiedział z ukontentowaniem sędzia Tommaseo.

– Czy mam pańską zgodę na wszczęcie postępowania?

– Naturalnie. I jeśli naprawdę została tam popełniona zbrodnia, proszę mnie natychmiast powiadomić i czekać na mój przyjazd.

Zawołał Fazio, Galla i Galluzza i powiedział im, że pojedą z nim do dzielnicy Tre Fontane sprawdzić, czy zostało tam popełnione morderstwo.

– Czy to ta sama willa, którą pan się interesował? – spytał zdziwiony Fazio.

– Ta sama, gdzie rozwaliliśmy twingo? – dorzucił Gallo, patrząc zdumionym wzrokiem na przełożonego.

– Tak – odpowiedział obydwu naraz komisarz, przybierając pokorny wyraz twarzy.

– Ależ pan ma nosa! – wykrzyknął Fazio z podziwem.

Ledwo ruszyli, Montalbano miał już tego powyżej uszu. Dość farsy, którą

musiał odegrać, udając zaskoczenie na widok zwłok, dość sędziego, który będzie zawracał mu głowę, dość lekarza, sądowni, której funkcjonariusze potrafili przyjechać na miejsce zbrodni po wielu godzinach. Postanowił przyspieszyć tempo.

– Podaj mi telefon komórkowy – powiedział do Galluzza, który siedział przed nim. Prowadził, rzecz jasna, Gallo.

Wybrał numer sędziego Tommaseo.

– Mówi Montalbano. Panie sędzio, ten telefon to nie był żart. Niestety, w willi znaleźliśmy zwłoki kobiety.

Reakcje tych, którzy siedzieli w samochodzie, były rozmaite. Gallo skręcił kierownicę, zjechał na pas dla samochodów jadących w przeciwnym kierunku, otarł się o ciężarówkę wypełnioną metalowymi deklami, zaklął i wrócił na właściwy pas. Galluzzo poderwał się, przekreślił na oparciu, wybałuszył oczy i z otwartymi ustami spojrzął na przełożonego. Fazio wyraźnie zeszytniał, patrzył przed siebie bez wyrazu.

– Już jadę – powiedział sędzia Tommaseo. – Proszę mi dokładnie powiedzieć, gdzie jest ten dom.

Montalbano, który miał dość coraz bardziej, podał telefon Gallowi.

– Wytlumacz mu, gdzie to jest. Potem zawiadom doktora Pasquano i sądownię.

Fazio odezwał się dopiero w chwili, gdy zatrzymali się za zgnięzionym twingo.

– Czy założył pan chociaż rękawiczki?

– Tak – powiedział Montalbano.

– W każdym razie dla bezpieczeństwa, kiedy tylko wejdziemy, proszę dotykać wszystkiego gołymi rękami. Niech pan zostawi tyle odcisków, ile się da.

– Właśnie miałem zamiar tak zrobić – skwitował komisarz.

Po wczorajszej burzy z wetkniętej pod wycieraczkę karteczki zostało bardzo niewiele. Numer telefonu zmyła woda.

– Wy dwaj przeszukajcie parter – powiedział komisarz do Galla i Galluzza.

W towarzystwie Fazia wszedł na piętro. W świetle elektrycznym ciało kobiety nie wywarło na nim tak silnego wrażenia jak wczorajszej nocy, kiedy je ujrzał w nikłym blasku latarki: wydawało się mniej prawdziwe, choć na pewno nie wyglądało jak manekin. Sztywne, sinobiałe, przypominało gipsowe odlewy ofiar kataklizmu w Pompejach. Nie można było dostrzec twarzy kobiety, ponieważ była wciśnięta w pościel, lecz widać było, że musiała stawiać śmierci zacieklej opór. Kępki jasnych włosów były rozproszone po rozdartym prześcieradle, na plecach i tuż pod karkiem widoczne były granatowe krwiaki. Morderca musiał użyć całej siły, by przycisnąć jej twarz do materaca tak mocno, że nie mogła się już przedostać do ust nawet strużka powietrza. Z parteru nadeszli Gallo i Galluzzo.

– Na dole chyba wszystko w porządku – powiedział Gallo.

Ale przecież tu była młoda kobieta, zamordowana, naga, w pozycji, która wywoływała nieodparcie obsceniczne skojarzenia – zastygła, pogwałcona intymność, wystawiona na widok policyjnych oczu. Jak gdyby chciał jej zwrócić minimum osobowości i godności, komisarz spytał Fazia:

– Powiedzieli ci, jak się nazywa?

– Tak, pani Licalzi. Miała na unię Michela.

Poszedł do łazienki, podniósł z podłogi różowy szlafrok, zaniósł go do sypialni i przykrył ciało.

Zszedł na parter. Gdyby Michela Licalzi przeżyła, miałyby jeszcze sporo roboty z urządzeniem domku.

W kącie salonu, oparte o ścianę, stały dwa zrolowane dywany. Wersalka

i fotele były owinięte fabrycznie w celofan, na nierozpakowanej pace leżał białym do dołu stolik. Jediną rzeczą, która wydawała się uporządkowana, był przeszklony kredens, zastawiony tradycyjnymi bibelotami na pokaz: dwoma starymi wachlarzami, kilkoma porcelanowymi figurkami, zamkniętym futerałem na skrzypce, pięknymi i rzadkimi muszlami.

Pierwsza przyjechała sądówka. Dawnego szefa grupy, Jacomuzziego, kwesor Bonetti-Alderighi zastąpił młodym doktorem Arqua, przeniesionym tutaj z Florencji. Jacomuzzi był nie tylko szefem sądówki, lecz przede wszystkim niepoprawnym ekshibicjonistą, który głównie pozował fotografom, operatorom i dziennikarzom. Montalbano, kiedy chciał z niego zakpić, nazywał go „Pippo Baudo”. W znaczenie badań sądówki dla wyników dochodzenia Jacomuzzi w głębi serca zanadto nie wierzył: twierdził, że intuicja i rozum prędzej czy później i tak doprowadzą do prawdy, nawet bez wsparcia mikroskopów i analiz. Dla Bonetti-Alderighiego były to czyste herezje, więc pozbył się go tak szybko, jak tylko mógł. Vanni Arqua wyglądał jak bliźniak Harolda Lloyda: włosy miał zawsze potargane, ubierał się jak roztargnieni naukowcy z filmów z lat trzydziestych i miał nabożny stosunek do nauki. W Montalbanie nie budził pozytywnych uczuć, za co Arqua odwzajemniał mu się równie serdeczną antypatią.

Sądówka przybyła w pełnym składzie dwoma samochodami, które nadjechały na sygnale, jak w Teksasie. Ośmiu facetów, wszyscy w cywilu, zaczęło wyładowywać z bagażników skrzynie i kasety. Przypominali ekipę filmową, która przygotowuje się do zdjęć. Kiedy Arqua wszedł do salonu, Montalbano nawet się z nim nie przywitał, tylko wskazał kciukiem, że to, co mogło ich interesować, znajduje się na piętrze.

Jeszcze reszta ekipy nie zdążyła się zjawić, kiedy Montalbano usłyszał głos Arqua.

– Przepraszam, komisarzu, czy zechce pan wejść tu na chwilę?

Gdy znalazł się w sypialni, poczuł przeszywające spojrzenie dowódcy sądówki.

– Kiedy odkrył pan zwłoki, to wyglądały tak samo jak teraz?

– Nie – odparł Montalbano z zadowoleniem. – Były nagie.

– A skąd pan wziął ten szlafrok?

– Z łazienki.

– Na Boga! Proszę poukładać wszystko, jak było przedtem! Naruszył pan obraz całości! To skandal!

Montalbano bez słowa podszedł do zwłok, zdjął szlafrok i zarzucił go sobie na ramię.

– O, w mordę, chłopaki! Ale dupa!

Okrzyk ten wyrwał się fotografowi sądówki, obleśnemu facetowi w typie paparazza, z koszulką wyłazącą ze spodni.

– No to skorzystaj, jeśli masz ochotę – powiedział spokojnie komisarz. – Już jest we właściwej pozycji.

Fazio, który dobrze znał niebezpieczeństwo, jakie często się kryło za kontrolowanym spokojem Montalbana, zrobił krok w jego kierunku.

Komisarz spojrzał doktorowi Arqua w oczy:

– Teraz już rozumiesz, kutasie, dlaczego to zrobiłem?

I wyszedł z pokoju.

W łazience szybko obmył sobie twarz, rzucił na podłogę szlafrok mniej więcej tam, gdzie go znalazł, i wrócił do sypialni.

– Będę zmuszony donieść o tym kwestorowi – powiedział lodowato Arqua.

Głos Montalbana stał się już zupełnie lodowaty.

– Nie wątpię, że doskonale się zrozumiecie.

– Komisarzu, ja, Gallo i Galluzzo wyjdziemy, żeby zapalić. Tutaj tylko przeszkadzamy tym z sądówki.

Montalbano nawet nie odpowiedział, tak był pogrążony w myślach. Wstał i wyszedł z salonu.

Na parterze zdążył się już rozejrzeć i nie znalazł nic, co by go zainteresowało. Na wszelki wypadek wrócił na chwilę do splądrowanej przez sądówkę sypialni i sprawdził ponownie coś, co zastanowiło go poprzednim razem.

Przed willą dołączył do palących.

Fazio właśnie skończył rozmawiać przez telefon komórkowy.

– Kazałem sobie podać numer telefonu i boloński adres jej męża – wyjaśnił.

– Komisarzu – powiedział Galluzzo. – Rozmawialiśmy tu tak we trzech o czymś dziwnym...

– Szafa w sypialni jest jeszcze spakowana. Zajrzałem nawet pod łóżko – dodał Gallo.

– A ja do wszystkich pokoi. Ale...

Fazio, który miał właśnie wyciągnąć wniosek, na widok wyciągniętej ręki przełożonego ugryzł się w język.

– ...ale nigdzie nie widać ubrań tej kobiety – dokończył Montalbano.

3

Przyjechała karetka, a za nią samochód doktora Pasquano, patomorfologa.

– Idź sprawdzić, czy sądówka już wyszła z sypialni – polecił Montalbano Galluzzowi.

– Dziękuję – powiedział doktor Pasquano. Jego dewizą było „oni albo ja”, gdzie „oni” oznaczało sądówkę. Nie znosił już Jacomuzziego i jego bandy partaczy, lecz do doktora Arqua i jego nader skrupulatnych współpracowników żywił niechęć zgoła nieopisaną.

– Dużo pracy? – zapytał komisarz.

– Drobnostka. Pięć trupów w ciągu całego tygodnia. Tak źle to jeszcze nigdy nie było. Jak kryzys, to kryzys.

Wrócił Galluzzo i poinformował, że sądówka przemieściła się do łazienki i ubikacji, więc droga jest wolna.

– Zaprowadź doktora i przyjdź tu z powrotem. – Montalbano zwrócił się tym razem do Galla.

Pasquano rzucił mu wdzięczne spojrzenie; podczas pracy naprawdę lubił być sam.

Po upływie pół godziny nadjechało pokiereszowane auto sędziego, który zdecydował się wcisnąć hamulec dopiero w chwili, gdy zdążył potrącić jeden z samochodów sądówki.

Nicolo Tommaseo wysiadł cały spocony. Szyję miał nabrzmiałą jak wisielec i czerwoną jak kogut.

– Co za potworna droga! Miałem dwa wypadki! – obwieścił *urbi et orbi*.

Wszyscy wiedzieli, że prowadzi jak naćpany pies. Montalbano postanowił

nie od razu dopuścić go do Pasquana.

– Panie sędzio, chcę panu opowiedzieć ciekawe zdarzenie.

I opowiedział mu fragment wydarzeń z dnia poprzedniego, pokazał efekt uderzenia w twingo, podetknął pod nos strzępek pozostały z karteczki, na której zapisał numer telefonu i którą wsunął pod wycieraczkę. Wyznał też, że od razu zaczął się czegoś domyślać. Anonimowy telefon do kwestury dołał tylko oliwy do i tak już żywego ognia jego podejrzeń.

– Cóż za ciekawy splot okoliczności! – zawołał sędzia Tommaseo, jednak bez wielkiego entuzjazmu.

Kiedy tylko zobaczył nagie ciało zamordowanej, stanął jak wryty. Widok zrobił wrażenie również na Montalbanie. Doktorowi Pasquano udało się przekręcić głowę kobiety tak, że można było zobaczyć jej twarz, dotychczas wciśniętą w prześcieradło. Oczy wręcz wychodziły z orbit, wyrażając potworny ból i przerażenie. W śmiertelnych spazmach musiała przygryźć sobie język, bo z ust ściekała strużka krwi.

Doktor Pasquano wyprzedził znieawidzone pytanie.

– Umarła w nocy ze środy na czwartek. Po autopsji będę mógł podać bardziej szczegółowe informacje.

– A jak umarła? – spytał Tommaseo.

– Nie widać? Morderca przycisnął jej twarz do materaca i trzymał, aż się udusiła.

– Musiał być bardzo silny.

– To wcale nie jest takie pewne.

– Czy miała stosunek przed śmiercią lub po niej?

– Jeszcze nie ustaliłem.

W głosie sędziego zabrzmiało coś, co kazało komisarzowi skierować na niego wzrok. Był cały zlany potem.

– Niewykluczone, że dopuszczono się wręcz aktu sodomii – dociekał z rozognionymi oczami.

Sędzia Tommaseo najwyraźniej czerpał z takich opowieści jakąś skrytą przyjemność. Montalbanowi przyszło nagle do głowy zdanie, jakie Alessandro Manzoni napisał o innym, znacznie bardziej słynnym Nicolo Tommaseo: „Ten Tommaseo stoi jedną nogą w zakrystii, a drugą w burdelu”. Cóż, widocznie ta obsesja miała charakter dziedziczny.

– O wszystkim poinformuję, do widzenia. – Doktor Pasquano szybko się pożegnał, żeby uniknąć kolejnych pytań.

– Według mnie morderstwo popełnił maniak, który zaskoczył ofiarę w chwili, gdy ta udawała się do łóżka – orzekł stanowczo sędzia Tommaseo, nie odrywając oczu od zwłok.

– Proszę zważyć, panie sędzio, że nie ma śladów włamania. Byłoby dziwne, gdyby naga kobieta podeszła do drzwi, żeby otworzyć maniakowi i przyjąć go następnie w sypialni.

– Co to za rozumowanie! Mogła się zorientować, że ten człowiek jest maniakiem, dopiero w chwili, gdy... Rozumie pan?

– Ja stawiałbym raczej na dramat namiętności – powiedział Montalbano, który wyraźnie zaczynał się dobrze bawić.

– Czemu nie, czemu nie? – podchwycił Tommaseo i podrapał się po brodzie. – Musimy pamiętać, że anonimowy telefon pochodził od kobiety. Może to zdradzana żona? A propos, czy wie pan, jak można się skontaktować z mężem ofiary?

– Tak, Fazio ma numer telefonu – odpowiedział komisarz, którzy od razu poczuł ucisk w sercu. Nie cierpiał być zwiastunem złych wiadomości.

– Proszę mi podać, zawiadomię go osobiście – powiedział sędzia.

Nicolo Tommaseo miał więc w zapasie całą gamę perwersji. Lubił również

wcielać się w kruka.

– Czy możemy ją zabrać? – spytał ktoś z załogi ambulansu, wchodząc do sypialni.

Minęła jeszcze godzina, zanim ci z sądówki skończyli się uwijać i odjechali.

– I co teraz? – spytał Gallo, który wyraźnie pozostawał po urokiem tego pytania.

– Zamknij drzwi i wracamy do Vigaty. Jestem głodny że nie wiem – odparł komisarz.

Adelina zostawiła mu w lodówce cud nad cudy: sos koralowy, przyrządzony z jajeczek langusty, i jeżowce, którymi miał doprawić spaghetti. Postawił wodę na gazie i czekając, aż się zagotuje, zadzwonił do Nicolo Zito, zaprzyjaźnionego dziennikarza Retelibery, jednej z dwóch prywatnych stacji telewizyjnych z siedzibą w Montelusie. Druga, Televigata, której serwis informacyjny prowadził szwagier Galluzza, wykazywała sympatie prorządowe bez względu na to, kto w rządzie zasiadał. Retelibera od zawsze była zorientowana na lewo, więc przy lewicowym rządzie, który teraz sprawował władzę, stacje niczym by się nie różniły, gdyby nie przenikliwa, ironiczna inteligencja Nicolo, dziennikarza o włosach równie czerwonych jak jego poglądy.

– Nicolo? Mówi Montalbano. Zostało popełnione morderstwo, ale...

– ...ale nie mogę powiedzieć, że to ty je odkryłeś.

– Anonimowy telefon. Jakaś kobieta zadzwoniła dziś rano do kwestury w Montelusie i powiedziała, że w domu w dzielnicy Tre Fontane popełniono morderstwo. Okazało się, że to prawda. Ofiarą była młoda, ładna i naga kobieta.

- O w mordę!
 - Nazywała się Michela Licalzi.
 - Masz zdjęcie?
 - Nie. Morderca zabrał ze sobą torbę i ubrania.
 - A po co?
 - Nie wiem.
 - A więc skąd wiecie, że zamordowana to Michela Licalzi? Ktoś ją zidentyfikował?
 - Nie. Szukamy męża, który mieszka w Bolonii.
- Zito zaczął wypytywać o jeszcze inne szczegóły i Montalbano je podał.

Kiedy woda zaczęła wrzeć, Montalbano wrzucił makaron. Usłyszawszy dzwonek telefonu, komisarz przez chwilę się wahał, czy powinien odebrać, czy nie. Bał się, że wywiąże się długa rozmowa, którą trudno mu będzie uciąć, a w tym czasie makaron się rozgotuje. Zmarnować sos koralowy rozgotowanym spaghetti to byłaby katastrofa. Machnął ręką. Nie chcąc, by kolejne dzwonki zakłócały mu spokój ducha, niezbędny do kontemplacji najsubtelniejszych przeżyć smakowych, wyłączył telefon.

Po godzinie, zadowolony z siebie i gotowy na podbój świata, znów włączył telefon. I natychmiast musiał podnieść słuchawkę.

- Halo?
- Halo, czy to pan komisarz we własnej pana komisarza osobie?
- W osobistej, Catarella. Co jest?
- To jest, panie komisarzu, że dzwonił sędzia Tolomeo.
- Tommaseo, Catarella, ale to nieważne. Czego chciał?
- Rozmawiać osobiście z osobą pana komisarza. Dzwonił przynajmniej

cztery razy. I powiedział, żeby pan zadzwonił do niego we własnej osobie.

– Dobrze.

– Aha, panie komisarzu, muszę pana powiadomić o rzeczy najwyższej wagi. Zadzwonił do mnie z kwestury w Montelusie pan komisarz, który z nazwiska się nazywa Tontona.

– Tortona.

– Jak go zwał, tak go zwał, ale to musi być ten. Mówi, że muszę chodzić na konkurs informatyczności. Co pan na to?

– Miło mi, Catarella. Chodź na ten kurs, wyspecjalizujesz się. Do informatyczności wydajesz mi się wręcz wymarzony.

– Dziękuję, panie komisarzu.

– Sędzia Tommaseo? Mówi Montalbano.

– Szukałem pana wszędzie.

– Proszę wybaczyć, byłem bardzo zajęty. Pamięta pan dochodzenie w sprawie zwłok znalezionych tydzień temu w wodzie? Wydaje mi się, że stosownie powiadomiłem o nim pana sędziego.

– I co, są jakieś nowości?

– Absolutnie żadnych.

Montalbano usłyszał martwą ciszę. Dopiero co zakończona wymiana zdań była zupełnie bez sensu. Jednak, zgodnie z przewidywaniami, sędzia nie zastanawiał się nad tym zbyt długo.

– Chciałem panu powiedzieć, że udało mi się skontaktować z Bolonią, z mężem ofiary, doktorem Licalzim, i powiadomiłem go, oczywiście z należyтым taktem, o feralnym zdarzeniu.

– Jak zareagował?

– Jak by to panu powiedzieć...? Dziwnie. Nawet nie spytał, jak umarła

żona, która była przecież młodą osobą. Musi być zimnym typem, nie wywarło to na nim prawie żadnego wrażenia.

Doktor Licalzi podebrał krukowi padlinę. Rozczarowanie sędziego, że nie mógł się nacieszyć, przynajmniej przez telefon, dramatycznym potokiem lamentów i krzyków, wyczuwało się wręcz namacalnie.

– W każdym razie powiedział mi, że dzisiaj nie będzie mógł absolutnie opuścić szpitala. Ma zaplanowane operacje, a jego zastępca jest chory. Jutro rano o siódmej pięć wyleci samolotem do Palermo. Zakładam więc, że będzie w pańskim komisariacie koło południa. To wszystko, o czym chciałem pana poinformować, komisarzy.

– Dziękuję, panie sędzio.

W samochodzie, w drodze do komisariatu, Gallo powiedział mu, że Fazio wysłał Germana po potrącone twingo i postawił je w naszym garażu.

– Świetnie.

Pierwszy do jego gabinetu wszedł Mimi Augello.

– Nie przychodzę do ciebie w sprawach służbowych. Pojutrze, czyli w niedzielę, z samego rana, jadę do siostry. Może masz ochotę zabrać się ze mną do Francois? Wrócilibyśmy wieczorem.

– Mam nadzieję, że mi się uda.

– Postaraj się. Siostra dała mi do zrozumienia, że chce z tobą porozmawiać.

– O Francois?

– Tak.

Montalbano zasepił się. Gdyby siostra Augella i jej mąż poinformowali go, że nie mogą już zajmować się małym, miałby nie lada problem.

– Postaram się, Mimi. Dziękuję.

– Komisarz Montalbano? Mówi Clementina Vasile Cozzo.

– Bardzo mi miło.

– Proszę odpowiedzieć krótkim „tak” albo krótkim „nie”: czy dobrze się spisałam?

– Doskonale. Czyli tak.

– Proszę odpowiadać tylko „tak” albo „nie”. Czy przyjdzie pan dzisiaj do mnie na kolację koło dziewiątej?

– Tak.

Fazio wszedł do komisariatu z miną zwycięzcy.

– Wie pan co, komisarzu? Dręczyło mnie jedno pytanie: jeżeli dom Licalzich nie był jeszcze gotowy i pani Michela korzystała z niego tylko sporadycznie, to gdzie nocowała, kiedy przyjeżdżała z Bolonii do Vigaty? Zadzwoiłem więc do kwestury w Montelusie, do kolegi, który sprawdza meldunki w hotelach, i otrzymałem odpowiedź. Pani Michela Licalzi zatrzymywała się zawsze w hotelu „Jolly” w Montelusie. Ostatnio zameldowała się tam siedem dni temu.

Fazio wyrwał go z odrętwienia. Montalbano obiecywał sobie, że zadzwoni do Bolonii, do doktora Licalziego, kiedy tylko znajdzie się w komisariacie, ale zapomniał – to, co Mimi Augello wspomniał o Francois, trochę go zaniepokoiło.

– Pojedziemy od razu? – spytał Fazio.

– Chwila.

Zupełnie nieuzasadniona myśl przeleciała mu błyskawicznie przez głowę, pozostawiając za sobą leciutki zapach diabelskich perfum – swąd siarki. Wziął od Fazia numer telefonu Licalziego, zapisał go na karteczce, którą od

razu schował do kieszeni, i zadzwonił.

– Szpital? Mówi Montalbano, jestem komisarzem policji w Vigacie. Chciałbym rozmawiać z doktorem Emanuele Licalzim.

– Proszę poczekać.

Czekał posłusznie i cierpliwie. I kiedy już cierpliwość prawie go opuściła, odezwała się recepcjonistka.

– Profesor Licalzi jest na sali operacyjnej. Proszę spróbować za pół godziny.

– Zadzwonię do niego po drodze – powiedział do Fazia. – Weź ze sobą komórkę.

Zadzwonił do sędziego Tommaseo, poinformował go o odkryciu Fazia.

– Ach, zapomniałem panu powiedzieć! – zawołał Tommaseo. – Spytałem doktora o adres, pod którym jego żona zatrzymywała się tutaj. Powiedział, że go nie zna, że to zawsze ona do niego dzwoniła.

Montalbano poprosił, żeby sędzia przygotował nakaz rewizji, po który natychmiast miał posłać Galla.

– Fazio, wiesz, jaką specjalizację ma doktor Licalzi?

– Tak. Chirurg ortopeda.

W połowie drogi pomiędzy Vigatą a Montelusą komisarz ponownie zadzwonił do szpitala w Bolonii. Po niedługim oczekiwaniu usłyszał głos stanowczy, lecz ludzki.

– Licalzi, słucham.

– Przepraszam, że przeszkadzam, profesorze. Nazywam się Salvo Montalbano, jestem komisarzem policji w Vigacie. Zajmuję się zabójstwem pańskiej żony. Przede wszystkim proszę przyjąć szczere wyrazy współczucia.

– Dziękuję.

Ani słowa więcej, ani słowa mniej. Komisarz pojął, że inicjatywa należy wyłącznie do niego.

– Powiedział pan dziś sędziemu, że nie zna adresu, pod którym żona się tu zatrzymywała.

– To prawda.

– Nie możemy go znaleźć.

– Pomiędzy Montelusą a Vigatą jest chyba ograniczona liczba hoteli, prawda?

Profesor Licalzi nie wykazywał chęci do współpracy.

– Proszę wybaczyć, że nalegam. Czy na jakiś wyjątkowy przypadek nie przewidzieliście...

– Nie sądziłem, by mogły się pojawić podobne przypadki. W każdym razie w Vigacie mieszka mój daleki krewny, z którym Michela była w kontakcie.

– Czy mógłby pan...

– Nazywa się Aurelio Di Blasi. A teraz proszę wybaczyć, muszę wracać na salę operacyjną. Jutro około południa będę u pana w komisariacie.

– Jeszcze jedno pytanie. Czy zawiadomił pan tego krewnego o tragedii?

– Nie. A niby dlaczego?

4

– Ach, cóż to za uprzejma, elegancka i piękna kobieta! – wykrzyknął Claudio Pizzotta, wytworny sześćdziesięciolatek, dyrektor hotelu „Jolly” w Montelusie. – Czy coś się stało?

– Prawdę mówiąc, jeszcze nie wiemy. Dzwonił do nas z Bolonii pan Licalzi, którego niepokoili brak wiadomości od żony.

– Istotnie, o ile wiem, pani Licalzi wyszła z hotelu w środę wieczorem i od tamtej pory już się u nas nie pojawiła.

– I nie zastanowiła was jej nieobecność? Jest już chyba piątek.

– To prawda.

– Uprzedziła was, że przenocuje gdzie indziej?

– Nie. Ale widzi pan, komisarzu, pani Licalzi zatrzymuje się u nas już od dwóch lat, mieliśmy zatem dość czasu, żeby zapoznać się z jej trybem życia. Z trybem, który nie należy... że tak powiem... do tradycyjnych. Pani Michela jest kobietą, której nie można nie zauważyć, rozumie pan? A poza tym zawsze w stosunku do niej żywiłem szczególną troskę.

– Tak? A jakiego rodzaju?

– Cóż, pani Licalzi ma dużo biżuterii, i to znacznej wartości. Naszyjniki, bransoletki, kolczyki, pierścionki... Wielokrotnie prosiłem, żeby zdeponowała je w naszym sejfie, lecz ona zawsze odmawiała. Trzyma je w czymś w rodzaju worka, bo nie nosi torebek. Za każdym razem zapewniała mnie, że mogę być spokojny – nie zostawi biżuterii w pokoju, tylko zabierze ją ze sobą. Ale i tak się bałem, że ktoś wyrwie jej ten worek. A ona tylko się uśmiechała i nie było sposobu, żeby ją przekonać.

– Wspomniał pan o szczególnym trybie życia pani Licalzi. Czy mógłby to

pan sprecyzować?

– Oczywiście. Pani Licalzi uwielbia późno wracać. Często wraca o świcie.

– Sama?

– Zawsze.

– Pijana? Podchmielona?

– Nigdy. Przynajmniej tak twierdzi nocny portier.

– Czy może pan mi wyjaśnić, z jakiego powodu rozmawia pan o pani Licalzi z nocnym portierem?

Claudio Pizzotta oblał się rumieńcem. Widać było, że wiązał z panią Michela jakieś skryte nadzieje.

– Rozumie pan, komisarzu... Taka piękna kobieta, sama... To chyba zrozumiałe, że budzi ciekawość, nieprawdaż?

– Powróćmy do jej trybu życia.

– Pani Licalzi śpi mniej więcej do południa i nie chce, żeby jej przeszkadzano pod żadnym pozorem. Zaraz po przebudzeniu zamawia śniadanie do pokoju, zaczyna działać, odbierać telefony.

– Dużo?

– Jej rachunki obciąża niekończąca się lista połączeń.

– Czy wie pan, do kogo dzwoniła?

– Można się dowiedzieć, ale potrzeba na to czasu. W pokoju wystarczy wybrać zero, żeby połączyć się potem bezpośrednio nawet z Nową Zelandią.

– A połączenia przychodzące?

– Trudna sprawa. Kiedy recepcjonistka odbiera telefon, od razu łączy z numerem pokoju. Choć jest pewna możliwość.

– Jaka?

– Że ktoś, kto dzwoni i nie zastaje pani Licalzi, zostawia informację.

W takim przypadku portier dostaje specjalny druk, który wkłada do przegródki z kluczem.

– Czy pani Licalzi jada obiady w hotelu?

– Rzadko. Wie pan, po obfitym i późnym śniadaniu... Ale zdarza się. Kierownik sali opowiedział mi kiedyś o obyczajach pani Licalzi przy stole.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– W naszym hotelu zatrzymuje się mnóstwo gości, zwłaszcza biznesmenów, polityków, przedsiębiorców. I wszyscy prędzej czy później zaczynają się do niej zalecać. Puszczają oko, posyłają uśmieški, kierują bardziej lub mniej bezpośrednie propozycje. Tymczasem pani Licalzi, jak opowiedział mi kierownik sali, nie ma zwyczaju robić miny urażonej madonny, ba, wręcz odwzajemnia te wszystkie oczka, uśmieški... Ale kiedy przychodzi co do czego, to nici. Zalotnicy muszą obejść się smakiem.

– O której godzinie wychodzi?

– Około szesnastej. I wraca późną nocą albo o świcie.

– Musi mieć wielu znajomych w Montelusie i Vigacie.

– Zapewne.

– Czy zdarzało się już, że wracała do hotelu jeszcze później niż nad ranem?

– Chyba nie. Portier na pewno by mi o tym powiedział.

Przyjechali Gallo i Galluzzo, wymachując nakazem rewizji.

– Który pokój zajmuje pani Licalzi?

– Sto osiemnasty.

– Mam nakaz.

Dyrektor Pizzotta zrobił urażoną minę.

– Ależ, panie komisarzu! Nie musiał się pan uciekać do takich

formalności! Wystarczyło poprosić... Zaprowadzę was.

– Nie, dziękuję – uciął sucho Montalbano.

Dyrektor wydawał się już nie tyle urażony, co wręcz spotwarzony.

– Idę po klucze – powiedział powściągliwie.

Wrócił po chwili z kluczem i stosikiem karteczek z informacjami od osób, które dzwoniły do pani Licalzi, lecz nie zastały jej w hotelu.

– Proszę – powiedział, wręczając klucz, nie wiedzieć czemu, nie komisarzowi, lecz Faziowi, a karteczki Gallowi.

Błyskawicznie, w niemieckim stylu, skłonił głowę przed Montalbanem, odwrócił się i odszedł sztywno, krokiem drewnianej marionetki.

Pokój numer 118 był przesycony wiecznie świeżym zapachem Chanel N° 5. Na przeznaczonym na bagaż podeście stały dwie walizki i torba ze znakiem firmowym Vuittona. Montalbano otworzył szafę: pięć eleganckich sukienek, trzy pary artystycznie podniszczonych dżinsów, w części przeznaczonej na buty pięć par na bardzo wysokim obcasie firmy Magli i trzy pary butów sportowych. Bluzki, również bardzo szykowne, były złożone z najwyższą starannością. Na bieliznę osobistą, uporządkowaną w odpowiedniej przegródce wedle kolorów, składały się jedynie efemeryczne majteczki.

– Tu nie ma nic – powiedział Fazio, który przeszukał właśnie walizki i worek.

Również Gallo i Galluzzo, którzy przetrząsnęli łóżko i materac, pokręcili przecząco głowami i pozostając pod wrażeniem porządku, jaki panował w pokoju, zaczęli wszystko układać na miejsce. Na niewielkim biurku leżały listy, notatki, kalendarz i stos zawiadomień o telefonach, znacznie wyższy od tego, który dyrektor przekazał Gallowi.

– Zabieramy to – powiedział komisarz do Fazio. – Zajrzyj również do szuflad i weź stamtąd papiery.

Fazio wyjął z kieszeni torebkę foliową, którą zawsze nosił przy sobie, i zaczął wkładać do niej wszystko, co znalazł.

Montalbano wszedł do łazienki. W błyszczącym pomieszczeniu panował ład doskonały. Na półce leżała szminka Idole, podkład Shiseido, ogromny flakon Chanel N° 5 i inne podobne rzeczy. Różowy szlafrok, znacznie bardziej wyrafinowany i znacznie droższy od tego, który znaleźli w willi pani Micheli, wisiał porządnie na wieszaku.

Wrócił do sypialni, przycisnął dzwonek, żeby wezwać obsługę piętra. Po chwili ktoś zastukał do drzwi, Montalbano zawołał: „Proszę wejść!” Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich chuda czterdziestolatka, która na widok czterech mężczyzn zastygła, zbladła i cieniutkim głosem spytała:

– Gliny jesteście?

Komisarzowi zachciało się śmiać. Ile wieków policyjnych nadużyć musiało sprawić, że ta sycylijska kobieta posiadała instynktowną umiejętność rozpoznawania glin?

– Tak, gliny – powiedział z uśmiechem.

Pokojówka poczerwieniała i spuściła wzrok.

– Przepraszam.

– Czy zna pani panią Licalzi?

– A co? Coś się stało?

– Od kilku dni nie ma od niej żadnych wiadomości. Szukamy jej.

– I po to, żeby ją znaleźć, zabraliście papiery?

Nie docenił tej kobiety. Teraz więc postanowił częściowo ją wtajemniczyć.

– Obawiamy się, że mogło się przydarzyć jakieś nieszczęście.

– Zawsze mówiłam, żeby uważała – powiedziała pokojówka. – Nosi przy sobie pół miliarda jak gdyby nigdy nic!

– Nosi przy sobie tyle pieniędzy? – zdziwił się Montalbano.

– Nie chodzi o pieniądze, tylko o biżuterię. I o to, jak żyje. Późno wraca, późno wstaje...

– To już wiemy. Czy pani ją dobrze zna?

– Pewnie. Od pierwszego razu, kiedy tu przyjechała z mężem.

– Co może pani o niej powiedzieć?

– Jest całkiem do rzeczy. Ma fioła tylko na jednym punkcie: porządku. Kiedy sprzątam jej pokój, patrzy, czy wszystko wraca dokładnie na swoje miejsce. Pokojówki z pierwszej zmiany, zanim wejdą do sto osiemnaście, zawsze robią znak krzyża.

– Ostatnie pytanie: czy pani koleżanki z pierwszej zmiany nigdy nie mówiły, że w nocy był u niej jakiś mężczyzna?

– Nigdy. Zauważyłybyśmy na pewno, bo jesteśmy na to wyczulone że nie wiem.

Przez całą drogę powrotną do Vigaty Montalbanowi nie dawało spokoju jedno pytanie: jeśli pani Licalzi była maniaczką porządku, to dlaczego w łazience w willi w dzielnicy Tre Fontane panował taki nieład, a różowy szlafrok leżał rzucony ot tak, na podłogę?

Podczas wyśmienitej kolacji (świeżutkie gotowane dorsze z dwoma listkami laurowymi, posypane już na talerzu solą, pieprzem i polaną oliwą z Pantellerii, oraz talerz delikatnych talarków cukinii, które przywracały żołądek i trzustkę do życia) komisarz opowiedział pani Vasile Cozzo najnowsze wydarzenia.

– Jak mi się zdaje – podsumowała pani Clementina – zasadnicze pytanie brzmi następująco: dlaczego morderca zabrał ze sobą ubrania, majtki, buty i worek zmarłej?

– No właśnie – skomentował Montalbano i nie powiedział nic więcej. Nie chciał przerywać pracy mózgu kobiety, która ledwo otworzyła usta, od razu trafiła w sedno.

– Ja o tych sprawach – kontynuowała starsza pani – mogę mówić wyłącznie na podstawie tego, co oglądam w telewizji.

– Nie czyta pani kryminałów?

– Rzadko. A poza tym: co to znaczy „kryminał”? Co to znaczy „powieść sensacyjna”?

– Cóż, to książki, które...

– Oczywiście. Ale nie lubię etykietek. Czy chce pan, żebym opowiedziała dobrą kryminalną historię? A zatem pewien człowiek, po wielu przygodach i szkwałach, zostaje przywódcą miasta. Jednak po jakimś czasie jego poddam zaczynają zapadać na tajemniczą chorobę, na coś w rodzaju dżumy. Człowiek ten wszczyna dochodzenie, żeby odnaleźć przyczynę choroby. I dochodzi do wniosku, że tą przyczyną jest on sam, więc wymierza sobie karę.

– Edyp – mruknął pod nosem Montalbano.

– Czyż nie jest to historia kryminalna?... Ale wróćmy do naszej sprawy. Dlaczego morderca zabiera ubrania ofiary? Pierwsza odpowiedź: bo nie chce, żeby ją zidentyfikowano.

– To nie ten przypadek – powiedział komisarz.

– Słusznie. Wydaje mi się jednak, że myśląc w ten sposób, idziemy drogą, na którą nas naprowadza morderca.

– Nie rozumiem.

– Już wyjaśniam. Ten, kto to zabrał, chce nam zasugerować, że każda

z tych rzeczy jest dla niego równie ważna jak inne. Sprawia, że myślimy o wszystkich rzeczach jako o całości. Ale tak nie jest.

– No właśnie – skomentował ponownie Montalbano, coraz bardziej zachwycony i coraz bardziej przestraszony, że jakąś nieodpowiednią uwagą przerwie nić tego rozumowania.

– Tymczasem worek, ukradzony oddzielnie, jest wart pół miliarda ze względu na znajdującą się w nim biżuterię. I dlatego dla zwykłego złodzieja kradzież worka to tyle co wynagrodzenie za wykonaną pracę, zgoda?

– Zgoda.

– Ale jaki interes ma zwykły złodziej w tym, żeby zabrać wszystkie ubrania? Żadnego. Lecz jeśli zabrał ubrania, majtki i buty, zaczynamy myśleć, że nie jest zwykłym złodziejem. A on jest zwykłym złodziejem, który działając w ten sposób, chce udowodnić, że nim nie jest. Dlaczego? Możliwe, że zrobił tak, żeby zmylić ślady. Chciał ukraść worek ze względu na jego zawartość, lecz popełniwszy morderstwo, próbował ukryć prawdziwy powód.

– No właśnie – potwierdził niepytany Montalbano.

– Idźmy dalej. Być może ten złodziej zabrał z domku również inne rzeczy, których wartości nie znamy.

– Czy mogę zadzwonić? – spytał komisarz, któremu nagle przyszło coś do głowy.

Wybrał numer hotelu „Jolly” w Montelusia i poprosił do telefonu Claudia Pizzotte, dyrektora.

– Ach, komisarzu, co za potworność! To straszne! Retelibera poinformowała właśnie, że biedna pani Licalzi...

Nicolo Zito podał wiadomość, a on zapomniał obejrzeć i sprawdzić, jak dziennikarz skomentował wydarzenie.

– Również Telegigata nadała relację – dodał dyrektor Pizzotta tonem rozpiętym pomiędzy szczerym upodobaniem a udawanym bólem.

Galluzzo wywiązał się więc z obowiązku wobec szwagra.

– Co mam robić, komisarzu? – spytał z udręką dyrektor.

– Nie rozumiem.

– No, z dziennikarzami. Dosłownie mnie oblegają. Chcą wywiadów. Dowiedzieli się, że nieboszczka mieszkała u nas...

Od kogóż innego mogli się dowiedzieć, jeśli nie od samego dyrektora? Komisarz wyobraził sobie Pizzottę przy telefonie, jak zwołuje dziennikarzy, obiecując, że dogłębnie i z detalami wyjawi im ciekawostki dotyczące zamordowanej – pięknej, młodej, a nade wszystko nagiej w chwili śmierci...

– Niech pan robi, co chce. Proszę sobie przypomnieć: czy pani Michela nosiła biżuterię na sobie? Czy miała zegarek?

– Oczywiście, że nosiła, choć z wielką dyskrecją. W przeciwnym razie po cóż przywoziłaby ją do Vigaty z Bolonii? A co do zegarka, to zawsze miała na ręku wspaniałego piageta, cieniutkiego jak kartka papieru.

Montalbano podziękował, odłożył słuchawkę, zreferował pani Clementinie to, co właśnie usłyszał. Starsza pani zamyśliła się na chwilę.

– Trzeba by teraz ustalić, czy mamy do czynienia ze złodziejem, który zamordował z konieczności, czy z mordercą, który chce udawać złodzieja.

– Tak instynktownie to ja w złodzieja nie wierzę.

– Nie można się zdawać na instynkt.

– Ależ, pani Clementino, Michela Licalzi była naga, dopiero co wzięła prysznic. Złodziej usłyszałby hałas i zaczekał, zanim wszedłby do domu.

– A skąd pan wie, że złodziej nie pojawił się tam przed nią? Kobieta wchodzi, złodziej się chowa. Kiedy ona idzie pod prysznic, złodziej myśli, że to najlepszy moment. Opuszcza kryjówkę, łapie to, co chce złapać, ale

zostaje przez nią nakryty. Jak reaguje – wiemy. Możliwe, że wcale nie zamierzał jej zabić.

– A w jaki sposób ten złodziej miałby wejść do środka?

– Tak samo jak pan, komisarzu.

Trafiony, zatopiony. Montalbano nie odpowiedział.

– Przejdźmy do ubrań – ciągnęła pani Clementina. – Jeśli zostały zabrane dla zmyłki, to jedno. Lecz jeśli morderca po prostu musiał je zabrać, to już inna para kaloszy. Co mogło być w nich takiego ważnego?

– To, że mogły mu jakoś zagrażać. Zdradzić jego tożsamość – powiedział Montalbano.

– Słusznie, komisarzu. Lecz widocznie nie stanowiły zagrożenia w chwili, kiedy pani Licalzi je nosiła. Musiały stać się nim później. Ale jak?

– Może się zaplamily – powiedział bez przekonania Montalbano. – Na przykład krwią zabójcy. Jako że...

– Jako że...?

– Jako że nie było jej nigdzie w sypialni. Było trochę krwi na prześcieradle, bo wyciekła z ust pani Micheli. Lecz może chodziło o jakieś inne plamy. Na przykład od wymiotów.

– Lub, dajmy na to, spermy – dodała pani Vasile Cozzo i poczerwieniała.

Było za wcześnie na powrót do domu, więc Montalbano postanowił wpaść do komisariatu i spytać, czy wydarzyło się coś nowego.

– Oj, komisarzu, komisarzu! – zawołał Catarella, kiedy go tylko zobaczył. – To pan jest tutaj? Dzwoniło do pana co przynajmniej z dziesięć osób! Wszyscy chcieli rozmawiać osobiście z pańską osobą! Nie wiedząc, że pan przyjdzie, wszystkim mówiłem, żeby dzwonili jutro rano! I jak zrobiłem: dobrze czy źle, komisarzu?

- Dobrze zrobiłeś, Catarella, wyluzuj. Czy wiesz, czego ode mnie chcieli?
- Były to wszystko osoby, które mówiły, że знаły tę zamordowaną panią.

Na jego biurku w gabinecie Fazio zostawił torebkę foliową z papierami zabranymi z pokoju numer 118. Obok leżały karteczki z informacjami od tych, którzy dzwoniли, lecz nie zastali pani Licalzi, wręczone przez dyrektora Pizzottę Gallowi. Komisarz usiadł, wyjął kalendarz i zaczął przerzucać kartki. Michela Licalzi utrzymywała go w porządku nie mniejszym niż pokój w hotelu: terminy, telefony, miejsca spotkań – wszystko było zanotowane jasno i precyzyjnie.

Doktor Pasquano powiedział – i Montalbano przyznawał mu rację – że kobieta została zamordowana w nocy ze środy na czwartek. Natychmiast zajrzał więc na stronę ze środą, ostatnim dniem życia Micheli Licalzi. Godzina 16.00 – zadzwonić do Rotonda od mebli; 16.30 – zadzwonić do Emanuele; 17.00 – Todaro, rośliny i ogrody; 18.00 – Anna; 20.00 – kolacja u państwa Vassallo.

Pani Licalzi miała plany również na czwartek, piątek i sobotę, nie wiedząc, że ktoś jej przeszkodzi w ich realizacji. W czwartek, oczywiście po południu, zamierzała spotkać się z Anną i pójść z nią do Loconte (w nawiasie: zasłony), a zakończyć wieczór kolacją z jakimś Maurizem. W piątek miała porozmawiać z elektrykiem Riguccio, następnie znów spotkać się z Anną, potem iść na kolację do państwa Cangialosich. Na stronie z sobotą było zapisane jedynie: 16.30 – z lotniska Punta Raisi do Bolonii.

Kalendarz był dużego formatu, w skorowidzu na każdą literę alfabetu przypadały trzy strony, lecz numerów telefonów było tak dużo, że pani Licalzi musiała niekiedy zapisywać dwie różne osoby w tej samej linijce.

Montalbano odłożył kalendarz, wyjął z torebki foliowej inne kartki. Nic ciekawego – same rachunki i paragony: każdy grosz wydany na budowę i urządzenie domku został skrupulatnie odnotowany. W zeszycie w kratkę

pani Michela zapisała w kolumnie wszystkie wydatki, jak gdyby przygotowywała się na kontrolę policji finansowej. W torebce była również książeczka czekowa Banku Spółdzielczego w Bolonii, a raczej sama jej obwoluta. Montalbano znalazł jeszcze bilet na lot Palermo-Rzym-Bolonia na sobotę, 16.30.

Ani śladu listu osobistego czy jakiejś prywatnej karteczki. Postanowił kontynuować pracę w domu.

5

Do przejrzenia pozostały mu karteczki z wiadomościami. Komisarz zaczął od tych, które Michela zgromadziła w niewielkim biurku hotelowego pokoju. Było ich około czterdziestu i Montalbano podzielił je na osoby. Spośród wszystkich stosików wysokością wyróżniały się trzy. Kobieta o imieniu Anna zazwyczaj dzwoniła w ciągu dnia i prosiła, żeby Michela odezwała się do niej po przebudzeniu lub po powrocie do hotelu. Niejaki Maurizio dwa albo trzy razy dzwonił rano, lecz na ogół wolał robić to późną nocą, i zawsze prosił o telefon. Trzeci stosik należał do niejkiego Guida, który telefonował z Bolonii i podobnie jak Maurizio był nocnym markiem, lecz w odróżnieniu od tamtego nie zostawiał żadnych wiadomości.

Karteczek, które dyrektor Pizzotta wręczył Gallowi, było dwadzieścia: odnotowano na nich wszystkich dzwoniących do Micheli od momentu jej wyjścia z hotelu w środę po obiedzie do czasu, kiedy podano wiadomość o jej śmierci. Jednak jeszcze wcześniej, w środę rano, w porze, którą pani Licalzi poświęcała na sen, dzwonił do niej około dziesiątej trzydzieści Maurizio, zaraz potem odezwała się też Anna. Około dziewiątej wieczorem, wciąż w środę, poszukiwała Micheli pani Vassallo, która po godzinie ponowiła próbę. Anna zatelefonowała raz jeszcze tuż przed północą.

O trzeciej w nocy, czyli już w czwartek, dzwonił bolończyk Guido. O dziesiątej trzydzieści rano znowu przypomniła o sobie Anna (która najwyraźniej nie miała pojęcia, że Michela nie wróciła do hotelu na noc), o jedenastej niejaki Loconte potwierdzał poobiednie spotkanie. W południe, wciąż w czwartek, dzwonił pan Aurelio Di Blasi, który ponawiał starania prawie co trzy godziny, do siódmej wieczorem w piątek. Telefony od Anny, począwszy od czwartku rano, miały charakter lawinowy: urywały się

w piątek wieczorem, na pięć minut przed podaniem w Reteliberze wiadomości o odnalezieniu zwłok.

Coś tu nie grało. Montalbano nie umiał powiedzieć co i ta wątpliwość nie dawała mu spokoju. Wstał, wyszedł na werandę, z której schodziło się bezpośrednio na plażę, zdjął buty i zaczął iść po piasku, aż dotarł do brzegu. Podwinął sobie nogawki i stanął tuż przed linią wody, która co jakiś czas zalewała stopy. Uspokajający szum bryzy pomógł mu poukładać myśli. Aż wreszcie zrozumiał, co go dręczy. Wszedł do domu, wziął kalendarz i otworzył na środzie. Michela zaznaczyła, że musi iść na kolację do państwa Vassallo na ósmą. Dlaczego więc pani Vassallo dzwoniła do niej do hotelu o dziewiątej i dziesiątej wieczorem? Czy Michela nie stawiała się na spotkanie? A może pani Vassallo, która do niej dzwoniła, nie miała nic wspólnego z państwem Vassallo, którzy zaprosili ją na kolację?

Spojrzał na zegarek, minęła już północ. Pomyślał, że sprawa jest zbyt poważna, by respektować dobre obyczaje. W książce telefonicznej widniały trzy osoby o nazwisku Vassallo. Wybrał pierwszy numer i trafił od razu.

– Przepraszam, nazywam się Montalbano, jestem komisarzem policji...

– Pan komisarz! Mówi Ernesto Vassallo. Rano sam miałem się zjawić u pana. Moja żona jest załamana, musiałem wezwać lekarza. Czy są jakieś nowości?

– Nie. Muszę pana o coś zapytać.

– Jestem do dyspozycji. Dla biednej Micheli...

Montalbano zajrzał do zapisków pani Licalzi.

– Wyczytałem z terminarza, że w środę wieczorem pani Michela miała być na kolacji...

Tym razem to Ernesto Vassallo mu przerwał.

– No i właśnie nie przyszła! Czekaliśmy długo, i nic. Nawet nie

zadzwoiła, a przecieŹ to zupełnie nie w jej stylu! ZmartwiliŹmy się, bo nabraliŹmy podejrzeń, Źe moŹe źle się poczuła. TelefonowaliŹmy kilka razy do hotelu, dzwoniliŹmy równieŹ do jej przyjaciółki, Anny Tropeano, ale powiedziała nam, Źe nie ma pojęcia, co się dzieje z Michela, Źe widziała się z nią koło szóstej, Źe spędziły razem jakieś pół godziny, a potem Michela poszła, mówiąc, Źe idzie do hotelu się przebrać.

– Jestem panu naprawdę wdzieczny. Proszę nie przychodzić jutro rano do komisariatu, będę miał mnóstwo spotkań. Proszę przyjść po południu, o której panu będzie wygodnie. Dobranoc.

Skoro powiedział „a”, postanowił powiedziec i „b”. Odszukał w książce telefonicznej numer Aurelia Di Blasi i zadzwonił. Pierwszy dzwonek nie zdążył jeszcze wybrzmieć, kiedy ktoś podniósł słuchawkę.

– Halo! Słucham! To ty? Powiedz, to ty?

Był to głos mężczyzny w średnim wieku, zatroskanego, rozgorączkowanego.

– Mówi komisarz Montalbano.

– Aha.

Montalbano poczuł, Źe sprawił rozmówcy głęboki zawód. Na czyj telefon tak bardzo czekał?

– Panie Di Blasi, na pewno wie pan juŹ o biednej...

– Wiem, wiem, widziałem w telewizji.

Zawód przybrał postać nieskrywanej irytacji.

– Chciałbym się dowiedziec, dlaczego od czwartku w południe do piątkowego wieczoru dzwonił pan tak często do pani Licalzi.

– A co w tym dziwnego? Jestem dalekim krewnym męża Micheli. Kiedy przyjeżdŹała tutaj, Źeby zajmować się domem, zwracała się do mnie o radę i pomoc. Jestem inŹynierem budowlanym. W czwartek zadzwoniłem do niej,

żeby zaprosić ją do nas na kolację, ale portier powiedział, że nie wróciła na noc. Portier mnie zna, więc nie ma przede mną sekretów. Zacząłem się niepokoić. Czy to naprawdę takie zaskakujące?

Ton głosu Di Blasiego nabierał ironii i agresji. Komisarz czuł, że za chwilę nerwy inżyniera puszczą jak stare sznurowadła.

– Nie – odpowiedział i odłożył słuchawkę.

Nie musiał dzwonić do Anny Tropeano, i tak już wiedział, co mu powie, bo poinformował go o tym pan Vassallo. Wezwie ją do komisariatu. W tej chwili jedno było pewne: Michela Licalzi zniknęła ludziom z oczu w środę około siódmej wieczorem. Do hotelu już nie dotarła, choć zgłosiła przyjaciółce taki zamiar.

Nie chciało mu się spać, więc położył się z książką, powieścią Deneviego, argentyńskiego pisarza, którego bardzo lubił.

Kiedy powieki zaczęły mu ciążyć, odłożył książkę i wyłączył światło. Jak to często zdarzało mu się przed snem, pomyślał o Livii. I aż usiadł na łóżku. Natychmiast odechciało mu się spać. Jezu, Livia! Nie odezwał się do niej od tamtej nocy, kiedy była burza, a on udał, że połączenie zostało przerwane.

Livia na pewno w to nie uwierzyła, zresztą później już nie dzwoniła. Musi to natychmiast naprawić.

– Słucham, kto mówi? – usłyszał zaspany głos Livii.

– To ja, Salvo, kochana.

– Daj mi spać!

Łup. Montalbano jeszcze chwilę posiedział z milczącą słuchawką w dłoni.

Była ósma trzydzieści, kiedy wszedł do komisariatu z kartkami Micheli. Po nieudanej próbie rozmowy z Livią był na tyle podenerwowany, że nie

mógł już zasnąć. Nie musiał wzywać Anny Tropeano; Fazio powiedział, że kobieta czeka na niego od ósmej.

– Posłuchaj, chcę wiedzieć wszystko o Aureliu Di Blasi, inżynierze budowlanym z Vigaty.

– Wszyściuteńko? – spytał Fazio.

– Wszyściuteńko.

– Pod wyrazem „Wszyściuteńko” rozumiem również plotki, brudy...

– I to właśnie mam na myśli.

– A ile daje mi pan na to czasu?

– Nie próbuj się bawić w związkowca, Fazio. Masz dwie godziny: to nawet za dużo.

Fazio z urazą popatrzył na przełożonego i oddalił się bez pożegnania.

W zwykłych warunkach Anna Tropeano musiała być ładną, zgrabną trzydziestolatką o kruczoczarnych włosach, smagłej karnacji i czystym spojrzeniu. Teraz jednak miała przygarbione plecy, czerwone, podpuchnięte oczy, a jej skóra była prawie szara. Usiadła.

– Czy mogę zapalić? – spytała.

– Oczywiście.

Zapaliła papierosa, ręce jej drżały. Zmusiła się do uśmiechu.

– Rzuciłam tydzień temu, ale od wczoraj wypaliłam co najmniej trzy paczki.

– Dziękuję, że przyszła pani bez zaproszenia. Chciałbym dowiedzieć się od pani wielu rzeczy.

– Proszę bardzo.

Montalbano w głębi duszy odetchnął z ulgą. Anna była silną kobietą, mógł zapomnieć o płaczu czy omdleniach. I w ogóle ta kobieta od razu przypadła

mu do gustu, kiedy tylko pojawiła się w drzwiach.

– Proszę o odpowiedź nawet wtedy, kiedy moje pytania wydadzą się pani dziwne.

– Oczywiście.

– Zameężna?

– Kto?

– Pani.

– Nie, niezameężna. Nie w separacji, nie rozwiedziona. Nie mam też narzeczonego. Jestem sama.

– Dlaczego?

Choć Montalbano ją uprzedził, Anna zawahała się na moment, czy ma odpowiedzieć na tak osobiste pytanie.

– Myślę, że nigdy nie miałam czasu, żeby zadbać o siebie, panie komisarzu. Zanim skończyłam studia, rok wcześniej, mój ojciec umarł na zawał. Był jeszcze młody. Kiedy zrobiłam dyplom, po roku umarła mi mama, więc musiałam zająć się Marią, moją młodszą siostrą, która ma dziś dwadzieścia dziewięć lat, rodzinę i mieszka w Mediolanie, a także Giuseppe, bratem, który pracuje teraz w banku w Rzymie i ma dwadzieścia siedem lat. Ja mam trzydzieści jeden. Lecz poza tym myślę, że nie spotkałam jeszcze właściwej osoby.

Nie była urażona, wydawała się wręcz spokojniejsza: fakt, że komisarz nie przeszedł od razu do rzeczy, pozwolił jej na głębszy oddech. Montalbano pomyślał, że jeszcze przez chwilę dobrze będzie pozełgować daleko od raf.

– Czy mieszka pani wciąż w tym samym domu po rodzicach?

– Tak, kupił go jeszcze tata. To niewielka willa tuż za wjazdem do Marinelli. Zrobił się dla mnie za duży.

– To ten na prawo, zaraz za mostem?

– Tak.

– Przejeżdżam przed nim co najmniej dwa razy dziennie. Ja też mieszkam w Marinelli.

Anna Tropeano popatrzyła na niego zdziwiona. Co za dziwny gliniarz!

– Czy pani pracuje?

– Tak, uczę w liceum w Montelusie.

– Czego?

– Fizyki.

Montalbano spojrzał na nią z podziwem. W szkole z fizyki zawsze lądował z naciąganą trójką: gdyby miał taką nauczycielkę jak Anna, może zostałby Einsteinem.

– Czy pani wie, kto zamordował Michelę?

Anna Tropeano aż podskoczyła na krześle i spojrzała na komisarza błagalnym wzrokiem: a już było tak dobrze, dlaczego zakładasz maskę gliniarza, który próbuje być gorszy od psa gończego? Z jej oczu można było wyczytać pytanie: „Czy ty nigdy nie odpuszczasz?”

Montalbano uśmiechnął się i rozłożył ręce w geście rezygnacji, jakby chciał powiedzieć: „To moja praca”.

– Nie – odpowiedziała twardo i zdecydowanie Anna Tropeano.

– Czy ma pani jakieś podejrzenia?

– Nie.

– Pani Licalzi wracała zazwyczaj do hotelu o świcie. Chciałbym spytać...

– Przychodziła do mnie. Do mojego domu. Prawie codziennie jadłyśmy razem kolację. Jeśli jadła gdzie indziej, to i tak potem do mnie wpadała.

– Co robiłyście?

– A co robią przyjaciółki? Rozmawiałyśmy, oglądałyśmy telewizję,

słuchałyśmy muzyki. Albo nie robiłyśmy nic. Było nam miło, że mogliśmy pobyć ze sobą.

– Czy miała jakieś męskie przyjaźnie?

– Owszem. Ale sprawy nie przedstawiały się tak, jak można by sądzić po pozorach. Jej bezpośredniość mężczyźni brali za dobrą monetę. I byli skazani na zawód.

– Czy któryś wykazywał się szczególną natarczywością?

– Kto?

– Nie powiem, łatwo się pan domyśli.

– Krótko mówiąc, pani Licalzi była wierna mężowi.

– Nie to chciałam powiedzieć.

– A co?

– To, co powiedziałam.

– Znałyście się od dawna?

– Nie.

Montalbano spojrzał na nią, wstał, podszedł do okna. Anna, z nieskrywaną irytacją, zapaliła czwartego papierosa.

– Nie podoba mi się ton, jaki przybrała nasza rozmowa – powiedział Montalbano odwrócony plecami do Anny.

– Mnie też.

– Rozejm?

– Rozejm.

Montalbano odwrócił się przodem i uśmiechnął. Anna odwzajemniła uśmiech. Ale krótko. Potem podniosła rękę jak uczeń, który chce zadać pytanie.

– Czy może mi pan powiedzieć, jak została zamordowana?

– W telewizji nie mówili?

– Nie. Ani w Reteliberze, ani w Televigacie. Podali wiadomość o znalezieniu zwłok, i tyle.

– Nie powinienem tego mówić, ale dla pani zrobię wyjątek. Została uduszona.

– Poduszką?

– Nie, przycisnęli jej twarz do materaca.

Anna zaczęła się kołysać jak wierzchołek drzewa poruszanego przez wiatr. Komisarz wyszedł i wrócił po chwili z butelką wody i szklanką. Anna piła łapczywie, jakby dopiero co przeszła przez pustynię.

– Mój Boże, po co ona pojechała do tego domu? – spytała bardziej sama siebie niż komisarza.

– Czy pani kiedyś tam była?

– Pewnie. Jeździłyśmy tam z Michela prawie codziennie.

– Czy zdarzało się jej tam nocować?

– O ile wiem, to nie.

– Ale w łazience był szlafrok, były ręczniki, kremy.

– Wiem, Michela postanowiła najpierw urządzić łazienkę. Kiedy tam pracowała, kurz i cement siłą rzeczy robiły swoje. A więc zawsze przed wyjściem brała prysznic.

Montalbano poczuł, że nadszedł dobry moment na cios poniżej pasa. Robił to niechętnie, nie chciał jej zranić zbyt głęboko.

– Była całkiem naga.

Annę jakby przeszedł prąd. Wytrzeszczyła oczy, próbowała coś z siebie wydusić, ale nie mogła. Montalbano nalał jej wody do szklanki.

– Została... została zgwałcona?

– Nie wiem. Lekarz sądowy jeszcze do mnie nie dzwonił.

– Przecież miała iść do hotelu... Po co pojechała do tego przeklętego domu? – raz jeszcze zadała sobie rozpaczliwe pytanie.

– Morderca zabrał ubrania, majtki i buty.

Anna popatrzyła na niego z niedowierzaniem, jak gdyby komisarz wymyślał niestworzone historie.

– Z jakiego powodu?

Nie odpowiedział, tylko ciągnął dalej swój wątek.

– Zabrał również worek, ze wszystkim, co było w środku.

– To akurat można zrozumieć. Michela nosiła w nim całą swoją biżuterię, a było jej dużo, i to sporej wartości. Jeśli mordercą jest złodziej, który został nakryty w chwili...

– Momencik. Pan Vassallo powiedział, że pani Michela spóźniła się na umówioną kolację, więc nie mogąc się jej doczekać, zadzwonił do pani.

– To prawda. Wiedział, że miałyśmy spotkać się wcześniej. Kiedy się rozstawałyśmy, Michela powiedziała, że jedzie do hotelu się przebrać.

– A propos: jak była ubrana?

– W dżinsy, miała nawet dżinsowy zakiet. I sportowe buty.

– Do hotelu jednak nie dotarła. Z jakiegoś powodu zmieniła zdanie. Czy miała telefon komórkowy?

– Tak, nosiła go w kieszeni.

– Mogło się zatem zdarzyć, że kiedy jechała do hotelu, ktoś do niej zadzwonił i sprawił, że zakręciła do domu.

– Może to pułapka?

– Zastawiona przez kogo? Na pewno nie przez złodzieja. Czy słyszała pani kiedyś o złodzieju, który wzywa właściciela okradanego domu?

– Czy stwierdził pan, że w domu czegoś brakuje?

– Zegarka marki „Piaget” nie ma na pewno. Co do reszty, to nie wiem. Nie wiem też, co wartościowego było tam przedtem. Wszędzie panuje porządek, bałagan jest tylko w łazience.

Anna zrobiła zdziwioną minę.

– Bałagan?

– Tak, na przykład różowy szlafrok leżał na podłodze. Dopiero co skończyła brać prysznic.

– Panie komisarzu, rysuje pan przede mną obraz, który wcale do mnie nie przemawia.

– A co w nim jest nie tak?

– Nie wierze w to, że Michela pojechała do domu, by się spotkać z mężczyzną, i tak bardzo chciała iść z nim do łóżka, że w pośpiechu rzuciła szlafrok byle jak na podłogę.

– To chyba możliwe, nie?

– Owszem, ale nie w przypadku Micheli.

– Czy wie pani, kim jest niejaki Guido, który co noc dzwonił do niej z Bolonii?

Strzelił na oślep, ale trafił w sedno. Anna Tropeano zmieszała się i odwróciła wzrok.

– Mówiła pani, że Michela była wierna.

– Tak.

– Swojej jedynej zdradzie?

Anna przytaknęła głową.

– Czy może pani powiedzieć, jak on się nazywa? Wyświadczy mi pani przysługę. I tak bym do tego doszedł, lecz dzięki pani zyskam na czasie.

A więc?

– Nazywa się Guido Serravalle, jest antykwariuszem. Nie znam ani numeru telefonu, ani adresu.

– Dziękuję, to wystarczy. Około południa przyjdzie tu pan Licalzi. Czy chce się pani z nim spotkać?

– Ja?! A dlaczego? Nawet go nie znam.

Komisarz nie musiał zadawać kolejnych pytań, Anna sama mówiła dalej.

– Michela wyszła za doktora Licalziego dwa i pół roku temu. To ona chciała jechać w podróż poślubną na Sycylię. Ale to nie wtedy się poznałyśmy. Spotkałyśmy się później, kiedy wróciła tu sama z zamiarem wybudowania domu. Pewnego dnia jechałam samochodem do Montelusy, a ona jechała w przeciwnym kierunku swoim twingo. Obie byłyśmy zamyślane, niewiele brakowało, a miałybyśmy zderzenie czołowe. Wysiadłyśmy, żeby się nawzajem przeprosić, i od razu się polubiłyśmy. Michela przyjeżdżała na Sycylię zawsze sama.

Była zmęczona, Montalbanowi zrobiło się jej żal.

– Bardzo mi pani pomogła. Dziękuję.

– Mogę już iść?

– Oczywiście.

Wyciągnął dłoń, Anna ujęła ją w obie ręce.

Komisarz poczuł, jak przepływa przez niego fala gorąca.

– Dziękuję – powiedziała.

– Za co?

– Że mogłam pomówić o Micheli. Nie mam z kim... Dziękuję. To bardzo mnie wyciszyło.

6

Kiedy tylko Anna Tropeano opuściła gabinet komisarza, drzwi otworzyły się znowu, uderzając z impetem o ścianę, a do środka, z podniesioną głową, wszedł Catarella.

– Następnym razem, jak tak wejdiesz, palnę ci w łeb. Dobrze wiesz, że nie żartuję – powiedział spokojnie Montalbano.

Lecz Catarella był za bardzo rozgorączkowany, żeby się tym przejmować.

– Panie komisarzu, chciałem panu powiedzieć, że dzwoniли do mnie z kwestury w Montelusie. Czy pamięta pan, jak mówiłem o tym kursie informatycznym? Zaczyna się w poniedziałek rano i mam się stawić. Jak wy sobie dacie radę beze mnie przy telefonie?!

– Jakoś przeżyjemy, Catarella.

– Oj, komisarzu, panie komisarzu. Rozkazał mi pan nie przeszkadzać, kiedy będzie pan rozmawiał z tą panią, i zrobiłem tak, jak pan chciał! Ale mówię panu: z telefonami to był prawdziwy takatlizm! Wszystkie zapisałem na tej karteczce.

– Daj mi ją i idź już sobie.

Na krzywo wydartej z zeszytu kartce było zapisane: „Dzwonili Vizzallo Guito Sera falle Losconte pana pszyjaciel Zito Rotonno Totano Ficuccio Cangialosi znowu ponownie Sera falle z boloni Cipollina Pinissi Cacomo”.

Montalbano zaczął się drapać po całym ciele. Musiała to być jakaś tajemnicza forma alergii, lecz za każdym razem, kiedy czytał pismo Catarelli, nieuchronnie dostawał ataku świądu. Ze świętą cierpliwością zaczął rozszyfrowywać: Vassallo, Guido Serravalle – boloński kochanek Micheli, Loconte – dostawca tkanin na zasłony, dziennikarz Nicolo Zito, Rotondo –

ten od mebli, Todaro – rośliny i ogrody, Riguccio – elektryk, Cangelosi – ten, który zaprosił Michelę na kolację, ponownie Serravalle. Wreszcie Cipollina, Pinissi i Cacommo (błędem byłoby zapewne zakładać, że nazywali się właśnie tak, jak zapisał to Catarella), którzy nie wiadomo, kim są, choć łatwo się było domyślić, że przyjaciółmi lub znajomymi pani Licalzi.

– Można? – spytał Fazio, zaglądając do środka.

– Wchodź. Masz wiadomości o inżynierze Di Blasi?

– Pewnie. Gdybym nie miał, to przecież nie pokazałbym się panu na oczy.

Fazio wyraźnie czekał na pochwałę za tempo, w jakim udało mu się zebrać informacje.

– No i teraz sam widzisz, że była to robota na godzinę – powiedział prowokacyjnie komisarz.

Fazio się naburmuszył.

– Myślałem, że pan choć podziękuje.

– Niby dlaczego? Chcesz, bym dziękował ci za to, że wykonujesz swoje obowiązki?

– Czy pozwoli mi pan, komisarzu, na szczerłość? Dziś rano jest pan po prostu okropny.

– A propos, dlaczego nie miałem dziś jeszcze ani zaszczytu, ani, w cudzysłowie, przyjemności widzieć się z komisarzem Augello?

– Wziął Germana i Galluzza i pojechał w sprawie tej cementowni.

– Jakiej cementowni?

– To pan nie wie? Wczoraj trzydziestu pięciu robotnikom z cementowni wręczono wymówienia. Dziś rano wszczęli rozróbę: krzyki, kamienie i takie tam historie. Dyrektor cementowni przestraszył się i nas wezwał.

– I dlaczego Mimi Augello tam pojechał?

- Przecież dyrektor go prosił o pomoc!
 - Jezu! Mówiłem to już chyba ze sto razy albo i więcej: nie chcę, żeby ktokolwiek z nas mieszał się w takie sprawy!
 - A co miał zrobić biedny komisarz Augello?
 - Odesłać dyrektora do karabinierów, oni tylko czekają na takie wezwania! Zresztą dyrektorowi cementowni i tak znajdą jakąś inną posadkę, a w dupę dostaną tylko robotnicy. I co, może mamy im na dokładkę jeszcze przywalić pałką?
 - No to proszę mi, komisarzu, pozwolić na jeszcze jedną szczerość. Pan jest komunistą, i tyle. I to nie jakimś tam sobie komunistą, lecz radykałem.
 - Coś ty się uczeplił tego komunizmu, Fazio?! Nie jestem komunistą: wbij to sobie do głowy raz na zawsze, dobrze?
 - No dobrze, ale i tak pan mówi jak oni.
 - A czy możesz już się odczepić od polityki?
 - Tak jest. A więc: Di Blasi Aurelio, z ojca Giacoma i matki Carlentini Marii Antonietty, urodzony w Vigacie trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku...
 - Kiedy tak mówisz, zaczynam się wkurzać. Wyglądasz jak gość z urzędu stanu cywilnego.
 - Nie podoba się panu, komisarzu? Chce pan, żebym zaśpiewał? A może mam to panu zrymować?
- Zadzwonił telefon.
- No, to teraz sobie poczekamy – westchnął Fazio.
 - Halo, pan komisarz? Mam tu na telefonie pana Cacomo, tego, co to już dzwonił. Co mam zrobić?
 - Połącz.

– Komisarz Montalbano? Nazywam się Gillo Jacono, miałem przyjemność poznać pana w domu pani Vasile Cozzo, jestem jej byłym uczniem.

W słuchawce, w tle, Montalbano usłyszał kobiecy głos, wzywający pasażerów lotu do odprawy.

– Pamiętam doskonale, słucham.

– Jestem na lotnisku, mam kilka minut, proszę wybaczyć, że będę mówił krótko.

Krótką mowę komisarz był skłonny wybaczyć zawsze i wszędzie.

– Dzwonię w sprawie tej zamordowanej kobiety.

– Czy pan ją znał?

– Nie, ale w środę wieczorem, mniej więcej o dwunastej w nocy, jechałem samochodem z Montelusy w kierunku Vigaty. W pewnej chwili silnik zaczął wariować i musiałem znacznie zwolnić. W okolicach Tre Fontane wyprzedziło mnie ciemne twingo, które po chwili zatrzymało się przy zjeździe do niewielkiej willi. Wysiedli z niego mężczyzna i kobieta i weszli w alejkę, która prowadzi do domu. Nie widziałem nic więcej, ale tego, co widziałem, jestem pewny.

– Kiedy pan wraca do Vigaty?

– W czwartek.

– Proszę do mnie przyjść po powrocie. Dziękuję.

Montalbano uleciał, co oznaczało tyle, że jego ciało tkwiło w fotelu, lecz głowa była gdzie indziej.

– Co mam robić? Może przyjdę za chwilę? – spytał zrezygnowany Fazio.

– Nie, mów.

– Na czym to ja skończyłem? A tak, no więc Di Blasi jest inżynierem budowlanym, ale nie ma własnej firmy. Mieszka w Vigacie, ulica Laporta

numer osiem, żonaty z Dali Cardillo Teresą, która jest gospodynią domową, ale dobrze sytuowaną. Właściciel sporej posiadłości rolnej w Raffadali, w prowincji Montelusa, z zabudowaniami gospodarczymi, które zaadaptował na dom mieszkalny. Ma dwa samochody, mercedesa i tempę. Dwoje dzieci. Córka Manuela ma trzydzieści lat, jest zamężna z handlowcem i mieszka w Holandii. Mają dwoje dzieci, trzyletniego Giuliana i rocznego Domenica. Jej mieszkanie...

– Zaraz palnę ci w łeb – warknął Montalbano.

– Dlaczego? Co ja takiego zrobiłem? – spytał z udawaną naiwnością Fazio.

– Przecież sam pan powiedział, że chce wiedzieć „wszyściuteńko”.

Zadzwoił telefon. Fazio jęknął i wbił oczy w sufit.

– Komisarz? Mówi Emanuele Licalzi. Dzwonię z Rzymu. Samolot wyleciał z Bolonii z dwugodzinnym opóźnieniem, więc nie zdążyłem na lot do Palermo. Będę dopiero około trzeciej.

– Nie szkodzi, czekam na pana.

Spojrzał na Fazia, a Fazio spojrzał na niego.

– Masz jeszcze dużo tych pierdoł?

– Prawie skończyłem. Syn ma na imię Maurizio.

Montalbano wyprostował się na krześle i nastawił uszu.

– Ma trzydzieści jeden lat, jest studentem.

– W tym wieku i jeszcze studiuje?!

– No właśnie, chyba nie jest zbyt lotny. Mieszka z rodzicami. I to wszystko.

– Oj, coś mi się zdaje, że to jednak wcale nie wszystko. Gadaj, co wiesz.

– Ale to tylko plotki...

– Wal bez skrupułów.

Było oczywiste, że w tej rozgrywce z przełożonym Fazio dobrze się bawi i że najmocniejsze karty wciąż jeszcze trzyma w garści.

– A więc do rzeczy. Inżynier Di Blasi jest dalekim krewnym doktora Emanuele Licalziego. Kiedy pani Michela zaczęła bywać u nich w domu, Maurizio zupełnie stracił głowę. Sąsiedzi mieli niezłe widowisko: kiedy pani Licalzi szła przez Vigatę, on lazał za nią z wywieszonym językiem.

A więc to Maurizia nie chciała wymienić Anna.

– Wszyscy, z którymi rozmawiałem – ciągnął Fazio – powiedzieli mi, że to pocziwiec. Dobry, tylko trochę przygłupi.

– Dobrze, dziękuję.

– Jest coś jeszcze – powiedział Fazio i było widać, że chowa w zanadru ostatnią, najbardziej okazałą salwę, z tych, jakie się trzyma na wielki finał pokazu fajerwerków. – Otóż w środę wieczorem chłopak prawdopodobnie zniknął. Niezłe, nie?

– Doktor Pasquano? Mówi Montalbano. Czy ma pan dla mnie jakieś wiadomości?

– Owszem, miałem właśnie do pana dzwonić.

– A więc słucham.

– Ofiara nie jadła kolacji. No, może coś niewielkiego, jakąś kanapkę. Miała wspaniałe ciało, w środku i na zewnątrz. Zdrowa jak rydz, doskonały mechanizm. Nie piła, nie brała narkotyków. Śmierć nastąpiła przez uduszenie.

– To wszystko? – Montalbano był rozczarowany.

– Nie. Miała niewątpliwie stosunki.

– Została zgwałcona?

– Nie sądzę. Miała bardzo mocny czy... jak by to powiedzieć... intensywny

stosunek pochwowy, lecz nie znalazłem ani śladu spermy. Następnie miała stosunek analny, również bardzo mocny i też bez nasienia.

– Dlaczego wyklucza pan gwałt?

– To proste. Do przygotowania stosunku analnego został użyty środek zmiękczający, pewnie jeden z tych kremów nawilżających, które kobiety trzymają w łazienkach. Czy słyszał pan kiedyś, żeby gwałcieciel zatroszczył się o komfort ofiary? Nie, proszę mi wierzyć: to musiało nastąpić za jej przyzwoleniem. Na razie to wszystko, niedługo podam kolejne szczegóły.

Komisarz miał doskonałą pamięć fotograficzną. Zamknął oczy, ujął głowę w dłonie, skupił się. I po chwili wyraźnie zobaczył słoiczek z kremem nawilżającym, z odłożoną na bok przykrywką, pierwszy po prawej stronie na półce w zabałaganionej łazience willi.

Na ulicy Laporta numer 8 na karteczce domofonu widniał napis: „Inż. Aurelio Di Blasi”. I to wszystko. Zadzwoił, usłyszał kobiecy głos.

– Kto tam?

Postanowił nikogo nie denerwować bez potrzeby – mieszkańcy tego domu i tak mieli już o czym myśleć.

– Czy jest pan inżynier?

– Nie, ale niedługo wróci. Kto pyta?

– Jestem przyjacielem Maurizia. Czy może mnie pani wpuścić?

Przez chwilę poczuł, że wskakuje do szamba. Ale trudno: taką miał pracę.

– Ostatnie piętro – powiedział głos.

Drzwi windy otworzyła mu kobieta koło sześćdziesiątki, potargana i wymęczona.

– Jest pan przyjacielem Maurizia? – spytała gorączkowo.

– I tak, i nie – odpowiedział Montalbano, czując, że tonie w szambie po

szyję.

– Proszę wejść.

Wprowadziła go do dużego salonu, urządzonego ze smakiem, wskazała fotel, a sama usiadła na krześle, kołysząc się do przodu i tyłu, milcząca i zrozpaczona. Okiennice były zamknięte, skąpe światło przenikało pomiędzy listwami. Montalbano czuł się jak w domu, gdzie właśnie ktoś umarł. Pomyślał, że zmarły, choć niewidzialny, jest tutaj naprawdę i ma na imię Maurizio. Na stoliku leżało około dziesięciu zdjęć, które przedstawiały tę samą twarz, ale w mroku, który panował w salonie, nie można było dostrzec rysów. Komisarz westchnął głęboko jak nurek, który nabiera powietrza, zanim zanurzy się w wodzie. On też zamierzał się zanurzyć – w czeluść bólu, jaką były w tej chwili myśli pani Di Blasi.

– Czy miała pani wiadomości od syna?

Na pierwszy rzut oka było widać, że sprawy mają się tak, jak opowiedział mu Fazio.

– Nie. Szukają go wszyscy, na morzu i lądzie. Mój mąż, jego przyjaciele...
Wszyscy.

Zaczęła płakać bezgłośnie, łzy ściekały jej po twarzy, opadały na spódnicę.

– Czy miał przy sobie dużo pieniędzy?

– Co najmniej pół miliona lirów. Miał też kartę... jak ona się nazywa...
bankomatową.

– Przyniosę pani szklanekę wody. – Montalbano podniósł się z krzesła.

– Nie trzeba – powiedziała kobieta, wstała i wyszła z pokoju.

Montalbano w mgnieniu oka wziął jedno ze zdjęć, popatrzył przez chwilę na chłopca o źrebięcej twarzy i pozbawionych wyrazu oczach i włożył fotkę do kieszeni. Inżynier Di Blasi najwyraźniej miał zamiar je rozdać.

Kiedy matka Maurizia wróciła, zamiast usiąść, stanęła wyprostowana

w drzwiach. Stała się podejrzliwa.

– Pan jest o wiele starszy od mojego syna. Czy może pan powtórzyć nazwisko?

– Tak naprawdę to Maurizio jest przyjacielem mojego młodszego brata, Giuseppe.

Wybrał jedno z najbardziej popularnych imion na Sycylii. Ale kobieta już o tym nie myślała, usiadła i znowu zaczęła się kołysać.

– A więc nie mieliście o nim żadnych wiadomości od środy?

– Nic a nic. Na noc nie wrócił, a przecież nigdy mu się to nie zdarzało. To poczciwy chłopak, spokojny. Jak ktoś mu powie, że psy mają skrzydła, uwierzy od razu. W czwartek rano mąż zamartwiał się już na dobre, zaczął wydzwaniać. Jego przyjaciel Pasquale Corso widział, jak Maurizio szedł do baru „Italia”. Jakoś tak około dziewiętej wieczorem.

– Czy miał telefon komórkowy?

– Tak. Ale kim pan jest?

– No nic – powiedział komisarz i wstał z krzesła. – Już nie będę pani przeszkadzał.

Ruszył szybkim krokiem w kierunku drzwi, otworzył i odwrócił się w progu.

– Kiedy po raz ostatni była tu pani Michela Licalzi?

Kobieta poczerwieniała.

– Niech pan nawet nie wspomina tej kurwy! – powiedziała.

I zatrasnęła mu drzwi za plecami.

Bar „Italia” był tuż przy komisariacie. Wszyscy, nie wykluczając Montalbana, czuli się tu jak u siebie. Właściciel siedział przy kasie: był to kawał chłopca o bandyckim spojrzeniu, które kontrastowało z jego wrodzoną

uprzejmością. Nazywał się Gelsomino Patti.

– Co panu podać, komisarzu?

– Nic, Gelsomino. Chcę cię o coś zapytać. Znasz Maurizia Di Blasi?

– Znalezli go?

– Jeszcze nie.

– Ojciec, biedaczysko, był tu co najmniej dziesięć razy, żeby zapytać, czy mam jakieś wiadomości. Ale jakich wiadomości on się po mnie spodziewa? Jeśli Maurizio wróci, pójdzie do domu. Przecież nie usiądzie sobie w barze jakby nigdy nic.

– Podobno Pasquale Corso...

– Już wiem to od jego ojca, komisarzu. Mnie również powiedział, że Maurizio był tu wieczorem około dziewiętej, ale sprawy mają się inaczej. Tak naprawdę to zatrzymał się na ulicy, dokładnie tutaj, przed barem. Siedziałem wtedy przy kasie i widziałem go jak na dłoni. Miał już wejść, ale przystanął, wyciągnął telefon komórkowy, wybrał jakiś numer i zaczął rozmawiać. Chwilę potem już go nie było. A więc w środę wieczorem wcale nie wszedł do środka, to pewne. Po co miałbym kłaniać?

– Dziękuję, Gelsomino. Do widzenia.

– Komisarzu! Dzwonił z Montelusy komisarz Mleczko.

– Mlecko, Catarella, nie zdrabniaj bez potrzeby.

– Zdrobnienie czy zgrubienie nie zmieni tego, co powiedział. A powiedział, żeby pan do niego zadzwonił bez zwłoki. A potem zadzwonił Guito Serrafalle. Zostawił mi numer w Bolonii. Napisałem tutaj na tej karteczce.

Przyszła pora obiadu, ale na jeszcze jeden telefon można sobie było pozwolić.

– Halo? Kto mówi?

– Komisarz Montalbano, dzwonię z Vigaty. Czy to pan Guido Serravalle?

– Tak. Panie komisarzu, dziś rano próbowałem się z panem skontaktować, ponieważ dzwoniąc do hotelu „Jolly”, do Micheli, dowiedziałem się...

Głos ciepły, dojrzały, jakby należał do wykonawcy miłosnych piosenek.

– Czy jest pan krewnym?

Podczas śledztwa zawsze opłacało się udawać, że się nie wie, jakie stosunki łączą osoby dramatu.

– Nie. Tak naprawdę to...

– Przyjacielem?

– Tak, przyjacielem.

– Jak bliskim?

– Przepraszam, nie rozumiem pytania.

– Jak bliskim jest pan przyjacielem?

Guido Serravalle zawahał się z odpowiedzią.

Montalbano postanowił mu pomóc.

– Intymnie bliskim?

– No tak.

– A więc słucham.

Znowu wahanie. Najwyraźniej sposób, w jaki komisarz prowadził rozmowę, zbijał go z tropu.

– No więc chciałem powiedzieć... oddać się do dyspozycji. Mam w Bolonii antykwariat, który mogę zamknąć, kiedy tylko chcę. Jeśli na coś się przydam, wsiądę do samolotu i przylecę... Ja bardzo... Byłem bardzo związany z Michelą.

– Rozumiem. Jeśli będę pana potrzebował, zadzwonię.

Odłożył słuchawkę. Nie cierpiał osób, które dzwoniły na próżno. Cóż takiego mógł mu powiedzieć Guido Serravalle, czego sam by już nie wiedział?

Do restauracji „San Calogero”, gdzie mieli zawsze świeżutką rybę, zaczął iść pieszo, jednak po chwili zatrzymał się i zaklął. Zapomniał, że restauracja od sześciu dni jest zamknięta z powodu modernizacji kuchni. Wrócił, wszedł do samochodu, ruszył w kierunku Marinelli. Kiedy minął most, spojrzał na dom, który – jak już wiedział – należy do Anny Tropeano. To było silniejsze od niego. Zjechał na pobocze, zatrzymał się, wysiadł.

Dom był dwupiętrowy, bardzo zadbane, otoczony ogródkiem. Podeszedł do furki, nacisnął guzik domofonu.

– Kto tam?

– Komisarz Montalbano. Czy przeszkadzam?

– Nie, proszę wejść.

Równocześnie z furką otworzyły się drzwi domu. Anna zdążyła się przebrać, nabrała też właściwych kolorów.

– Wie pan co, komisarzu? Byłam pewna, że dzisiaj się jeszcze spotkamy.

7

– Przeszkadzam w obiedzie?

– Nie, nie jestem głodna. A poza tym sama nie... Prawie codziennie Michela przychodziła na obiad i jadłyśmy razem. Rzadko jadała w hotelu.

– Czy mogę coś zaproponować?

– Najpierw proszę wejść.

– Zapraszam do siebie do domu. To o dwa kroki stąd, nad samym morzem.

– Ale może pańska żona nie lubi tak bez uprzedzenia...

– Mieszkam sam.

Anna Tropeano nie zastanawiała się nawet przez chwilę.

– Zaraz do pana zejść.

Jechali w milczeniu samochodem Montalbana. Komisarz wciąż nie mógł się nadziwić, że złożył taką propozycję, a Anna – że ją przyjęła.

Zazwyczaj w sobotę Adelina oddawała się drobiazgowemu sprzątanemu i komisarz, widząc, że jego mieszkanie aż lśni czystością, poczuł ulgę: kiedyś w sobotę zaprosił zaprzyjaźnione małżeństwo, ale Adelina tego dnia akurat nie przyszła, więc skończyło się na tym, że żona przyjaciela, aby nakryć do stołu, musiała najpierw zdjąć z niego górę brudnych skarpetek i majtek.

Jak gdyby znała ten dom już od dawna, Anna skierowała się na werandę, usiadła na ławce i zaczęła patrzeć na morze, które było dosłownie o kilka kroków. Montalbano postawił przed nią składany stolik i popielniczkę, a sam poszedł do kuchni. W piekarniku znalazł dużą porcję morszczuka, w lodówce czekał gotowy sos sardelowy z octem.

Wrócił na werandę. Anna paliła, z każdą minutą wydawała się coraz

spokojniejsza.

– Jak tu ładnie.

– Czy miałyby pani ochotę na piezzonego morszczuka?

– Komisarzu, proszę się nie gniewać, ale mam ściśnięty żołądek. Pan będzie jadł, a ja napiję się wina, dobrze?

W pół godziny komisarz pochłonał potrójną porcję morszczuka, a Anna wypła dwa kieliszki wina.

– Naprawdę dobre – powiedziała, nalewając sobie trzeci kieliszek.

– Robi je... raczej robił... mój ojciec. Czy napije się pani kawy?

– Kawy nie odmówię.

Otworzył puszkę yaucono, napełnił maszynkę neapolitańską i postawił na gazie. Wrócił na werandę.

– Niech pan zabierze stąd tę butelkę, bo ją opróżnię do dna – powiedziała Anna.

Zrobił, co chciała. Kawa była gotowa, postawił filiżankę na stoliku. Anna wypła ze smakiem, małymi łydkami.

– Mocna i świetna. Gdzie pan ją kupił?

– Nie kupuję. Co jakiś czas przyjaciół przysyła mi ją z Portoryko.

Anna odstawiła filiżankę, zapaliła dwudziestego papierosa.

– Co ma mi pan do powiedzenia?

– Są nowe wiadomości.

– Jakie?

– Maurizio Di Blasi.

– A widzi pan? Rano nie powiedziałam, że to on, bo bylam pewna, że szybko pan na to wpadnie. Śmiało się z niego całe miasto.

– Stracił głowę?

– To mało powiedzieć. Michela stała się jego obsesją. Nie wiem, czy panu mówiono, że z Mauriziem nie wszystko było w porządku. Był na granicy między normalnością a umysłowym rozchwianiem. Są dwa epizody, które...

– Proszę opowiedzieć.

– Kiedyś poszliśmy z Michela do restauracji. Chwilę później zjawił się Maurizio, przywitał z nami i usiadł przy sąsiednim stoliku. Jadł tyle co nic, wciąż wpatrywał się w Michelę. I w pewnej chwili zaczął się ślinić, aż mi się zaczęło zbierać na mdłości. Ślinił się, i to dosłownie. Strużka śliny ściekała mu z kącika ust. Musiałyśmy wyjść.

– A drugi epizod?

– Pojechałam do domku Micheli, żeby jej pomóc. Przed odjazdem ona wzięła prysznic, a potem zeszła nago do salonu. Było gorąco. Lubiała chodzić po domu bez ubrania. Usiadła na fotelu, zaczęłyśmy rozmawiać. W pewnej chwili z zewnątrz usłyszałam jakby skowyt. Odwróciłam się: Maurizio stał z twarzą przyciśniętą do okna. Zanim zdążyłam wydobyć z siebie słowo, cofnął się o kilka kroków, zgięty wpół. I dopiero wtedy zrozumiałam, że się onanizuje.

Spojrzała na morze i westchnęła.

– Biedny chłopak – powiedziała półgłosem.

Montalbano przez chwilę poczuł wzruszenie. Tajemnica Wenus – ta nadzwyczajna kobieca zdolność do głębokiego rozumienia, wczuwania się w emocje, do bycia równocześnie matką i kochanką, córką i żoną. Położył rękę na dłoni Anny, ona jej nie cofnęła.

– Czy pani wie, że zaginął?

– Tak, wiem. Tego samego wieczoru co Michela. Ale...

– Ale?

– Czy mogę mówić szczerze?

– A do tej pory rozmawialiśmy inaczej? I mam prośbę: proszę mówić do mnie Salvo.

– Pod warunkiem, że pan będzie mnie nazywać Anną.

– Zgoda.

– Mylicie się, jeśli sądzicie, że Maurizio mógł zamordować Annę.

– Z jakiego powodu?

– Nie chodzi o powody. Widzi pan, ludzie niechętnie rozmawiają z policją. Ale jeśli zleci pan... Salvo, jakiemuś instytutowi badań niezależny sondaż, okaże się, że nikt w Vigacie nie wierzy w to, że zabił ją Maurizio.

– Anno, jest coś, o czym ci jeszcze nie powiedziałem.

Zamknęła oczy. Wyczuła, że niełatwo jej będzie tego wysłuchać.

– Jestem gotowa.

– Doktor Pasquano, lekarz sądowy, doszedł do pewnych wniosków, o których zaraz ci powiem.

I powiedział, nie patrząc jej w oczy, ze wzrokiem wbitym w morze. Nie pomijał szczegółów.

Anna słuchała z dłońmi przyciśniętymi do twarzy, opierając łokcie na stoliku. Kiedy skończył, wstała, blada jak ściana.

– Idę do łazienki.

– Zaprowadzę panią.

– Sama trafię.

Chwilę później Montalbano usłyszał, że wymiotuje. Spojrzał na zegarek, miał jeszcze godzinę do przyjazdu Emanuele Licalziego. Ale pan chirurg ortopeda z Bolonii może przecież poczekać.

Wróciła z niepewnym wyrazem twarzy, znów usiadła obok Montalbana.

– Salvo, co dla tego lekarza znaczy, że to się odbyło „z jej przyzwoleniem”?

– To samo co dla pani i dla mnie: że się na to zgodziła.

– Ale w pewnych przypadkach można wyrazić zgodę tylko dlatego, że nie ma się możliwości stawienia oporu.

– Słusznie.

– A więc zadam ci pytanie: czy to, co morderca zrobił Micheli, nie mogło się zdarzyć bez jej woli?

– Ale są pewne szczegóły, które...

– Zostawmy je. Przede wszystkim nawet nie wiemy, czy morderca wykorzystał ją, kiedy żyła, czy po śmierci. Tak czy inaczej, miał wystarczająco dużo czasu, żeby zakrzętnąć się w willi i zmylić policję.

Nawet nie zauważyli, kiedy przestali mylić formę na „pan” i „pani” z formą na „ty”.

– Coś ci chodzi po głowie, o czym nie mówisz.

– Nic takiego – powiedział Montalbano. – Po prostu w tej chwili wszystko przemawia przeciw Mauriziowi. Ostatnim razem widziano go o dziewiątej wieczorem przed barem „Italia”. Dzwonił.

– Do mnie – powiedział Anna.

Komisarz aż podskoczył na ławce.

– Czego chciał?

– Pytał o Michelę. Powiedziałam mu, że rozstałyśmy się niedługo po siódmej, że miała pojechać do hotelu „Jolly”, a potem na kolację do państwa Vassallo.

– I co on na to?

– Rozłączył się bez słowa.

– To również może przemawiać na jego niekorzyść. Na pewno zadzwonił do państwa Vassallo, nie zastał jej, ale domyślił się, gdzie może być, więc do niej pojechał.

– Do willi?

– Nie. Do willi dojechali tuż po północy. W tej chwili to Anna podskoczyła.

– Jest świadek – wyjaśnił Montalbano.

– Czy rozpoznał Maurizia?

– Było ciemno. Widział tylko mężczyznę i kobietę, którzy wysiadali z twingo i szli w kierunku willi. Kiedy już byli w środku, kochali się. W pewnej chwili Maurizio, o którym wszyscy mi mówią, że nie jest całkiem zrównoważony, wpadł w szal...

– Nigdy, ale to nigdy, Michela...

– Jak Michela reagowała na prześladowania Maurizia?

– Miała ich dość. Czasami głęboko mu współczuła...

Przerwała. Zrozumiała, co miał na myśli. Jej twarz nagle straciła świeżość, w kącikach ust pojawiły się zmarszczki.

– Są jednak rzeczy, które do siebie nie pasują – ciągnął Montalbano, któremu przykro było patrzeć, jak Anna cierpi. – Na przykład: czy Maurizio byłby zdolny do tego, żeby natychmiast po zabójstwie zorganizować na zimno całą tę inscenizację z ubraniami i kradzieżą worka?

– A skąd!

– Prawdziwym problemem nie jest przebieg morderstwa, lecz to, gdzie była i co robiła Michela po tym, jak się pożegnałyście, aż do chwili, kiedy widział ją świadek. Prawie pięć godzin to niemało. A teraz idziemy, bo doktor Emanuele Licalzi już pewnie nadciąga.

Kiedy wsiadali do samochodu, Montalbano sięgnął po najczarniejszą

z barw.

– Nie jestem wcale taki pewny co do jednomyślności, z jaką odpowiedziano by na twój sondaż dotyczący niewinności Maurizia. Przynajmniej jedna osoba miałaby poważne wątpliwości.

– Kto?

– Jego ojciec, inżynier Di Blasi. W przeciwnym razie zwróciłby się do nas o pomoc w poszukiwaniu syna.

– To oczywiste, że ma najgorsze podejrzania. Aha, coś jeszcze przyszło mi do głowy. Kiedy Maurizio zatelefonował do mnie zapytać o Michelę, powiedziałam, żeby zadzwonił bezpośrednio na jej komórkę. Odpowiedział, że próbował, ale aparat był wyłączony.

W drzwiach komisariatu niemal zderzył się z wychodzącym Galluzzem.

– Wróciliście z pola bitwy?

Fazio musiał mu zreferować poranny wybuch przełożonego.

– Tak jest – odpowiedział zmieszany.

– Komisarz Augello jest w komisariacie?

– Nie.

Zmieszanie wyraźnie się pogłębiło.

– A gdzie jest? Wali pałką kolejnych strajkujących?

– Jest w szpitalu.

– Co się stało? – spytał Montalbano z troską.

– Dostał kamieniem w głowę. Założyli mu trzy szwy. Ale postanowili zatrzymać go na obserwacji. Powiedzieli, żebym przyjechał po niego około ósmej wieczorem. Jeśli wszystko będzie dobrze, zabiorę go do domu.

Serię przekleństw komisarza przerwało pojawienie się Catarelli.

– Oj, komisarzu, komisarzu! Przede wszystkim dzwonił komisarz Mleko, ten przez dwa „k” w środku. Mówi, że musi pan do niego zadzwonić osobiście natychmiast. Są też inne telefony, które zapisałem na tej karteczce.

– Podetrzyj się nimi.

Doktor Emanuele Licalzi był sześćdziesięcioletkiem o drobnej posturze, w złotych okularach, ubranym na szaro. Wyglądał, jakby wyszedł prosto z pralni, od fryzjera i od manikiurzystki: był nieskazitelny.

– Jak pan tu dotarł?

– Z lotniska? Wynająłem samochód, podróż zajęła mi prawie trzy godziny.

– Był pan już w hotelu?

– Nie, walizkę mam w samochodzie, pojedę tam później.

Jak on to robił, że na jego garniturze nie było nawet jednego zagięcia?

– Pojedziemy do willi? Porozmawiamy po drodze, zaoszczędzi pan na czasie.

– Jak pan woli, komisarzu.

Pojechali wynajętym samochodem doktora.

– Zamordował ją kochanek?

Licalzi wyraźnie nie lubił niedomówień.

– Nie jesteśmy w stanie tego powiedzieć. Pewne jest tylko to, że miała stosunki seksualne.

Doktor nie zmieszał się, prowadził spokojnie, jak gdyby zmarła nie była jego żoną.

– Dlaczego pan uważa, że miała tutaj kochanka?

– Bo miała kochanka w Bolonii.

– Aha.

– Tak, Michela podała mi nawet jego nazwisko, Serravalle bodajże, antykwariusz.

– Raczej niezwykle.

– Mówiła mi o wszystkim, komisarzu. Bardzo mi ufała.

– I pan też mówił żonie o wszystkim?

– Oczywiście.

– Przykładne małżeństwo – zauważył ironicznie komisarz.

Czasami czuł się jak człowiek z innej epoki. Był tradycjonalistą, małżeństwo otwarte oznaczało dla niego męża i żonę, którzy nawzajem przyprawiają sobie rogi, a w dodatku są na tyle bezczelni, by opowiadać sobie o tym, co robią na kołdrze i pod kołdrą.

– Nie przykładne – poprawił niewzruszony doktor Licalzi – ale z rozsądku.

– Dla Micheli? Dla pana?

– Dla obojga.

– Czy może pan powiedzieć, jakie płynęły z niego dla was obojga korzyści?

– Oczywiście.

I skręcił w prawo.

– Dokąd pan jedzie? – spytał komisarz. – Tędy nie dojedziemy do Tre Fontane.

– Proszę wybaczyć – odparł doktor, wykonując skomplikowany manewr nawrotu. – Nie bywam tutaj od dwóch i pół roku, odkąd się ożeniłem. To Michela zajmowała się budową, ja znam ją tylko ze zdjęć. A propos fotografii, zabrałem do walizki kilka zdjęć Micheli, mogą się panu przydać.

– Wie pan co? Zamordowana kobieta mogłaby nawet nie być pańską żoną.

– Żartuje pan?

– Nie. Nikt jej oficjalnie nie zidentyfikował, a nikt z tych, którzy widzieli ją po śmierci, nie znał jej wcześniej, za życia. Kiedy skończymy tutaj, umówię pana z lekarzem na identyfikację. Jak długo zamierza pan się zatrzymać?

– Dwa, góra trzy dni. Zabiorę Michelę do Bolonii.

– Doktorze, zadam pytanie i potem już do tego nie wrócę. Gdzie pan był i co pan robił w środę wieczorem?

– W środę? Operowałem do późnej nocy w szpitalu.

– Mówił pan o swoim małżeństwie.

– A tak. Poznałem Michelę trzy lata temu. Przywiozła do szpitala swojego brata, który mieszka w Nowym Jorku. Doznał dość skomplikowanego złamania prawej stopy. Spodobała mi się od razu, była bardzo ładna, ale przede wszystkim ujął mnie jej charakter. Zawsze starała się widzieć lepszą stronę świata. Straciła oboje rodziców, zanim ukończyła piętnaście lat. Była wychowywana przez wujka, który pewnego dnia po prostu ją zgwałcił. Krótko mówiąc, szukała jakiegokolwiek miejsca. Przez lata była kochanką pewnego przemysłowca, potem on spławił ją sporą sumą pieniędzy, dzięki której była w stanie się utrzymywać. Michela mogła mieć wszystkich mężczyzn, których chciała, ale w gruncie rzeczy rola utrzymanki ją upokarzała.

– Poprosił pan, żeby została pańską kochanką, a Michela odmówiła?

Po raz pierwszy na niewzruszonej twarzy Emanuele Licalziego zarysowało się coś w rodzaju uśmiechu.

– Błądzi pan po omacku, komisarzy. Aha, Michela powiedziała mi, że kupiła tutaj ciemnozielone twingo. Co się z nim dzieje?

– Miało wypadek.

– Michela nie potrafiła prowadzić.

– Tym razem to nie była wina pani Micheli. Samochód został potrącony,

kiedy stał zaparkowany przed alejką dojazdową do willi.

– A skąd pan to wie?

– Bo to myśmy go potrącili. Samochodem policyjnym. Ale jeszcze nie wiedzieliśmy...

– Co za dziwna historia.

– Kiedyś opowiem panu ze szczegółami. To właśnie dzięki temu wypadkowi odkryliśmy zwłoki.

– Myśli pan, że będę mógł go odzyskać?

– Chyba nic nie stoi temu na przeszkodzie.

– Czy sądzi pan, że uda mi się go oddać do komisju tutaj, w Vigacie?

Montalbano nie odpowiedział, miał w dupie ciemnozielony samochód.

– Willa to ta na lewo, prawda? Chyba rozpoznaję ją ze zdjęcia.

– Tak, to ta.

Doktor Licalzi wykonał elegancki manewr, zatrzymał się przed alejką, wysiadł, zaczął przypatrywać się budowli ze zdystansowanym zaciekawieniem jak przejezdny turysta.

– Ładna. Po co tu przyjechaliśmy?

– Nie mam pojęcia – mruknął spode łba Montalbano. Doktor Licalzi miał talent do wyprowadzania go z równowagi.

Postanowił mu przywalić.

– Wie pan, niektórzy mówią, że pańską żonę zgwałcił i zamordował Maurizio Di Blasi, syn pańskiego kuzyna inżyniera.

– Naprawdę? Nie znam go. Kiedy przyjechałem dwa i pół roku temu, był na studiach w Palermo. Powiedzieli mi, że jest przygłupi.

I tak odprawił Montalbana z kwitkiem.

– Wejdziemy?

– Chwilę, nie chciałbym zapomnieć.

Otworzył bagażnik, wyjął elegancką walizkę, a z niej dużą torbę.

– To zdjęcia Micheli.

Montalbano włożył je do kieszeni. Równocześnie doktor wyjął z kieszeni pęk kluczy.

– Do tego domu? – spytał Montalbano.

– Tak. Michela miała w Bolonii zapasowy komplet.

Teraz go kopnę w dupę – pomyślał komisarz.

– Nie wyjaśnił pan, dlaczego wasze małżeństwo było korzystne zarówno dla pana, jak i dla pańskiej żony.

– Cóż, dla Micheli było korzystne, ponieważ wychodziła za mąż za bogatego, choć o trzydzieści lat starszego od siebie człowieka. Dla mnie było korzystne, ponieważ dementowało plotki, które mogły mi zaszkodzić w chwili, kiedy przygotowywałem się do ważnego awansu. Ludzie zaczęli mówić, że stałem się homoseksualistą, bo od dziesięciu lat nie widziano mnie z kobietą.

– I to była prawda, że nie spotykał się pan z kobietami?

– A po co, komisarzu? W wieku pięćdziesięciu lat stałem się impotentem. Bezpowrotnie.

8

– Ładny – stwierdził doktor Licalzi, kiedy rozejrzał się po salonie.

To jedyne, co potrafił powiedzieć?

– Tutaj jest kuchnia – powiedział komisarz i dodał: – Gotowa do użytku.

I nagle wściekł się na siebie samego. Po kiego diabła powiedział „gotowa do użytku”? Jaki to miało sens? Poczł się jak agent nieruchomości, który pokazuje mieszkanie potencjalnemu klientowi.

– Obok jest łazienka. Niech pan ją sobie obejrzy – burknął.

Doktor nie usłyszał albo udał, że nie słyszy niemiłego tonu komisarza. Otworzył drzwi do łazienki, ostrożnie wsunął głowę i zamknął z powrotem.

– Ładna.

Montalbano poczuł, że trzęsą mu się ręce. Wyraźnie, choć tylko w wyobraźni, zobaczył gazetę, a w niej tytuł: KOMISARZ POLICJI W NAGŁYM PRZYPLÝWIE SZAŁU MORDUJE MĘŻA OFIARY.

– Na piętrze jest pokój gościnny, główna łazienka i sypialnia. Niech pan tam wejdzie.

Doktor wypełnił polecenie, Montalbano został w salonie, zapalił papierosa, wyciągnął z kieszeni torbę ze zdjęciami Micheli. Piękna. Twarz, którą widział przedtem w grymasie bólu i przerażenia, była teraz uśmiechnięta i przyjazna.

Dopalił papierosa i zdał sobie sprawę, że doktor nie zszedł jeszcze z piętra.

– Panie doktorze!

Nic. Cisza. Wbiegł na górę. Doktor stał w kącie sypialni, zakrywał sobie twarz rękoma, jego plecami wstrząsał szloch.

Komisarz nie mógł wyjść ze zdziwienia: wszystkiego mógł się spodziewać, tylko nie takiej reakcji. Podszedł do niego, położył mu rękę na ramieniu.

– Głowa do góry.

Doktor niemal dzieciennym gestem potrząsnął ramionami, wciąż płacząc, z twarzą wtuloną w dłoń.

– Biedna Michela! Biedna Michela!

To nie było na pokaz: jego łzy i przybity głos były prawdziwe.

Montalbano ujął go zdecydowanie za ramię.

– Schodzimy.

Doktor posłusznie poszedł za nim, nie patrząc na łóżko, na porwane i zakrwawione prześcieradło. Był lekarzem, więc rozumiał, czego musiała doświadczyć Michela w ostatnich chwilach życia. Lecz jeśli Licalzi był lekarzem, to Montalbano był gliną i na widok jego łez natychmiast zrozumiał, że doktor nie mógł już znieść tej chłodnej maski, którą sobie nałożył. Zbroja obojętności, którą zwykł nosić być może po to, żeby zrekompensować nieszczęście impotencji, rozpadła się na kawałki.

– Proszę wybaczyć – powiedział Licalzi, siadając na fotelu. – Nie przypuszczałem... To potworne umrzeć w ten sposób. Morderca przycisnął jej twarz do materaca, prawda?

– Tak.

– Kochałem Michelę, i to bardzo. Wie pan co? Była dla mnie jak córka.

Łzy znów pociekły mu z oczu, otarł je chusteczką.

– Dlaczego chciała wybudować sobie dom właśnie tutaj?

– Od zawsze żyła mitem Sycylii, jeszcze zanim zobaczyła ją na własne oczy. Kiedy zwiedziła wyspę, była oczarowana. Myślę, że pragnęła stworzyć sobie coś w rodzaju azylu. Czy widzi pan ten kredens? Tam są jej rzeczy,

bibelociki, które przywiozła z Bolonii. A to wiele mówi o jej zamiarach, prawda?

– Może zechce pan sprawdzić, czy czegoś nie brakuje.

Doktor wstał i podszedł do kredensu.

– Czy mogę otworzyć?

– Oczywiście.

Długo patrzył, następnie wyciągnął rękę, wziął stary futerał do skrzypiec, otworzył, pokazał komisarzowi instrument, który był w środku, zamknął i odłożył na miejsce w kredensie.

– Na oko wydaje się, że nie brakuje niczego.

– Czy pańska żona grała na skrzypcach?

– Nie. Ani na skrzypcach, ani na niczym innym. Skrzypce odziedziczyła po dziadku ze strony matki, lutniku z Cremony. A teraz, komisarzu, bardzo proszę, żeby powiedział mi pan wszystko, co pan wie.

I Montalbano opowiedział mu wszystko, od wypadku w czwartek rano do rewelacji doktora Pasquano.

Kiedy skończył, Emanuele Licalzi przez dłuższą chwilę milczał, następnie wypowiedział tylko dwa słowa:

– Genetyczny fingerprinting.

– Nie znam angielskiego.

– Przepraszam, myślałem o zniknięciu ubrań i butów.

– Może to tylko zmyłka?

– Może. Ale może być i tak, że morderca był zmuszony je zabrać.

– Ponieważ je poplamiał? – spytał Montalbano, mając na myśli hipotezę pani Clementyny.

– Lekarz sądowy powiedział, że nie ma śladu nasienia, prawda?

– Tak.

– I to potwierdza moją hipotezę: morderca nie chciał pozostawić najmniejszego śladu biologicznego, dzięki któremu można by przeprowadzić, powiedzmy, fingerprinting genetyczny, badanie DNA. Odciski palców można zetrzeć, ale nie spermę czy włosy. Morderca próbował zdezynfekować teren.

– No właśnie – potwierdził komisarz.

– Przepraszam, ale jeśli to wszystko, wolałbym już opuścić to miejsce. Zaczynam odczuwać zmęczenie.

Doktor zamknął drzwi na klucz, Montalbano ponownie je opieczętował, po czym ruszyli.

– Czy ma pan telefon komórkowy?

Doktor podał mu aparat. Komisarz zadzwonił do Pasquana, poprosił go o identyfikację nazajutrz o dziesiątej rano.

– Czy pojedzie pan ze mną?

– Powinienem, ale nie mogę, mam coś do załatwienia poza Vigatą. Przyślę po pana mojego człowieka, on pana zawiezie.

Wysiadł przy pierwszych zabudowaniach – po prostu musiał się przejść.

– Oj, komisarzu, komisarzu! Komisarz Mleko z podwójnym „k” w środku zadzwonił trzy razy, coraz bardziej wkurwiony, za pozwoleniem. Musi pan do niego zadzwonić osobiście we własnej osobie natychmiast.

– Halo? Komisarz Mlekko? Mówi Montalbano.

– Nareszcie! Proszę natychmiast przyjechać do Montelusy, kwestor chce z panem rozmawiać.

Odłożył słuchawkę. Musiało chodzić o coś naprawdę ważnego, bo w głosie Mlekka nie było ni krztyny miódru.

Uruchamiał właśnie silnik, kiedy zobaczył, że nadjeżdża Galluzzo.

– Co nowego u komisarza Augello?

– Dzwonili ze szpitala, że chcą go wypisać, więc pojechałem po niego i odwiozłem do domu.

Do diabła z kwestorem i jego ważnymi sprawami! Najpierw pojechał do Mimi.

– Jak się masz, nieustraszony obrońco kapitału?

– Łeb mi pęka.

– To się w końcu nauczysz.

Mimi Augello siedział w fotelu blady, z obwiązaną głową.

– Kiedyś taki jeden walnął mnie łodem – powiedział Montalbano – i musieli mi założyć siedem szwów, ale nie wyglądałem tak kiepsko jak ty teraz.

– Widocznie dostałeś w łeb za sprawę, którą uważałeś za słuszną, więc łomot sprawił ci przyjemność.

– Wiesz, Mimi, kiedy chcesz, to naprawdę umiesz być chujem.

– Ty też, Salvo. Miałem dzwonić do ciebie wieczorem, by powiedzieć, że chyba nie dam rady prowadzić jutro samochodu.

– To do twojej siostry pojedziemy kiedy indziej.

– Nie, Salvo. Jedź sam. Bardzo chciała się z tobą zobaczyć.

– A nie wiesz dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Zróbmy tak: ja pojedę, ale ty jutro rano, o dziewiątej trzydzieści, musisz być w Montelusie, w hotelu „Jolly”. Zabierzesz doktora Licalziego, który właśnie przyjechał, i zawieziesz go do kostnicy, dobrze?

– Jak pan się miewa? Jak pan się miewa, mój drogi komisarzu? Czyżby pan był nie w humorze? Głowa do góry. *Sursum corda!* Tak właśnie mówiliśmy w czasach Akcji Katolickiej.

Z Mlekka się sączył niebezpieczny miodek. Montalbano zaczął się niepokoić.

– Natychmiast powiadomię pana kwestora.

Zniknął, by po krótkim czasie znów się pojawić.

– Pan kwestor jest chwilowo zajęty. Proszę wejść, zaprowadzę pana do saloniku. Życzy pan sobie kawy? Czegoś zimnego?

– Nie, dziękuję.

Mlekko posłał mu szeroki, ojcowski uśmiech i czym prędzej się oddalił. Montalbano nabrał pewności, że kwestor skazał go na długą i bolesną śmierć. Na madejowe łóżce.

W oblesnym saloniku leżał jeden tygodnik – „Famiglia Cristiana” – i jeden dziennik – „L’Osservatore Romano”: nieomylnie znaki obecności wicekwestora Mlekko. Montalbano wziął pismo do ręki i zaczął czytać artykuł Susanny Tamaro.

– Panie komisarzu! Panie komisarzu!

Czyjaś ręka klepała go po ramieniu. Otworzył oczy, zobaczył policjanta.

– Pan kwestor czeka na pana.

Jezu, zasnął! Spojrzał na zegarek, była ósma, ten kutas kazał mu czekać aż dwie godziny.

– Dobry wieczór, panie kwestorze.

Szlachetny Luca Bonetti-Alderighi nie zareagował, nie powiedział nawet „pocałuj mnie w dupę”, tylko bez przerwy wpatrywał się w monitor swojego

komputera. Komisarz przyglądał się niepokojącej fryzurze przełożonego, obfitej, z krzepką kępką na czubku, skręconej jak psie gówno na wiejskiej drodze. Fryzura wypisz, wymaluj jak u tego krety, psychiatry i zbrodniarza, który tak bardzo przysłużył się Bośni.

– Jak on się nazywał?

Oszołomiony snem, za późno się zorientował, że pytanie wypowiedział głośno.

– Kto jak się nazywał? – spytał kwestor, odrywając wreszcie wzrok od monitora.

– Nieważne – odparł Montalbano.

Kwestor wciąż przyglądał mu się z wyrazem twarzy zawieszonym pomiędzy pogardą a politowaniem. Wyraźnie dostrzegał w komisarzu nieomyślne symptomy demencji starczej.

– Będę z panem całkiem szczery, Montalbano. Nie mam o panu najlepszego zdania.

– Ja o panu również – powiedział Montalbano z uśmiechem.

– A więc mamy już pełną jasność. Wezwałem pana, żeby powiadomić, iż odbieram panu sprawę morderstwa pani Licalzi. Powierzyłem ją Panzacchiemu, szefowi oddziałów specjalnych, któremu zresztą to dochodzenie i tak prawnie by się należało.

Ernesto Panzacchi był pupilem Bonetti-Alderighiego, który przywiózł go ze sobą w teczce do Montelusy.

– Choć mam to głęboko gdzieś, to czy mogę jednak zapytać dlaczego?

– Dopuścił się pan bezmyślności, która niesłychanie utrudniła pracę doktora Arqua.

– Napisał to w raporcie?

– Nie, w raporcie nie napisał, ponieważ jako człowiek szlachetny nie

chciał panu zaszkodzić. Ale potem zmienił zdanie i wszystko mi wyznał.

– Wszyscy teraz zmieniają zdanie i nawracają się, nawet terroryści i mafiosi! – westchnął komisarz.

– Czy ma pan coś przeciw terrorystom i mafiosom, którzy zgodzili się na współpracę z policją?

– Nieważne.

Odszedł bez pożegnania.

– Podejmę stosowne środki! – krzyknął Bonetti-Alderighi już za plecami komisarza.

Sądówka znajdowała się w suterenie.

– Czy jest doktor Arqua?

– Tak, jest u siebie.

Wszedł bez pukania.

– Dobry wieczór, Arqua. Idę właśnie do kwestora, który ma do mnie jakąś sprawę. Pomyślałem, że wpadnę najpierw tutaj, żeby spytać, czy natrafił pan na coś nowego.

Vanni Arqua był wyraźnie zmieszany. Montalbano powiedział, że dopiero ma rozmawiać z kwestorem, postanowił więc odpowiedzieć, jak gdyby nie wiedział, że komisarz nie prowadzi już sprawy.

– Morderca zatarł dokładnie wszystkie ślady. Znalezliśmy wiele odcisków, ale, rzecz jasna, nie miały one nic wspólnego z morderstwem.

– Dlaczego?

– Ponieważ należały do pana, komisarzu. Pan wciąż zachowuje się bardzo, ale to bardzo nieroztropnie.

– Aha, jeszcze jedno, Arqua. Czy pan wie, że donos jest grzechem? Proszę spytać wicekwestora Mlekko. Będzie pan się musiał nawrócić.

– Oj, komisarzu! Dzwonił znowu ponownie pan Cacomo! Mówił w ten sposób, że przypomniał sobie o rzeczy, która być może jest ważna. Numer zapisałem na tej karteczce.

Montalbano spojrział na strzęp papieru i na całym ciele zaczął odczuwać swędzenie. Catarella zapisał numer w taki sposób, że trzy mogło oznaczać pięć albo dziewięć, dwa to mogło być cztery, pięć – sześć, i tak dalej.

– Co to za numer, Catarella?

– Właśnie ten, komisarzu. Numer Cacomo. Jest tak, jak napisane.

Zanim udało mu się połączyć z Gillem Jacono, zadzwonił pomyłkowo do jakiegoś baru, do państwa Jacopettich i do doktora Balzaniego.

Za czwartym razem wybierał numer, nie wierząc w powodzenie.

– Przepraszam, z kim rozmawiam? Tu komisarz Montalbano.

– Ach, komisarzu, dziękuję, że pan dzwoni, jeszcze chwila, a by mnie pan nie zastał.

– Chciał pan ze mną rozmawiać?

– Przypomniałem sobie o pewnym szczególe. Nie wiem, czy to na coś się przyda, ale mężczyzna, który wysiadł z twingo i szedł z kobietą do willi, miał walizkę.

– Czy jest pan tego pewny?

– Jak najbardziej.

– Aktówkę?

– Nie, komisarzu, była dość duża. Ale...

– Ale?

– Ale miałem wrażenie, że ten mężczyzna niesie ją bez wysiłku, jak gdyby niewiele w niej było.

– Dziękuję, panie Jacono. Proszę się odezwać po przyjeździe.

Wyszukał w książce telefonicznej numer państwa Vassallo i zadzwonił.

– Pan komisarz! Po południu, zgodnie z umową, byłem w komisariacie, ale pana nie zastałem. Trochę poczekałem, ale potem musiałem już iść.

– Bardzo przepraszam. Czy może pan sobie przypomnieć, kto dzwonił w środę wieczorem, kiedy czekali państwo z kolacją na panią Licalzi?

– Cóż, nasz przyjaciel z Wenecji i córka, która mieszka w Katanii, ale to oczywiście nie ma dla pana znaczenia. Natomiast, i to właśnie miałem dzisiaj panu powiedzieć, dwa razy dzwonił Maurizio Di Blasi. Tuż przed dwudziestą pierwszą i zaraz potem. Szukał Micheli.

Niesmak po spotkaniu z kwestorem należało bezsprzecznie zagryźć porządnym posiłkiem. Restauracja „San Calogero” była zamknięta, lecz przypomniał sobie, co mówił mu jeden z przyjaciół: że dosłownie przy wjeździe do Joppolo Giancaxio, miasteczka położonego o dwadzieścia kilometrów od Vigaty, zwrócona wejściem do centrum, stoi niewielka, lecz godna wielkiej uwagi gospoda. Wsiadł do samochodu, pojechał i natychmiast ją znalazł. Nazywała się „Pod Dzikim”. Dziczyzny oczywiście nie mieli. Właściciel, kasjer i kelner w jednej osobie, z wąsikami jak uchwyt korby, nieco podobny do króla Wiktora Emanuela, na początek postawił przed nim obfitą porcję znakomitych bakłazanów. „Rozkoszny tak początek dobrze poprowadzi” – napisał poeta Boiardo, i Montalbano pozwolił się poprowadzić.

– Co pan rozkaże?

– Niech pan przyniesie, co chce.

Wiktor Emanuel uśmiechnął się, doceniając zaufanie.

Na pierwsze podał duży talerz makaronu z sosem o nazwie „żywy ogień”

(sól, oliwa, czosnek, czerwona suszona papryka w dużej ilości), który komisarz zmuszony był przepić znaczną ilością wina. Na drugie – sycącą porcję jagnięciny „po myśliwsku”, która przyjemnie pachniała cebulą i oregano. Zamknął posiłek sernikiem i kieliszkiem anyżówki jako wiatykiem dla pokarmu i zachętą dla żołądka, by przystąpił do trawienia. Montalbano zapłacił rachunek, tyle co nic, i z uśmiechem ucisnął dłoń Wiktora Emanuela.

- Przepraszam, kto gotował?
- Moja małżonka.
- Proszę pogratulować.
- Nie omieszkam.

W drodze powrotnej, zamiast skierować się do Montelusy, wjechał na drogę do Fiakki, dojeżdżając tym samym do Marinelli z innej strony, niż to czynił zazwyczaj. Nadłożył pół godziny, ale udało mu się nie przejechać przed domem Anny Tropeano. Na pewno by się zatrzymał, bez dwóch zdań, i wygłupił przed młodą kobietą.

Zadzwoił do Minii Augella.

- Jak się masz?
- Do niczego.
- Zmiana planów: zamiast jechać do hotelu „Jolly”, zostań jutro w domu. Choć sprawa już nas nie dotyczy, po doktora Licalziego poślę Fazia.
- Co to znaczy, że sprawa już nas nie dotyczy?
- Kwestor odsunął mnie od śledztwa. Przekazał ją szefowi oddziałów specjalnych.
- A niby dlaczego?
- Bo dwa to nie cztery. Mam coś przekazać twojej siostrze?

– Nie mów jej tylko, że dostałem w łeb, bo od razu mnie uzna za zmarłego!

– Miej się dobrze, Mimi.

– Halo, Fazio? Mówi Montalbano.

– Tak, komisarzu?

Powiedział, żeby przełączał wszystkie telefony, które dotyczą sprawy pani Micheli, do Montelusy, do oddziałów specjalnych, i wytłumaczył mu, co ma robić z Licalzim.

– Halo, Livia? Mówi Salvo, jak się masz?

– Nieźle.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, skąd u ciebie ten ton? Poprzedniej nocy odłożyłaś słuchawkę, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

– Czy ty wiesz, o której godzinie dzwoniłeś?

– Tylko o tej porze miałem chwilę spokoju!

– Biedaczek! Pozwól sobie przypomnieć, że uciekając się pod opiekę burzy, strzelaniny i obław, udało ci się zręcznie wymigać od odpowiedzi na konkretne pytanie, jakie zadałam w środę wieczorem.

– Dzwonię, żeby powiedzieć, że jutro jadę do Francois.

– Z Mimi?

– Nie, Mimi nie może, dostał.

– Boże, czy to poważne?

Livia i Mimi przypadli sobie do gustu.

– Pozwól mi skończyć! Dostał kamieniem w głowę. Nic takiego, trzy szwy. A więc jadę sam. Jego siostra chce ze mną rozmawiać.

- O Francois?
- A niby o czym?
- Boże, pewnie jest chory. Zaraz do niej zadzwonię!
- Przecież o tej porze oni dawno już śpią! Jutro wieczorem, zaraz po powrocie, zatelefonuję do ciebie.
- Tylko nie zapomnij. Dziś w nocy pewnie nie zmrużę oka.

9

Każda jednostka obdarzona zdrowym rozsądkiem i w minimalnym choć stopniu zorientowana w sieci sycylijskich arterii pojechałaby z Vigaty do Calapiano najpierw drogą szybkiego ruchu do Katanii, następnie skręciłaby ku centrum wyspy, na szosę do Troiny, po przejechaniu około tysiąca stu dwudziestu metrów wybrałaby odcinek długości sześciuset pięćdziesięciu jeden metrów czegoś w rodzaju dróżki, która po raz pierwszy i ostatni zaznała asfaltu pięćdziesiąt lat temu, we wczesnych latach sycylijskiej autonomii regionalnej, i stamtąd kierowałaby się na Gagliano, by w końcu dotrzeć do Calapiano tak zwaną szosą główną, która jednak wyraźnie odcinała się od przymiotnika „główna”, albowiem jej autentycznym powołaniem był powrót do pierwotnego statusu pokiereszowanej przez trzęsienie ziemi koleiny. Ale to nie koniec. Gospodarstwo siostry Mimi Augella i jej męża znajdowało się o cztery kilometry od miasteczka, a dojeżdżało się do niego po kamiennej serpentynie, na której nawet kozy lękały się postawić choćby jedno kopytko. Tak właśnie wyglądała – jak to się mówi – „trasa optymalna”, czyli ta, którą zawsze wybierał Mimi Augello, a której zasadzki i utrudnienia koncentrowały się na ostatnim odcinku.

Montalbano oczywiście nie wybrał tej trasy, albowiem postanowił zapuścić się w głąb wyspy, jadąc od pierwszych kilometrów dróżkami, wzdłuż których ostatni pozostali przy życiu rolnicy przerywali pracę, żeby w skrajnym zdumieniu przyjrzeć się ryzykantowi. Po powrocie do domu mieli co opowiadać dzieciom.

– Wiesz, co się dziś rano zdarzyło? Przejechał tędy samochód!

A jednak właśnie tę Sycylię komisarz lubił najbardziej. Szorstką, ubogą

w zieleni, gdzie życie wydawało się (i było) niemożliwe i gdzie wciąż jeszcze mógł, choć coraz rzadziej, natknąć się na mężczyzn w butach z cholewami, czapce i ze strzelbą przewieszoną przez ramię, którzy z grzbietu mulicy pozdrawiali przybysza, unosząc dwa palce do daszka.

Niebo, pogodne i jasne, otwarcie deklarowało zamiar pozostania takim do zmierzchu. Było gorąco. We wnętrzu auta, pomimo otwartych okienek, miesił się gęsty, rozkoszny zapach, który wydobywał się z paczek i paczuszek, dosłownie piętrzących się na tylnych siedzeniach. Przed wyjazdem Montalbano wpadł do „Caffe Albanese”, cukierni słynącej z najlepszych ciastek w Vigacie, kupił dwadzieścia świeżo wypieczonych rurek, dziesięć kilo ciastek i ciasteczek, rozmaitych *tetu*, *taralli*, *viscotti*, *regina*, palermitańskich *mostazzoli*, sucharków, owoców kandyzowanych, a także coś, co musiało uwieńczyć każdą słodką ucztę, czyli wielobarwną, pięciokilową cassatę.

Dotarł na miejsce po dwunastej; obliczył, że podróż zajęła mu ponad cztery godziny. Duży wiejski dom wydawał się pusty, tylko dym z komina zdradzał czyjąś obecność. Nacisnął klakson i po chwili w drzwiach pojawiła się Franca, siostra Mimi Augella. Była sycylijską blondynką po czterdziestce, wysoką i silną. Wycierając ręce w fartuszek, przypatrywała się nieznanemu samochodowi.

– To ja, Montalbano – powiedział komisarz, wysiadając.

Franca podbiegła w jego kierunku, objęła go.

– A Mimi?

– W ostatniej chwili okazało się, że nie może przyjechać. Było mu bardzo przykro.

Franca spojrzała na niego uważnie. Montalbano nie potrafił oszukiwać osób, które szanował: zaczynał się jąkać, czerwienić, odwracał wzrok.

– Idę zadzwonić do Mimi – powiedziała z determinacją Franca i weszła do domu. Montalbanowi jakimś cudem udało się zabrać z samochodu wszystkie paczki i paczuszki, więc ruszył za nią.

Kiedy wszedł, Franca właśnie odkładała słuchawkę.

– Wciąż jeszcze boli go głowa.

– Możesz być spokojna. Uwierz mi, to głupstwo – powiedział, kładąc paczki i paczuszki na stół.

– A co to ma znaczyć? – spytała Franca. – Chcesz tu założyć cukiernię?

Włożyła słodycze do lodówki.

– Co u ciebie, Salvo?

– W porządku. A u was?

– Wszyscy zdrowi, dzięki Bogu. O Francois to już w ogóle nie ma co mówić. Urósł, zmężniał.

– Gdzie są chłopcy?

– Latają po wsi. Ale kiedy usłyszą dzwonek, natychmiast przyjdą na obiad. Zostaniesz na noc? Przygotowałam pokój.

– Dziękuję, ale wiesz, że nie mogę. Wyjadę najpóźniej o piątej. Ja nie umiem jeździć po tych drogach tak jak twój brat. Czyli jak wariat.

– Idź, umyj się.

Wrócił odświeżony po piętnastu minutach. Franca nakryła do stołu dla dziesięciu osób. Uznał, że to dobry moment.

– Mimi powiedział, że chcesz ze mną porozmawiać.

– Potem, potem – zbyła go Franca. – Jesteś głodny?

– Pewnie.

– Chcesz najpierw trochę pszennego chleba? Wyjęłam z pieca niecałą godzinę temu. Mam podać?

Nie czekając na odpowiedź, ukroiła dwie grube pajdy, poliała oliwą, posypała solą, pieprzem i owczym serem, położyła jedną na drugą i podała Montalbanowi.

Komisarz wyszedł przed dom, usiadł na ławce przy drzwiach i po pierwszym kęsie poczuł się młodszy o czterdzieści lat. Znow stał się dzieckiem: właśnie takim chlebem karmiła go babcia.

Chleb jak ten należy jeść, grzejąc się w słońcu, nie myśląc o niczym, w zgodzie z ciałem, z ziemią, z zapachem trawy. Po dłuższej chwili usłyszał gwar i zobaczył trzech chłopców, którzy nadbiegali, ścigając się, popychając i podcinając sobie nogi: dziewięcioletniego Giuseppe, jego brata Domenica, który dostał to imię na cześć wuja Mimi, wreszcie samego Francois.

Komisarz spojrział na niego zdumiony: był najwyższy i najbardziej ruchliwy z całej trójki i wyraźnie miał największą ochotę do wygłupów. Do diabła, jak on się zmienił! I to przez te dwa miesiące, odkąd po raz ostatni go widział.

Wybiegł mu naprzeciw z otwartymi ramionami. Francois rozpoznał go i przystanął, tymczasem jego koledzy popędzili prosto do domu. Montalbano ukucnął, wciąż rozkładając ramiona.

– Cześć, Francois.

Chłopak ruszył, ominął go łukiem.

– Cześć – powiedział.

Komisarz zobaczył, jak znika we wnętrzu domu. Co się z nim działo? Dlaczego w oczach małego nie dostrzegł żadnej radości? Wytłumaczył sobie, że to zwykły dziecięcy gniew. Że Francois po prostu poczuł się zapomniany.

U szczytu stołu, po przeciwległych stronach, zasiedli komisarz i Aldo Gagliardo, mąż Franki, człowiek małomówny i mocno zbudowany. Po jego

prawej stronie zajęli miejsca Franca i kolejno trzech chłopcy. Francois siedział najdalej od niego, tuż przy Aldzie. Po lewej Montalbano miał trzech dwudziestolatków: Maria, Giacomina i Ernsta. Pierwsi dwaj byli studentami, którzy dorabiali sobie, pracując na polu. Trzeci, Niemiec, był tu przejazdem, ale powiedział Montalbanowi, że zamierza pozostać na kolejne trzy miesiące. Obiad – makaron z sosem kielbasianym i kielbasa z rusztu na drugie – trwał krótko. Aldo i jego trzech pomocnicy spieszyli się, by wrócić do pracy. Rzucili się na ciastka, które komisarz przywiózł z Vigaty, lecz zaraz potem, kiedy tylko Aldo skinął na nich głową, wstali i wyszli z domu.

– Zrobię ci drugą kawę – powiedziała Franca.

Montalbano był niespokojny. Zauważył, że przed wyjściem Aldo rzucił żonie porozumiewawcze spojrzenie.

Franca podała kawę i usiadła przed komisarzem.

– To poważna sprawa – uprzedziła.

I w tej chwili wszedł Francois, ze zdecydowanym wyrazem twarzy, z dłońmi zaciśniętymi w pięści i lekko uniesionymi do bioder. Stał przez Montalbano, spojrzał na niego twardo i powiedział drżącym głosem:

– Nie zabierzesz mnie od moich braci.

Odwrócił się na pięcie i uciekł.

Komisarz poczuł się, jakby dostał między oczy. Zaszło mu w ustach. Zupełnie zaskoczony, wypowiedział pierwszą głupotę, jaka mu przyszła do głowy.

– Jak ładnie nauczył się mówić!

– Chłopiec powiedział to, co i ja ci chciałam powiedzieć – zaczęła Franca.

– I pamiętaj, że oboje z Aldem przez cały czas mówiliśmy mu o Livii i o tobie, o tym, jak będzie mu z wami dobrze, jak bardzo go kochacie i że zawsze będziecie go kochać. I nic. Nagle, jakiś miesiąc temu, w nocy,

zaczęło go to dręczyć. Spałam, poczułam, że ktoś dotyka mi ramienia. To był on. „Źle się czujesz?” „Nie”. „To co się stało?” „Boję się”. „Czego się boisz?” „Źe Salvo po mnie przyjedzie”. Co pewien czas, podczas zabawy czy obiadu, ta myśl go nachodzi i wtedy staje się smutny, a nawet zły.

Franca rozgadała się na dobre, ale Montalbano już jej nie słyszał. Zatopił się we wspomnieniach z czasów, kiedy miał tyle samo lat co Francois, a nawet o rok mniej. Babcia walczyła ze śmiercią, matka była ciężko chora (on sam zrozumiał to wszystko dopiero po latach), więc ojciec, chcąc mu zapewnić lepszą opiekę, zawiózł go do domu jednej z siostr, Carmeli, której mąż, Pippo Sciortino, był właścicielem okropnie zabałaganionego bazaru, a przy tym człowiekiem łagodnym i uprzejmym. Nie mieli dzieci. Po jakimś czasie ojciec przyjechał po niego, w czarnym krawacie i z szeroką, również czarną wstęgą na lewym ramieniu – pamiętał to doskonale. Ale on nie chciał wracać. „Nie jadę z tobą. Zostanę z Pippem i Carmelą. Nazywam się Sciortino”. Wciąż miał przed oczami smutną twarz ojca i zmieszane twarze Pippa i Carmeli.

– ...bo dzieci to nie pudełka, które można przekładać z miejsca na miejsce
– zakończyła swój wywód Franca.

Postanowił wrócić łatwiejszą drogą i około dziewiątej był już w Vigacie. Miał ochotę odwiedzić Mimi Augella.

- Wyglądasz już lepiej.
- Udało mi się dziś zdrzemnąć po obiedzie. Nie poszło ci z Francą, prawda? Dzwoniła do mnie zmartwiona.
- To naprawdę bardzo mądra kobieta.
- O czym chciała z tobą rozmawiać?
- O Francois. Jest problem.

– Chłopiec się do nich przywiązał?

– Skąd wiesz? Mówiła ci o tym?

– Ze mną o tym nie rozmawiała, ale nietrudno się chyba domyślić, prawda? Wiedziałem, że to się tak skończy.

Montalbano spochmurniał.

– Rozumiem, że to cię martwi – powiedział Mimi – ale skąd wiesz, czy to nie wyjdzie wam na dobre?

– Chyba Francois?

– Również. Ale przede wszystkim tobie, Salvo. Ty nie jesteś stworzony na ojca, nawet na przybranego.

Kiedy tylko przejechał most, zobaczył zapalone światła w domu Anny. Skręcił na pobocze i wysiadł.

– Kto tam?

– Salvo.

Anna otworzyła drzwi i wprowadziła go do jadalni. Oglądała film, ale natychmiast wyłączyła telewizor.

– Nalać ci whisky?

– Tak, bez lodu.

– Martwisz się?

– Trochę.

– Niełatwo ci to strawić?

– No nie.

Zastanowił się nad tym, co przed chwilą powiedziała Anna: „niełatwo strawić”. Skąd ona mogła wiedzieć o Francois?

– Ale, przepraszam, skąd ty o tym wiesz, Anno?

– Mówili o tym w telewizji, o ósmej.

O co jej chodzi?

– W jakiej telewizji?

– W Telegiacie. Powiedzieli, że kwesor powierzył sprawę morderstwa Micheli Licalzi szefowi oddziałów specjalnych.

Montalbanowi zachciało się śmiać.

– A co mnie to może obchodzić?! Myślałem zupełnie o czym innym!

– A więc powiedz, co cię tak smuci?

– Coś innego, wybacz.

– Czy widziałeś się z mężem Micheli?

– Tak, wczoraj po południu.

– Opowiedział ci o swoim białym małżeństwie?

– Wiedziałaś o tym?

– Tak, Michela mi mówiła. Była z nim bardzo związana, ale w jej sytuacji romans nie mógł uchodzić za zdradę. Doktor zresztą wiedział o wszystkim.

W drugim pokoju zadzwonił telefon. Anna poszła odebrać i wróciła podenerwowana.

– Dzwoniła znajoma. Podobno pół godziny temu szef oddziałów specjalnych pojechał do inżyniera Di Blasi i zabrał go do kwestury w Montelusie. Czego od niego chcą?

– To proste: chcą wiedzieć, gdzie jest Maurizio.

– A więc już go podejrzewają!

– To oczywiste, Anno. A Ernesto Panzacchi, szef oddziałów specjalnych, kieruje się wyłącznie tym, co jest absolutnie oczywiste. Cóż, dziękuję za whisky, dobranoc.

– Jak to, już idziesz?

– Przepraszam, ale jestem zmęczony. Zobaczymy się jutro.

Ogarnął go zły humor, ciężki i gęsty.

Przekręcił klucz w zamku i pobiegł odebrać telefon.

– Co jest, Salvo! Co z ciebie, kurwa, za przyjaciel!

Rozpoznał głos Nicolo Zito, dziennikarza Retelibery, z którym łączyła go serdeczna przyjaźń.

– To prawda, co mówią, że nie prowadzisz już sprawy? Nie podałem tej wiadomości, chciałem, żebyś ją najpierw potwierdził. Ale jeśli to prawda, to dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Przepraszam, Nicolo, to zdarzyło się wczoraj wieczorem, późno, a dzisiaj rano pojechałem odwiedzić Francois.

– Czy chcesz, żebym powiedział coś w telewizji?

– Nie, dziękuję. Aha, powiem ci coś, o czym na pewno jeszcze nie wiesz, to przynajmniej powetuję ci straty. Komisarz Panzacchi zabrał na przesłuchanie inżyniera Aurelia Di Blasi z Vigaty.

– To on ją zabił?

– Nie, podejrzewają jego syna Maurizia, który zniknął tej samej nocy, kiedy zamordowano panią Licalzi. Ten chłopak zupełnie stracił dla niej głowę. I jeszcze jedno. Mąż ofiary jest w Montelusie, zatrzymał się w hotelu „Jolly”.

– Salvo, jak cię wyrzucą z policji, masz u mnie pracę jak w banku. Obejrzyj sobie wiadomości o północy. Dzięki. Wielkie dzięki.

Zły humor opuścił Montalbana w chwili, kiedy odkładał słuchawkę.

Komisarz Ernesto Panzacchi jest załatwiony na cacy: o północy wszystkie jego poczynania zostaną podane do publicznej wiadomości.

Nie miał najmniejszej ochoty na jedzenie. Rozebrał się, wszedł pod prysznic i długo się kąpał. Włożył majtki i czystą koszulkę. Teraz dopiero czekała go przeprawa.

– Livio...

– Ach, Salvo, już się nie mogłam doczekać! Jak się czuje Francois?

– Czuje się świetnie, nawet urósł.

– Widziałeś, jakie robi postępy? Dzwonię do niego co tydzień i za każdym razem słyszę, że mówi coraz lepiej po włosku. Świetnie się już wysławia, prawda?

– Nawet za dobrze.

Livia nie zwróciła na to uwagi, nurtowało ją inne pytanie.

– Czego chciała Franca?

– Chciała porozmawiać ze mną o Francois.

– Broi? Jest nieposłuszny?

– Chodzi o coś innego. Być może popełniliśmy błąd, trzymając go tak długo u Franki i jej męża. Chłopiec się do nich przywiązał, powiedział mi, że nie chce się z nimi rozstawać.

– On ci to powiedział?

– Tak, i to sam z siebie.

– Sam z siebie! Nie wiedziałam, że jesteś takim skurwysynem!

– Dlaczego?

– Dlatego, że kazali mu tak mówić! Chcą nam go zabrać! Chcą mieć darmową siłę do pracy w gospodarstwie, łajdacy!

– Livio, opanuj się.

– Nie opanuję się, bo jest właśnie tak, jak mówię! Chcą go nam zabrać! A ty w końcu jesteś szczęśliwy, bo możesz im go zostawić!

– Pomyśl, Livio...

– Myślę, mój drogi, i rozumiem, co tam naprawdę się dzieje! I udowodnię to zarówno tobie, jak i tym złodziejom cudzych dzieci!

Odłożył słuchawkę. Nie nakładając niczego, komisarz wyszedł na werandę, usiadł, zapalił papierosa i wreszcie, po długich godzinach wytężonej samokontroli, poddał się melancholii. Choć Franca pozostawiła decyzję jemu i Livii, Francois nie należał już do nich. Prawda, naga i ostra, brzmiała tak, jak ujęła ją siostra Mimi: dzieci to nie pudełka, które można przekładać z miejsca na miejsce. Nie wolno ignorować ich uczuć. Mecenas Rapisarda, który prowadził sprawę adopcyjną, powiedział, że musi upłynąć jeszcze co najmniej pół roku. Francois zdążyłby więc zapuścić u Gagliardów mocne korzenie. Twierdząc, że to Franca kazała mu powiedzieć to, co powiedział, Livia plotła bzdury. On, Montalbano, widział oczy Francois, kiedy wyszedł mu na spotkanie i chciał go przytulić. Zbyt dobrze zapamiętał ten wzrok: był w nim dziecięcy strach i nienawiść. I rozumiał uczucia chłopca: już stracił matkę i bał się, że straci również nową rodzinę. W gruncie rzeczy Livia i on spędzili z chłopcem niewiele czasu, więc ich postacie musiały zatrzeć mu się szybko w pamięci. Montalbano poczuł, że za żadne skarby nie chce sprowadzić na Francois kolejnych cierpień. Nie miał do tego prawa. Ani Livia. Stracili chłopca na zawsze. Ze swej strony pozwoliliby mu pozostać z Aldem i Francą, którzy adoptowaliby go z radością.

Poczuł, że jest mu zimno. Wstał i wszedł do środka.

– Spał pan, komisarzu? Mówi Fazio. Chciałem pana poinformować, że dziś po obiedzie mieliśmy zebranie. Napisaliśmy list protestacyjny do kwestora. Podpisali wszyscy, z komisarzem Augello na czele. Przeczytam panu: „My, niżej podpisani funkcjonariusze komisariatu Bezpieczeństwa

Publicznego w Vigacie, wyrażamy ubolewanie...”

– Zaczekaj, już go wysłaliście?

– Tak, komisarzy.

– Ale z was kutasy! Mogliście mnie przedtem zawiadomić!

– Dlaczego? Przed czy po, co za różnica?

– Bo przed bym was przekonał, żebyście tego nie robili.

Rzucił słuchawkę ze szczerą wściekłością.

Długo musiał czekać na sen. Lecz kiedy już zasnął, obudził się po godzinie, włączył światło i usiadł na łóżku. To było jak błysk, który otworzył mu oczy. Kiedy znajdował się w willi z doktorem Licalzim, usłyszał coś, słowo czy dźwięk, co zabrzmiało jakoś fałszywie. Co to było? Wściekł się na siebie: „A co cię to obchodzi? Przecież to już nie twoja sprawa”.

Zgasił światło i znów się położył.

„Francois też już nie jest twój” – dodał w myślach.

10

Nazajutrz rano załoga komisariatu stawiała się prawie w komplecie: Augello, Fazio, Germana, Gallo, Galluzzo, Giallombardo, Tortorella i Grasso. Tylko Catarella był „nieobecny usprawiedliwiony”, bo pojechał do Montelusy na pierwsze zajęcia z informatyki. Wszyscy mieli miny ponure jak na pogrzebie, omijali Montalbana z daleka, jak gdyby był nosicielem dżumy, unikali nawet jego wzroku. Zostali obrażeni podwójnie: najpierw przez kwestora, który odebrał dochodzenie ich przełożonemu tylko po to, żeby mu zrobić świństwo, potem zaś przez samego przełożonego, który źle przyjął ich list protestacyjny do kwestora. Nie tylko nie doczekali się podziękowań – cóż zrobić, komisarz nie miał zwyczaju za nic dziękować – ale jeszcze, jak referował Fazio, zostali wręcz nawyzywani od kutasów.

Wszyscy więc byli obecni, ale również śmiertelnie znudzeni, ponieważ, nie licząc zabójstwa pani Licalzi, od dwóch miesięcy nie działo się nic ciekawego. Nawet rodziny Cuffaro i Sinagra – dwa klany, które walczyły ze sobą o wpływy i które zazwyczaj regularnie gwarantowały jednego nieboszczyka na miesiąc (jeden Cuffaro za jednego Sinagrę i *vice versa*), od jakiegoś czasu jakby straciły werwę. A to od chwili, kiedy Giosue Cuffaro, zatrzymany przez policję, natychmiast wyraził żal za popełnione zbrodnie i posłał do więzienia Peppuccia Sinagrę, który po aresztowaniu z miejsca udał skruszonego i sypnął Antonia Smeccę, kuzyna rodziny Cuffaro, który to ze swej strony, żałując za zbrodnie, bez wahania wysłał do mamra Cicca Lo Carmine z klanu Sinagra, który...

Ostatnie strzały, jakie słyszano w Vigacie, padły miesiąc temu przy okazji odpustu świętego Gerlanda, kiedy zorganizowano pokaz sztucznych ogni.

– Wszystkie grube ryby są osadzone w więzieniu! – ogłosił triumfalnie kwestor Bonetti-Alderighi tłumnie przybyłym na konferencję prasową dziennikarzom.

– A wszystkie rybki śpią sobie smacznie w jeziorze – skomentował pod nosem komisarz.

Tego rana Grasso, który zastąpił Catarellę w centralce, rozwiązywał krzyżówki, Gallo i Galluzzo grali w durnia, Giallombardo i Tortorella w warcaby, inni czytali albo patrzyli w sufit. Krótka mówiąc, robota aż wrzała.

Na swoim biurku Montalbano znalazł górę papierów, które powinien podpisać albo natychmiast wywalić do kosza. Czyżby to zemsta podwładnych?

Ni stąd, ni zowąd bomba wybuchła o pierwszej, w chwili gdy komisarz, czując, że już zdrętwiała mu ręka, zastanawiał się, dokąd by tak pójść na obiad.

– Komisarzu, dzwoni jakaś pani Anna Tropeano. Chce z panem rozmawiać. Chyba jest zdenerwowana – powiedział Grasso, pełniący rano dyżur przy telefonie.

– Mój Boże, Salvo! Oglądasz telewizję? Widziałeś? Mówią, że Maurizio został zabity!

W komisariacie nie było telewizora, więc Montalbano czmychnął z gabinetu do pobliskiego baru „Italia”. W drzwiach zatrzymał go Fazio.

– Co jest, komisarzu?

– Zabili Maurizia Di Blasi.

Właściciel baru, Gelsomino, i dwaj klienci gapili się z otwartymi ustami w telewizor, wsłuchani w głos dziennikarza Telegigaty, który relacjonował

wydarzenie.

– ...i podczas tego długiego nocnego przesłuchania inżyniera Aurelia Di Blasi szef oddziałów specjalnych w Montelusie, komisarz Ernesto Panzacchi, nabrał podejrzeń, iż syn przesłuchiwanego, Maurizio, na którym ciążyły zarzuty o zabójstwo Micheli Licalzi, mógł ukryć się w domu na wsi, na terytorium Raffadali, które należy do rodziny Di Blasi. Inżynier utrzymywał jednak, że to niemożliwe, ponieważ on sam poprzedniego dnia szukał go tam bez skutku. Dzisiaj, około dziesiątej rano, komisarz Panzacchi z sześcioma funkcjonariuszami udał się do Raffadali i rozpoczął rewizję dużego, mówiąc nawiasem, domu. W pewnej chwili jeden z funkcjonariuszy zauważył mężczyznę biegnącego z boczem wzgórza, które znajduje się niemal tuż za domem. Podczas pościgu komisarz Panzacchi i jego ludzie zobaczyli grotę, w której się ukrył Di Blasi. Komisarz Panzacchi kazał swoim ludziom otoczyć teren i wezwał uciekiniera, by wyszedł z podniesionymi rękami. I Di Blasi wyszedł, wołając: „Ukarzcie mnie, ukarzcie!”, i groźnie wymachując bronią. Jeden z funkcjonariuszy zdążył jednak przytomnie oddać strzał i młody Maurizio Di Blasi upadł, śmiertelnie rażony serią z karabinu maszynowego w klatkę piersiową. Wołanie młodzieńca, który domagał się kary dla siebie, to nie tylko reminiscencja z Dostojewskiego, lecz również dobitny akt przyznania się do winy. Inżynier Aurelio Di Blasi został poproszony o wyznaczenie obrońcy. Cięży na nim oskarżenie o współudział w zorganizowaniu ucieczki syna, która zakończyła się tak tragicznie.

Kiedy pojawiło się zdjęcie, a na nim źrebięca twarz biednego chłopca, Montalbano wyszedł z baru i wrócił do komisariatu.

– Gdyby kwestor nie odebrał ci śledztwa, ten biedak na pewno by żył! – warknął wściekle Mimi.

Montalbano nie odpowiedział, wszedł do gabinetu i zamknął drzwi. W relacji dziennikarza była rażąca, sprzeczność. Jeżeli Maurizio Di Blasi

chciał zostać ukarany, jeżeli tak bardzo sam pragnął dla siebie kary, to dlaczego miał przy sobie broń, którą groził policjantom? Uzbrojony człowiek, kierujący pistolet w stronę tych, którzy próbują go aresztować, nie pragnie kary, tylko chce uniknąć aresztowania, uciec.

– To ja, Fazio. Mogę wejść?

Komisarz stwierdził ze zdumieniem, że razem z Faziem wchodzi również Augello, Germana, Gallo, Galluzzo, Giallombardo, Tortorella, a nawet Grasso.

– Fazio rozmawiał ze swoim przyjacielem z oddziałów specjalnych z Montelusy – powiedział Mimi Augello i dał Paziowi znak, żeby mówił dalej.

– Czy pan wie, jaką bronią chłopak groził komisarzowi Panzacchiemu i jego ludziom?

– Nie.

– To był but. Prawy but. Zanim upadł, zdążył jeszcze rzucić nim w Panzacchiego.

– Anna? Mówi Montalbano. Teraz już słyszałem.

– Salvo, to nie mógł być on! Jestem pewna! To jakieś tragiczne nieporozumienie! Musisz coś zrobić!

– Nie po to do ciebie dzwonię. Czy znasz panią Di Blasi?

– Tak, rozmawiałam z nią kilka razy.

– Jedź do niej, i to szybko. Niepokoję się o nią. Nie chciałbym, żeby została sama, gdy mąż w więzieniu, a syn właśnie został zabity.

– Już lecę.

– Komisarzu, czy mogę coś powiedzieć? Znowu dzwonił ten mój przyjaciel

z Montelusy.

– I powiedział, że jeśli chodzi o ten but, to tylko żartował, wszystko zmyślił?

– Dokładnie. A zatem to prawda.

– Słuchaj, pojedę teraz do domu. Dzisiaj już chyba nie ruszę się z Marinelli. Jeśli będę potrzebny, dzwońcie.

– Musi pan coś zrobić, komisarzu.

– A odpierdolcie się wszyscy ode mnie!

Za mostem pojechał prosto; nie miał ochoty usłyszeć po raz kolejny, i to od Anny, że koniecznie musi coś zrobić. A niby dlaczego? Znaleźli sobie rycerza bez skazy! Robin Hooda i Zorro w jednej osobie: Salva Montalbana!

Głód, który odczuwał o pierwszej, już minął. Komisarz nasypał sobie na spodek czarnych i zielonych oliwek, ukroił kromkę chleba i urywając po kawałku, zadzwonił do Nicolò Zito.

– Nicolò? Mówi Montalbano. Czy kwestor zwołał konferencję prasową?

– Tak, na piątą.

– Będziesz tam?

– Pewnie.

– To musisz mi wyświadczyć przysługę. Zagadnij Panzacchiego, jaką broń miał przy sobie Maurizio Di Blasi. A kiedy już ci odpowie, spytaj, czy może ją pokazać.

– Co się pod tym kryje?

– Powiem ci, kiedy będę mógł.

– Salvo, czy mogę coś powiedzieć? Tutaj wszyscy jesteśmy przekonani, że gdybyś to ty prowadził śledztwo, Maurizio Di Blasi by żył.

A więc Nicolo śpiewał w jednym chórze z Augellem.

– Spadaj do kibla!

– Dziękuję, bardzo mi się to przyda, od wczoraj jakoś nie mogę. Aha, konferencję transmitujemy na żywo.

Wyszedł na werandę i usiadł z książką Deneviego. Wciąż nie dawała mu spokoju ta sama myśl, która poderwała go wczoraj w nocy: co dziwnego, niezwykłego zobaczył albo usłyszał, kiedy był w willi z doktorem?

Konferencja prasowa rozpoczęła się dokładnie o piątej – Bonetti-Alderighi miał świra na punkcie punktualności.

(„Punktualność jest cnotą królów” – powtarzał przy byle okazji; szlacheckie pochodzenie wyraźnie uderzyło mu do głowy i kiedy przeglądał się w lustrze, pewnie widział na swojej głowie koronę).

Za stołem, przykrytym zielonym suknem, siedziało ich trzech: kwestor w środku, po prawej Panzacchi, po lewej wicekwestor Mlekko. Za nimi stało sześciu funkcjonariuszy, którzy brali udział w akcji. Podczas gdy twarze funkcjonariuszy były poważne i spięte, twarze trzech przełożonych wyrażały umiarkowane zadowolenie. Umiarkowane, ponieważ morderca zmarł, a zatem jednak wymknął im się z rąk.

Kwestor zabrał głos pierwszy, wychwalając Ernesta Panzacchiego („człowieka skazanego na błyskotliwą karierę”) i przemycając krótkie słowa uznania pod własnym adresem za to, iż postanowił powierzyć zadanie szefowi oddziałów specjalnych, który „potrafił rozwiązać sprawę w dwadzieścia cztery godziny, podczas gdy zwolennicy przestarzałych metod strwoniliby na nią Bóg wie ile czasu”.

Montalbano, który siedział przed telewizorem, przełknął to gładko, nawet niczego złego sobie nie pomyślał.

Następnie głos zabrał Ernesto Panzacchi, który powtórzył dokładnie to samo, co komisarz usłyszał już z Telegaty. Nie wdawał się w szczegóły, wyraźnie dążył do szybkiego zakończenia konferencji.

– Czy mają państwo jakieś pytania? – spytał Mlekko.

Ktoś podniósł rękę.

– Czy to pewne, że chłopiec krzychał „ukarżcie mnie!”?

– Oczywiście. Krzyknął dwukrotnie, słyszeliśmy to wszyscy wyraźnie.

I popatrzył w kierunku funkcjonariuszy, którzy potwierdzili równoczesnym skinieniem głowy: wyglądali jak marionetki pociągane za sznurki.

– I to jakim tonem! – dodał Panzacchi. – Był zdesperowany.

– O co oskarżono jego ojca? – zapytał inny dziennikarz.

– O pomoc w ucieczce – odpowiedział kwestor.

– A być może o coś jeszcze – dodał tajemniczym głosem Panzacchi.

– Współdział w morderstwie? – dociekał trzeci.

– Tego nie powiedziałem – uciął sucho Panzacchi.

Wreszcie Nicolo Zito dał znak, że chce mówić.

– Jaką bronią groził wam Maurizio Di Blasi?

Dziennikarze, którzy o niczym nie wiedzieli, oczywiście tego nie zauważyli, ale komisarz dostrzegł wyraźnie, że sześciu funkcjonariuszy zastygło, a z twarzy szefa oddziałów specjalnych nagle zniknął uśmiezek. Jedynie kwestor i szef jego gabinetu nie zareagowali jakoś szczególnie.

– Miał w ręku granat – powiedział Panzacchi.

– A skąd niby go wziął? – naciskał Zito.

– To niewypał, pamiątka po wojnie, ale wciąż czynny i niebezpieczny.

Przypuszczamy, że go znalazł, ale musimy to jeszcze sprawdzić.

– Czy możecie nam go pokazać?

– Zajmuje się nim sądówka.

I tak zakończyła się konferencja prasowa.

O wpół do siódmej zadzwonił do Livii. Telefon długo brzęczał na próżno. Zaczął się niepokoić. Może źle się poczuła? Miał numer Giovanny, przyjaciółki Livii i koleżanki z pracy, więc zadzwonił do niej. Powiedziała mu, że Livia przyszła normalnie do pracy, ale kiepsko wyglądała i była podenerwowana. Oznajmiła, że wyłączy telefon, bo nie chce z nikim rozmawiać.

– Jak teraz jest między wami? – spytała na koniec Giovanna.

– Nie najlepiej – odparł oględnie Montalbano.

Do czegokolwiek się brał, czy to do książki, czy do gapienia się w morze, czy do palenia, prędzej czy później wracało do niego to pytanie, precyzyjnie sformułowane i nieustępliwe: co takiego dziwnego usłyszał albo zobaczył w willi?

– Salvo? Mówi Anna. Byłam u pani Di Blasi. Dziękuję, że mnie do niej posłałeś. Rodzina i przyjaciele nawet się nie odezwali. Pewnie – jak najdalej od domu, gdzie ojciec został aresztowany, a syn okazał się mordercą. Fiuty!

– Jak ona się czuje?

– A jak ma się czuć? Miała zapaść, musiałam wezwać lekarza. Teraz jest już lepiej, również dlatego, że adwokat, którego zatrudnił mąż, zadzwonił do niej i powiedział, że inżyniera niedługo wypuszczą.

– Nie doszukali się współudziaku?

– Nie umiem powiedzieć. Chyba postawią mu oskarżenie, ale będzie odpowiadał z wolnej stopy. Wpadniesz do mnie?

– Nie wiem, zobaczę.

– Musisz się ruszyć, Salvo. Maurizio był niewinny, jestem tego pewna. Po postu został zamordowany.

– Nie pleć, Anno.

– Halo? Pan komisarz? Czy to pan osobiście we własnej osobie? Mówi Catarella. Dzwonił mąż ofiary, mówiąc, iżby pan osobiście do niego zadzwonił do Ciolli wieczorem naokoło dziesiątej.

– Dziękuję. Jak ci poszedł pierwszy dzień kursu?

– Dobrze, komisarzu, dobrze. Wszystko zrozumiałem. Instruktor mnie pochwalił. Powiedział, że rzadko się zdarza spotkać taki egzemplarz jak ja.

Przyływ geniuszu objawił się tuż przed ósmą i wykorzystał go, nie tracąc ani minuty. Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Montelusy.

– Nicolo jest na wizji – powiedziała sekretarka – ale zaraz skończy.

Po kilku minutach Zito rzeczywiście się zjawił.

– Zrobiłem, co chciałeś. Widziałeś konferencję prasową?

– Tak, Nicolo, i wydaje mi się, że trafiliśmy w sedno.

– Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego ten granat jest taki ważny?

– A granat to dla ciebie błahostka?

– Daj spokój. Powiedz lepiej, o co naprawdę chodzi.

– Jeszcze nie mogę. A raczej: niedługo może sam się dowiesz, ale to twoja sprawa i ja ci tego nie mówiłem.

– No, dawaj. Co mam zrobić albo powiedzieć w wiadomościach? Po to tu przyjechałeś, prawda? Przecież już od dawna jesteś moim ukrytym reżyserem.

– Jeśli to zrobisz, możesz liczyć na prezent.

Wyciągnął z kieszeni zdjęcie Micheli, które dał mu doktor Licalzi.

– Jesteś jedynym dziennikarzem, który wie, jak ona wyglądała za życia. W kwesturze w Montelusie nie mają takich zdjęć; dowód, prawo jazdy i paszport, o ile je miała przy sobie, były w worku, który zabrał morderca. Jeśli chcesz, możesz pokazać to zdjęcie swoim widzom.

Nicolo Zito wykrzywił usta.

– A więc prezent, którego ty chcesz ode mnie, musi być bardzo drogi. Wal. Montalbano wstał, podszedł do drzwi kanciapy i zamknął je na klucz.

– Nie – powiedział Nicolo.

– Co nie?

– Z góry odpowiadam „nie” na wszystko, o co chcesz mnie poprosić. Jeśli zamknąłeś drzwi od środka, to ja się już w to nie mieszam.

– Jeżeli mi pomożesz, dam ci wszystko, czego potrzeba, żeby zrobić rozpierduchę o ogólnonarodowym zasięgu.

Zito nie odpowiedział, czuł się zapędzony do narożnika. Był jak ta piosenkarka, co śpiewa: „I chciałabym, i boję się”.

– Co mam zrobić? – spytał wreszcie półgłosem.

– Musisz powiedzieć, że dzwonili do ciebie dwaj świadkowie.

– Istnieją naprawdę?

– Tak, ale tylko jeden.

– To powiedz mi tylko to, co zdradził ten, który istnieje.

– Albo obaj, albo żaden.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, że jeśli odkryją, że wymyśliłem sobie świadka, to mogą mi odebrać prawo wykonywania zawodu?

– Oczywiście. I jeśli do tego dojdzie, to upoważniam cię, abyś powiedział, że wiesz to wszystko ode mnie. W ten sposób poślą do diabła i mnie

i będziemy razem uprawiać fasolę.

– To zrobmy tak. Najpierw mi powiesz o tym nieistniejącym. Jeśli sprawa okaże się do załatwienia, to powiesz mi również o tym prawdziwym.

– Zgoda. Dziś po obiedzie, po konferencji prasowej, zadzwonił do ciebie człowiek, który polował w pobliżu miejsca, gdzie zginął Maurizio Di Blasi. Twierdził, że Panzacchi nie mówił prawdy. I odłożył słuchawkę, nie podając imienia ani nazwiska. Był wyraźnie przestraszony. Powiesz o tym mimochodem, utrzymując szlachetnie, że nie chcesz przykładać do tego wagi, bo to anonimowy telefon, a etyka zawodowa nie pozwala ci dawać wiary insynuacjom.

– I po co to zastrzeżenie, skoro i tak powiem, co powiem?

– Przepraszam cię, Nicolo, ale czy nie taka jest właśnie technika waszego działania? Rzucić kamień i chować za siebie rękę?

– Jeśli o to chodzi, to później coś powiem ci na ten temat. Ale mów najpierw, co powiedział prawdziwy świadek.

– Nazywa się Gillo Jacono, ale ty podasz tylko jego inicjały, GJ. To wystarczy. Otóż ten pan tuż po północy ze środy na czwartek zobaczył, jak pod willę podjeżdża twingo, jak wysiada z niego Michela z jakimś nieznanym i jak oboje idą sobie spokojnie w kierunku domu. Mężczyzna miał walizkę. Walizkę, nie neseser. I tu się rodzi pytanie: dlaczego Maurizio Di Blasi, gdy szedł zgwałcić panią Licalzi, wziął walizkę? Może miał w niej prześcieradło na zmianę, na wypadek gdyby poplamił jej pościel? I jeszcze: czy ci z oddziałów specjalnych znaleźli tę walizkę? Jeśli tak, to gdzie, bo w willi jej na pewno nie było.

– To wszystko?

– Wszystko.

Od Nicolo bił chłód; widocznie nie strawił uwagi Montalbana

o dziennikarskich obyczajach.

– A propos mojej etyki zawodowej. Dziś po południu, po konferencji, zadzwonił do mnie jakiś myśliwy, aby powiedzieć, że sprawy nie wyglądały wcale tak, jak mówił Panzacchi. Ale nie chciał zdradzić nazwiska, więc nie podałem tej wiadomości w serwisie.

– Robisz mnie w chuja.

– Zaraz puszcę ci nagranie tej rozmowy – powiedział dziennikarz, wstając.

– Przepraszam, Nicolo. Nie trzeba.

Wiercił się w łóżku przez całą noc, ale nie mógł zasnąć. Miał przed oczami obraz zaszczutego Maurizia, który rzuca butem w kierunku swoich prześladowców – komiczny i desperacki zarazem gest biednego uciekiniera. „Ukarzcie mnie!” – zawołał, a wszyscy odczytali ten okrzyk w najbardziej oczywisty i wygodny dla siebie sposób: „Ukarzcie mnie, ponieważ zgwałciłem i zamordowałem, ukarzcie mnie za mój grzech”. A jeśli chciał przez to powiedzieć coś zupełnie innego? Co on mógł mieć na myśli? Ukarzcie mnie, bo jestem inny, ukarzcie, bo za bardzo kochałem, ukarzcie za to, że w ogóle się urodziłem... Można by tak w nieskończoność, lecz komisarz zatrzymał się na kilku pierwszych możliwościach. Nie lubił zapuszczać się w rejony tandetnej filozofii i literatury, a poza tym wiedział, iż najlepszym sposobem na uwolnienie się od tego obsesyjnie powracającego obrazu i krzyku nie było stawianie sobie ogólnikowych pytań, lecz konfrontacja z faktami. A do niej doprowadzić mogła tylko jedna droga. I dopiero w chwili, kiedy to pomyślał, udało mu się na dwie godziny zmrużyć oczy.

– Wszyscy – powiedział do Mimi Augella, wchodząc do komisariatu.

Po pięciu minutach podwładni stanęli przed nim w jego gabinecie.

– Spocznij – powiedział Montalbano. – To nie będzie oficjalne zebranie, tylko spotkanie przyjaciół.

Mimi usiadł, dwóch czy trzech zrobiło to samo, a reszta nie ruszyła się z miejsca. Grasso, zastępca Catarelli, opierał się o futrynę drzwi, strzygąc uchem, czy nie dzwoni telefon.

– Wczoraj komisarz Augello powiedział mi coś, co mnie zabolalo. Zaraz po tym, jak podano do wiadomości, że Di Blasi został zastrzelony. Powiedział mniej więcej tak: gdybyś to ty prowadził śledztwo, ten chłopak by żył. Mogłem odrzec, że dochodzenie zostało mi odebrane przez kwesturę, więc nie ponoszę żadnej odpowiedzialności. I z formalnego punktu widzenia to prawda. Ale komisarz Augello miał rację. Kiedy kwestor wezwał mnie, żeby mi odebrać sprawę zabójstwa pani Licalzi, uniosłem się honorem. Nie sprzeciwiłem się, nie protestowałem. Dałem mu do zrozumienia, że mam go w dupie. I w ten sposób przegrałem życie człowieka. Bo nie ma najmniejszych wątpliwości, że żaden z was nie strzeliłby do biednego, nierozgarniętego chłopca.

Nigdy nie słyszeli, żeby tak mówił. Słuchali go oszołomieni, bali się głośno oddychać.

– Myślałem o tym przez całą noc i podjąłem decyzję. Pociągnę to dochodzenie.

Kto zaklaskał pierwszy? Montalbano zdołał przekuć wzruszenie w ironię.

– Już wam mówiłem, jakie z was kutasy, więc nie każcie sobie tego powtarzać. Sprawa – mówił dalej – została już odłożona *ad acta*. Więc jeśli wszyscy się zgadzacie, musimy działać jak załoga okrętu podwodnego, wystawiając nad powierzchnię tylko peryskop. Muszę was uprzedzić: jeśli dowiedzą się o tym w Montelusie, każdy z nas może mieć poważne kłopoty.

– Komisarz Montalbano? Mówi Emanuele Licalzi.

Montalbano przypomniał sobie, że doktor już dzwonił, Catarella mu mówił, ale on zapomniał o tym na śmierć.

– Przepraszam, ale wczoraj wieczorem miałem...

– Ależ nie szkodzi, komisarzu, nie ma o czym mówić. A poza tym od

wczorajszego wieczoru sytuacja się zmieniła.

– Co pan ma na myśli?

– To, że jeszcze wczoraj po południu zapewniano mnie, iż w środę rano będę mógł wracać z biedną Michelą do Bolonii. Dziś rano zadzwoniono do mnie bardzo wcześnie z kwestury i poinformowano, że potrzebują jeszcze trochę czasu, że pogrzeb będzie mógł się odbyć dopiero w piątek. A więc postanowiłem wyjechać i wrócić w czwartek wieczorem.

– Już pan na pewno wie, że sprawa...

– Tak, oczywiście, ale nie chodzi mi o sprawę. Pamięta pan, że podczas naszej rozmowy wspominaliśmy o samochodzie, o twingo? Czy mogę już zlecić komuś sprzedaż auta?

– Zrobmy tak, doktorze: samochód odwieziemy do warsztatu, z którym współpracujemy na stałe. To my wyrządziliśmy szkodę, więc musimy też pokryć straty. Jeśli pan sobie życzy, mogę zlecić właścicielowi warsztatu, żeby znalazł jakiegoś kupca.

– Jest pan niezwykle uprzejmy, komisarzu.

– Proszę zaspokoić moją ciekawość: co pan robi z willą?

– Ją też wystawię na sprzedaż.

– Mówi Nicolo. No więc mam, czego chciałem.

– Możesz mówić jaśniej?

– Sędzia Tommaseo wezwał mnie dzisiaj na czwartą.

– A czego od ciebie chce?

– No wiesz! Twoja bezczelność nie zna granic! Wpuszczasz w maliny i nie wiesz, jakie mogą być konsekwencje? Oskarży mnie, że zataiłem przed policją ważne informacje. A jak odkryje również, że nie wiem, jak się nazywa jeden ze świadków, to będzie wpierdol. Zobaczysz, że jeszcze mnie

pośle do więzienia.

– Odezwij się potem.

– Pewnie! Chyba po to, żebyś mi raz w tygodniu przynosił do pierdła pomarańcze i papierosy.

– Słuchaj, Galluzzo, chcę się widzieć z twoim szwagrem, dziennikarzem Telegigaty.

– Już go zawiadamiam, komisarzy.

Kiedy doszedł do drzwi, ciekawość wzięła górę.

– Ale... czy chodzi o coś, co mógłbym może wiedzieć?

– Galluzzo, nie tylko mógłbyś, lecz musisz! Chcę, żeby twój szwagier współpracował z nami przy sprawie pani Licalzi. Skoro nie możemy działać jawnie, musimy posłużyć się telewizjami prywatnymi, udając, że dziennikarze zbierają informacje na własną rękę. Proste?

– Jak drut.

– Czy myślisz, że twój szwagier będzie miał ochotę nam pomóc?

Galluzzo wybuchnął śmiechem.

– Komisarzy, jeśli pan go poprosi, by powiedział przed kamerami, że księżyc jest z koziego sera, to powie. Przecież on dosłownie umiera z zazdrości.

– O kogo?

– O Nicolo Zito, komisarzy. Mówi, że pan go faworyzuje.

– To prawda. Wczoraj wieczorem Zito wyświadczył mi przysługę i wpadł w kłopoty.

– I teraz chce pan wpędzić w kłopoty mojego szwagra?

– Decyzja należy do niego.

– Nie ma sprawy. Proszę tylko powiedzieć, o co chodzi.

– A więc sam mu powiedz, co ma zrobić. Proszę, weź to. To zdjęcie Micheli Licalzi.

– Kurde, jaka ładna!

– W redakcji twój szwagier ma pewnie zdjęcie Maurizia Di Blasi. Widziałem je, kiedy podawali wiadomość o zabójstwie. W serwisie o pierwszej, a także w serwisie wieczornym, twój szwagier musi pokazać te dwa zdjęcia, jedno obok drugiego, w tym samym ujęciu. Musi powiedzieć, że jest pięciogodzinna dziura między wpół do ósmej wieczorem w środę, kiedy pani Michela pożegnała się ze swoją przyjaciółką, a północą, kiedy widziano, jak w towarzystwie jakiegoś mężczyzny idzie w kierunku willi. Twój szwagier chciałby zatem wiedzieć, czy ktoś może dostarczyć informacji o tym, co działo się z panią Licalzi pomiędzy jedną godziną a drugą. A lepiej: czy ktoś o tej porze widział ją w towarzystwie Maurizia. Jeśli zaś tak, to gdzie. Jasne?

– Jak słońce.

– Od tej pory biwakujesz w Telegiacie.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że tam siedzisz, jak gdybyś był redaktorem. Kiedy tylko ktoś zareaguje na ten materiał, każesz przełączyć telefon do siebie i porozmawiasz. A potem mi wszystko przekażesz.

– Salvo? Mówi Nicolo Zito. Muszę ci znowu przeszkodzić.

– Coś nowego? Przysłali cię karabinierzy?

Ale Nicolo nie miał ochoty do żartów.

– Czy możesz natychmiast przyjechać tu, do redakcji?

Montalbano bardzo się zdziwił, widząc w studiu Nicolo mecenasa Orazia Guttadauro, osławionego specjalistę od prawa karnego, obrońcę wszystkich mafiosów z prowincji Montelusa i wielu spoza jej granic.

– Komisarz Montalbano, cóż to za miły widok! – zawołał adwokat.

Nicolo wydawał się lekko zmieszany. Komisarz spojrzał pytająco na dziennikarza: co tu robi Guttadauro?

Zito odpowiedział mu na głos.

– To właśnie pan mecenas dzwonił do mnie wczoraj, to on był na polowaniu.

– Aha – powiedział komisarz.

Im mniej się mówiło w obecności Guttadauro, tym lepiej. To nie był człowiek, któremu należało ufać.

– Słowa, które wielce szanowny obecny tu pan redaktor wypowiedział w telewizji – zaczął adwokat tonem, którego zazwyczaj używał podczas rozpraw – sprawiły, że poczułem się dosłownie jak gnida!

– Jezu, a co ja takiego powiedziałem? – spytał zatroskany Nicolo.

– Użył pan dokładnie następujących określeń: „nieznany myśliwy” i „anonimowy rozmówca”.

– Tak, ale co w tym jest obraźliwego? Mówi się również o nieznanym żołnierzu...

– ...i o anonimowym darczyńcy – dorzucił Montalbano, który zaczynał się dobrze bawić.

– No, jakże to?! – drążył adwokat, jak gdyby nie słyszał tego, co mówią. – Orazio Guttadauro oskarżony o tchórzostwo?! Nie zdzierzyłem, i oto jestem.

– Ale dlaczego przyszedł pan do nas? Pańskim obowiązkiem było pojechać do Montelusy, do komisarza Panzacchiego, i powiedzieć mu...

– Chyba wam się, chłopcy, całkiem zebrało na żarty. Przecież Panzacchi stał o dwadzieścia metrów ode mnie, a opowiedział całkiem inną bajkę! Jeśli będą mieli dać wiarę jemu lub mnie, to przecież jasne, że posłuchają jego! Czy pan wie, ilu moich klientów, osób o nieposzlakowanej opinii, zostało obciążonych i skazanych w wyniku kłamliwych zeznań policjantów lub karabinierów? Setki!

– Przepraszam, panie mecenasie, ale czym różni się pańska wersja od wersji komisarza Panzacchiego? – spytał Zito, którego dosłownie zżerała ciekawość.

– Jednym szczegółikiem, wielmożny panie.

– Jakim?

– Tym, że mały Di Blasi nie miał broni.

– No nie! Nie wierzę. Czy utrzymuje pan, że funkcjonariusze z oddziałów specjalnych strzelali z zimną krwią, tylko dla przyjemności zabijania?

– Powiedziałem jedynie, że Di Blasi był bez broni. Tamci myśleli, że jest uzbrojony, bo trzymał coś w ręku. To było tragiczne nieporozumienie.

– A co trzymał w ręku?

Głos Nicolo Zito stał się ostry.

– Swój but, przyjacielu.

Dziennikarz osunął się na krzesło, adwokat mówił dalej.

– Uznałem za swój obowiązek powiadomić o tym fakcie opinię publiczną. Myślę, że moje obywatelskie sumienie...

I w tej chwili Montalbano zrozumiał grę Guttadaura. Nie było to zabójstwo mafijne, więc występując jako świadek, nie mógł zaszkodzić żadnemu ze swoich klientów. Zapewniał sobie opinię przykładowego obywatela, a przy okazji wrabiał policję.

– Widziałem go również poprzedniego dnia – powiedział adwokat.

– Kogo? – spytali równocześnie Zito i Montalbano, każdy zagubiony w swoich myślach.

– Małego Di Blasi, a kogo? To doskonały teren do polowań. Zobaczyłem go z daleka, nie miałem lornetki. Kulał. Potem wszedł do groty, usiadł przy samym wlocie, na słońcu, i zaczął jeść.

– Chwileczkę – wtrącił Zito. – Jak rozumiem, utrzymuje pan, że chłopak ukrywał się w grocie, a nie w swoim domu? Przecież miał do niego zaledwie kilka kroków!

– Cóż mam powiedzieć, mój drogi Zito? Chyba tylko to, że jeszcze poprzedniego dnia, przechodząc przed domem Di Blasich, widziałem, że furtka jest zamknięta na kłódkę wielką jak kufer. Jestem pewny, że on nawet na chwilę nie wszedł do tego domu. Może nie chciał skompromitować rodziny, kto wie?

Montalbano był pewny dwóch rzeczy. Po pierwsze, adwokat gotowy był zaprzeczyć wersji szefa oddziałów specjalnych również co do miejsca, w którym ukrył się chłopak, przez co zatrzymanie jego ojca, inżyniera, zostałyby zakwestionowane z bolesnymi dla Panzacchiego skutkami. Po drugie... w tej kwestii komisarz wolał najpierw uzyskać potwierdzenie.

– Czy może pan zaspokoić moją ciekawość, mecenasie?

– Na pańskie rozkazy, komisarzu.

– Skoro pan bez przerwy poluje, to kiedy pan bierze udział w rozprawach?

Guttadauro uśmiechnął się do niego, Montalbano uczynił to samo. Zrozumieli się w lot. Najprawdopodobniej adwokat nigdy w życiu nie był na polowaniu. Ci, którzy to wszystko widzieli i którzy go tutaj przysłali, musieli być przyjaciółmi tych, których Guttadauro nazywał swoimi klientami, a ich cel mógł być tylko jeden: doprowadzić do skandalu w kwesturze w Montelusie. Trzeba było grać ostrożnie, komisarz nie lubił mieć w nich

sprzymierzeńców.

– Czy to pan mecenas kazał ci mnie wezwać? – spytał dziennikarza.

– Tak.

A więc o wszystkim wiedzieli. Także o tym, że wyrządzono mu krzywdę. Spodziewali się, że pragnie zemsty, więc postanowili się nim posłużyć.

– Pan wie już zapewne, mecenasie, że ja nie prowadzę tej sprawy, która zresztą i tak została zamknięta.

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego ale, panie mecenasie. Jeżeli naprawdę chce pan wypełnić obywatelski obowiązek, proszę iść do sędziego Tommaseo i opowiedzieć swoją wersję wydarzeń właśnie jemu. Do widzenia.

Odwrócił się plecami i wyszedł. Nicolo wybiegł za nim, schwycił go za ramię.

– Ty już o tym wiedziałeś! Wiedziałeś już o tym bucie! I dlatego chciałeś, żebym zapytał Panzacchiego o broń!

– Tak, Nicolo, wiedziałem. Ale radzę ci nie wspominać o tym w swoim serwisie. Nie ma dowodów, że sprawy mają się tak, jak mówi Guttadauro, choć chyba to jednak prawda. Bądź ostrożny.

– Przecież sam mi mówisz, że to prawda!

– Postaraj się zrozumieć, Nicolo. Mogę się założyć, że adwokat nawet nie wie, gdzie jest ta grotka, w której ukrył się Maurizio. To marionetka, którą za sznurki pociąga mafia. Jego przyjaciele dowiedzieli się czegoś i uzgodnili między sobą, że będzie im na rękę to wykorzystać. Zarzucają do morza sieć i mają nadzieję, że za jednym zamachem wyłowią Panzacchiego, kwestora i sędziego Tommaseo. Niezłe trzęsienie ziemi. Ale tym, który powinien wciągnąć sieć na barękę, musi być ktoś silny, czyli ja, zaślepiony, jak sądzą, żądzą zemsty. Już rozumiesz?

– Tak. Jak mam się umawiać z adwokatem?

– Powtórz mu to, co ci powiedziałem. Niech idzie do sędziego. Zobaczysz, że odmówi. A więc wszystko, co usłyszałeś od Guttadaura, powiesz sędziemu ty sam, słowo po słowie. Jeśli nie jest głupi, a głupi nie jest, zrozumie, że jemu też coś grozi.

– Przecież on nie ma nic wspólnego ze śmiercią Maurizia.

– Ale podpisał akt oskarżenia jego ojca, inżyniera. A tamci są gotowi zaświadczyć, że Maurizio nigdy nie ukrył się w swoim domu w Raffadali. Jeśli Tommaseo chce ratować skórę, musi rozbroić Guttadaura i jego przyjaciół.

– Niby jak?

– A bo ja wiem?

Skoro już był w Montelusie, skierował się w stronę kwestury z nadzieją, że nie natknie się na Panzacchiego. Szybko zbiegł do sutereny, gdzie mieściła się sądówka, i od razu wtargnął do gabinetu szefa.

– Dzień dobry, Arqua.

– Dzień dobry – odpowiedział tamten chłodno, jak gdyby był górą lodową.

– Czy mogę być w czymś pomocny?

– Przejeżdżałem tędy i przyszło mi coś do głowy.

– Jestem bardzo zajęty.

– Nie wątpię, ale zajmę panu dosłownie minutę. Chciałbym się czegoś dowiedzieć o bombie, którą Di Blasi próbował rzucić w funkcjonariuszy.

Doktor Arqua zachował kamienną twarz.

– Nie mam obowiązku pana informować.

Czy to możliwe, że umiał tak nad sobą panować?

– Ależ, panie kolego, niech pan będzie tak miły. Wystarczą mi trzy

informacje: kolor, rozmiar i marka.

Arqua wydawał się szczerze zdziwiony. W jego oczach zarysowało się wyraźne pytanie, czy Montalbano przypadkiem nie zwariował.

– O czym pan mówi?

– Pomogę panu. Czarna? Brązowa? Czterdziesty trzeci? Czterdziesty czwarty? Mocassino? Superga? Varese?

– Spokojnie – powiedział Arqua bez potrzeby, wierny regule, że z wariatami trzeba postępować ostrożnie. – Proszę za mną.

Montalbano posłuchał. Weszli do pomieszczenia, gdzie stał duży, biały półokrągły stół. Krzatali się przy nim trzech ludzie w białych kaftanach.

– Caruana – powiedział Arqua do jednego z nich – pokaż komisarzowi Montalbano granat.

Kiedy ten otwierał stalową szafę, Arqua mówił dalej.

– Jest rozbrojony, ale kiedy nam go tutaj przywieźli, był niebezpieczny.

Wziął plastikowy worek, który podał mu Caruana, i pokazał komisarzowi.

– Stary OTO, na wyposażeniu naszego wojska w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku.

Montalbano nie mógł wydobyć z siebie głosu. Patrzył na zdemontowany granat, jakby to była waza z okresu Ming, którą właśnie wypuścił z rąk.

– Czy pobraliście odciski palców?

– Wielu nie dało się odtworzyć, ale dwa, należące do Maurizia Di Blasi, były wyraźne, kciuk i wskazujący prawej dłoni.

Arqua położył torbę na stole, oparł dłoń na ramieniu komisarza i wypchnął go na korytarz.

– Proszę wybaczyć, to wszystko moja wina. Nie wiedziałem, że kwestor odbierze panu śledztwo.

To, co uznał za chwilowe zaćmienie zdolności umysłowych Montalbana, przypisał szokowi po zawodowej porażce. W sumie z tego doktora Arqua był jednak całkiem dobry chłopak.

Szef sądówki bez wątpienia mówił szczerze – myślał Montalbano, jadąc w kierunku Vigaty. Nie mógł być tak znakomitym aktorem. Ale jak można rzucić granatem, przytrzymując go tylko kciukiem i palcem wskazującym? Jeśli nim rzucisz w ten sposób, co najwyżej możesz rozwalić sobie jaja. Arqua powinien był znaleźć ślady również znacznej części nasady dłoni. Lecz jeśli sprawy miały się tak, jak myślał, to w jaki sposób faceci z oddziałów specjalnych przycisnęli do granatu dwa palce Maurizia? Kiedy tylko zadał sobie w myślach to pytanie, zjechał na przeciwległy pas i ruszył z powrotem do Montelusy.

12

– Czego pan chce? – spytał Pasquano, widząc Montalbana w drzwiach swojego gabinetu.

– Muszę odwołać się do naszej przyjaźni – uprzedził komisarz.

– Przyjaźni? To my jesteśmy przyjaciółmi? Jadamy razem kolacje? Zwierzymy się sobie?

Taki już był ten Pasquano i na komisarzu jego słowa nie wywarły najmniejszego wrażenia. Musiał tylko znaleźć właściwą formułę.

– Cóż, jeśli to nie jest przyjaźń, to na pewno szacunek.

– Co to, to tak – przyznał Pasquano.

Trafił. Teraz już pójdzie z górki.

– Jakie jeszcze badania musi pan wykonać w sprawie Micheli, doktorze? Czy są jakieś nowe dane?

– Jakie nowe dane? Już dawno poinformowałem sędziego i kwestora, że mogę przekazać zwłoki jej mężowi.

– Tak? Bo widzi pan, właśnie jej mąż powiedział mi, że otrzymał telefon z kwestury. Uprzedzono go, że pogrzeb może się odbyć dopiero w piątek rano.

– Chuj z nimi.

– Proszę wybaczyć, doktorze, jeśli nadużywam pańskiej cierpliwości. Czy z ciałem Maurizia Di Blasi wszystko w porządku?

– W jakim sensie?

– No, jak umarł?

– Co za głupie pytanie! Seria z karabinu maszynowego prawie przecięła go

na pól. Niewiele brakowało, a jego popiersie można by postawić na kolumnie.

– A prawa stopa?

Doktor Pasquano przymrużył swoje małe oczka.

– Dlaczego pyta mnie pan o prawą stopę?

– Ponieważ lewa nie wydaje mi się interesująca.

– No właśnie. Doznał jakiegoś urazu. Skręcił ją czy coś w tym rodzaju i nie mógł już założyć buta. Ale to musiało się zdarzyć na kilka dni przed jego śmiercią. Twarz miał obrzękniętą od uderzenia.

Montalbano podskoczył.

– Został uderzony?

– Nie wiem. Albo dostał potężnie po twarzy, albo się o coś uderzył. Ale ludzie z oddziałów specjalnych nie mają z tym nic wspólnego, bo do tej kontuzji też doszło wcześniej.

– W tym samym czasie, kiedy skręcił nogę?

– Mniej więcej.

Montalbano wstał i podał doktorowi rękę.

– Dziękuję i już nie przeszkadzam. Jeszcze tylko ostatnie pytanie. Czy zawiadomiono pana od razu?

– O czym?

– O tym, że zastrzelili Di Blasiego.

Doktor Pasquano zacisnął mocno powieki. Można by pomyśleć, że momentalnie zasnął. Nie odpowiedział od razu.

– Czy to wszystko śni się panu po nocach? Ma pan objawienia? Rozmawia pan z duchami? Nie, do chłopca strzelali o szóstej rano, a mnie zawiadomiono około dziesiątej. Powiedzieli, że chcą najpierw przeszukać

dom.

– Ostatnie pytanie.

– Jeśli każde pytanie będzie ostatnie, to nie pójde dzisiaj spać.

– Kiedy już przekazano panu zwłoki Maurizia di Blasi, czy ktoś z oddziałów specjalnych prosił o zgodę na pozostanie z ciałem bez pańskiego towarzystwa?

Doktor Pasquano się zdziwił.

– Nie. A dlaczego mieliby o to prosić?

Wrócił do redakcji Retelibery. Chciał, żeby Nicolo Zito był na bieżąco. Spodziewał się, że mecenas Guttadauro już sobie poszedł.

– Po co wróciłeś?

– Zaraz ci powiem. Jak poszło z adwokatem?

– Zrobiłem, co chciałeś. Poradziłem mu, żeby poszedł z tym do sędziego. Powiedział, że się zastanowi. Jednak potem dodał coś dziwnego, bez związku z całą sprawą. Przynajmniej na pozór, bo z tymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo. „Ma pan szczęście, że żyje wśród obrazków! Dzisiaj słowa już się nie liczą, liczą się tylko obrazki”. I tyle. Co to ma znaczyć?

– Nie wiem. Posłuchaj, Nicolo, oni mają granat.

– Jezu! A więc Guttadauro kłamał!

– Nie, powiedział prawdę. Panzacchi to cwaniak i pomyślał o wszystkim. Sądówka bada granat, który przekazał jej Panzacchi – granat, na którym znajdują się odciski palców Maurizia.

– Rany, ale jaja! Panzacchi zabezpieczył się z każdej strony! I co ja mam teraz powiedzieć sędziemu?

– To, co uzgodniliśmy. Tyle że nie możesz zgłaszać zbyt wielu wątpliwości co do istnienia granatu, jasne?

Z Montelusy do Vigaty prowadziła również boczna droga, którą komisarz bardzo lubił. Wybrał właśnie ją, a kiedy dojechał do niewielkiego mostka nad potokiem, który od wieków już nie był potokiem, tylko suchym, kamiennym łożyskiem, zatrzymał się, wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku płamy zieleni. Pośrodku niej rosło gigantyczne drzewo oliwne, z tych krzywych i pokręconych, które zanim wystrzelą ku górze, pełzają po ziemi jak węże. Usiadł na jednym z konarów, zapalił papierosa i zaczął rozmyślać o wszystkim, co wydarzyło się rano.

– Mimi, wejdz, zamknij drzwi i usiądź. Muszę cię wypytać o wiele rzeczy.

– Na rozkaz.

– Jeśli komuś zarekwiruję broń, pistolet czy karabin maszynowy, co wtedy mam zrobić?

– Podać dalej.

– Widzę, że zebrało ci się dzisiaj na żarty...

– Chcesz znać wytyczne? Zarekwirowana broń musi zostać przekazana bezzwłocznie stosownej komórce kwestury w Montelusie, gdzie zostaje wpisana do rejestru i zamknięta na klucz w magazynie, który w tym konkretnym przypadku mieści się naprzeciw sądówki. Wystarczy?

– Tak. Minii, teraz pokuszę się o rekonstrukcję, a jeśli powiem jakieś głupstwo, przerwij mi. A więc Panzacchi i jego ludzie przeszukują wiejski dom inżyniera Di Blasi. Zważ, że główne wejście jest zamknięte na potężną kłódkę.

– A skąd to wiesz?

– Mimi, nie nadużywaj prawa do przerywania mojej wypowiedzi. Kłódka to nie igła w stogu siana. Wiem i tyle. Myślą jednak, że może to być maskarada, że inżynier, po dostarczeniu synowi pożywienia, zamknął go

w środku, chcąc stworzyć wrażenie, że w domu nikogo nie ma. Wypuści go, kiedy sprawa przycichnie i skończy się cały ten burdel. W pewnej chwili jeden z funkcjonariuszy widzi Maurizia, który próbuje się ukryć. Otaczają go. Maurizio wychodzi, trzymając coś w ręku. Jeden z policjantów, bardziej nerwowy od pozostałych, myśli, że to broń, strzela i zabija biedaka. Kiedy się orientują, że trzymał w ręku prawy but, którego nie mógł włożyć, bo miał skręconą nogę...

– A skąd to wiesz?

– Mimi, albo przestaniesz pytać, albo nie skończę tej historii. Kiedy widzą, że to był but, zdają sobie sprawę, że wpadli w gówno po uszy. Błyskotliwa akcja Ernesta Panzacchiego i jego parszywej półdwunastki może skończyć się wielkim smrodem. Drapią się w głowę, aż wpadają na pomysł, że powinni upierać się przy wersji, że Maurizio naprawdę był uzbrojony. No i dobrze, ale niby w co miałyby być uzbrojony? I tu szef oddziałów specjalnych ma przebłysk geniuszu: granat!

– Dlaczego nie pistolet? Przecież to prostsze.

– Za Panzacchim nie nadążysz, Mimi, nawet nie próbuj. Szef oddziałów specjalnych wie, że inżynier Di Blasi nie ma pozwolenia na broń i nie zgłosił nigdy faktu jej posiadania. Ale pamiątki wojennej, takiej, na którą patrzysz sobie codziennie, nie można uznać za broń. Po jakimś czasie wynosi się ją po prostu na strych i zapomina o niej.

– Czy mogę coś powiedzieć? W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim inżynier Di Blasi miał pewnie pięć lat i jeśli biegał z pistoletem, to był to korkowiec.

– A jego ojciec? Wujek? Kuzyn? Dziadek? Jego pradziadek? Jego...

– No dobrze już, dobrze...

– Problem w tym, skąd wziąć granat, który pochodziłby z czasów wojny.

- Z magazynów kwestury – powiedział spokojnie Mimi Augello.
- Znakomicie. I czasu im nie brak, ponieważ doktor Pasquano zostaje wezwany dopiero cztery godziny po śmierci Maurizia.
- Skąd to wiesz?... No już dobrze, przepraszam.
- Czy wiesz, kto odpowiada za magazyn?
- Tak, i znamy go obaj: to Nene Lofaro. Przez jakiś czas pełnił u nas służbę.
- Lofaro? Z tego, co pamiętam, to nie należy on do osób, którym można powiedzieć: „Daj klucz, bo potrzebny mi granat”.
- Warto by się zorientować, jak było naprawdę.
- To jedź do Montelusy i się dowiedz. Ja nie mogę, jestem na celowniku.
- Zgoda. Aha, Salvo, czy mogę wziąć jutro dzień wolny?
- Masz oko na jakąś kurwę?
- Nie na kurwę, tylko na przyjaciółkę.
- Nie możesz się z nią spotkać wieczorem, po pracy?
- Wyjeżdża jutro po obiedzie.
- Cudzoziemka? No, to wszystkiego najlepszego. Ale najpierw musisz załatwić sprawę tego granatu.
- Bądź spokojny. Dzisiaj po obiedzie pojedę do Montelusy.

Miał ochotę pobyć trochę z Anną, ale za mostem ruszył prosto przed siebie.

W skrzynce na listy była duża koperta. Listonosz złożył ją na pół, żeby się zmieściła. Nie było na niej nazwiska nadawcy. Montalbanowi zachciało się jeść, otworzył lodówkę: ośmiorniczki i najzwyklejszy sos ze świeżych pomidorów.

Widocznie Adelina nie miała czasu albo ochoty na nic bardziej pracochłonnego. Czekając, aż zagotuje się woda na spaghetti, wziął kopertę. W środku był kolorowy katalog Eroservice: kasety porno, z uwzględnieniem wszelkich osobniczych i osobliwych gustów konsumentów. Podarł i wrzucił do kosza. Zjadł, poszedł do łazienki. Zaraz jednak z niej wybiegł z rozpiętymi spodniami. Wyglądał jak Ridolini w jednej ze swoich komedii. Jak mógł o tym nie pomyśleć od razu? Że też potrzeba było dopiero katalogu kaset porno! Numer znalazł w książce telefonicznej Montelusy.

– Halo, mecenas Guttadauro? Mówi komisarz Montalbano. Właśnie pan jadł? Tak? Przepraszam.

– Słucham, komisarzu.

– Pewien przyjaciel, wie pan, jak to bywa przy okazji rozmowy na inne tematy, powiedział mi, że ma pan spory zbiór kaset wideo kręconych podczas polowań.

Długie milczenie. Mózg adwokata musiał pracować na najwyższych obrotach.

– To prawda.

– Czy mógłby mi pan którąś pokazać?

– Wie pan, jestem bardzo zazdrosny o moje kasety. Ale moglibyśmy się jakoś dogadać.

– To właśnie chciałem od pana usłyszeć.

Pożegnali się jak starzy przyjaciele. Już wiedział, co się stało. Przyjaciele Guttadaura, i to co najmniej kilku, są świadkami śmierci Maurizia. Następnie, kiedy widzą, jak jeden z funkcjonariuszy pędzi samochodem na łeb, na szyję, zdają sobie sprawę, że Panzacchi uruchomił maszynę, która ma uratować mu twarz i karierę. Jeden z przyjaciół biegnie więc po kamerę i wraca na czas, żeby nakręcić scenę z funkcjonariuszami, którzy przykładają palce zmarłego

do granatu. Teraz również przyjaciele Guttadaura są w posiadaniu granatu, tyle że innego rodzaju, prawdziwej bomby, i zamierzają wyciągnąć zawleczkę. Sytuacja śliska i niebezpieczna, której należało absolutnie zaradzić.

– Inżynier Di Blasi? Mówi komisarz Montalbano. Muszę z panem natychmiast porozmawiać.

– Dlaczego?

– Dlatego, że mam wiele wątpliwości co do winy pańskiego syna.

– Jego i tak już nie ma.

– Tak, ma pan rację, inżynierze. Chodzi o jego pamięć.

– Niech pan robi, co chce.

Był załamany. Trup, który oddychał i mówił.

– Będę u pana najpóźniej za pół godziny.

Zdziwił się, gdy drzwi otworzyła mu Anna.

– Mów cicho. Pani Di Blasi udało się wreszcie zasnąć.

– Co ty tu robisz?

– To dzięki tobie. Nie miałam odwagi zostawić jej samej.

– Jak to samej? Nie wezwali nawet pielęgniarki?

– Owszem, wezwali, ale ona chce mnie. Wejź już.

Salon był zaciemniony jeszcze bardziej niż w czasie jego pierwszej wizyty. Montalbano czuł, że serce mu się ściska na widok Aurelia Di Blasi, wyciągniętego w poprzek na fotelu. Miał zaciśnięte powieki, ale musiał wyczuć obecność komisarza, bo się odezwał.

– Czego pan chce? – spytał przerażającym, martwym głosem.

Montalbano wyjaśnił mu, o co chodzi. Mówił przez bite pół godziny, obserwując, jak inżynier powoli się prostuje, otwiera oczy, patrzy na niego i słucha z zaciekawieniem. Zrozumiał, że dopiął swego.

– Czy ludzie z oddziałów specjalnych mają klucze do domu?

– Tak – odpowiedział inżynier innym, mocniejszym już głosem. – Ale kazałem dorobić trzeci komplet. Maurizio trzymał go w swojej szafce. Pójdę po nie.

Nie dał rady wstać z fotela, komisarz musiał mu pomóc.

Do komisariatu wpadł jak burza.

– Fazio, Gallo, Giallombardo: za mną.

– Bierzemy samochód?

– Nie, pojedziemy moim. Mimi Augello wrócił?

Nie wrócił. Ruszyli na pełnym gazie. Fazio nie pamiętał, żeby komisarz jechał kiedyś tak szybko. Trochę się martwił, nie miał wielkiego zaufania do sprawności Montalbana w tej roli.

– Może ja poprowadzę? – spytał Gallo, który wyraźnie miał te same obawy co Fazio.

– Odwalcie się, nie ma czasu.

Odcinek z Vigaty do Raffadali pokonał w dwadzieścia minut. Wyjechał z miasteczka, skręcił w wiejską drogę. Inżynier dokładnie mu wytłumaczył, jak dotrzeć do domu. Rozpoznali go wszyscy, przecież w kółko był pokazywany w telewizji.

– Mam klucze. Wejdziemy do środka – powiedział Montalbano – i dokładnie przeszukamy. Mamy jeszcze kilka godzin do zmroku, musimy je wykorzystać. To, czego szukamy, powinniśmy znaleźć przed zmierzchem. Nie możemy włączać światła, ktoś mógłby zobaczyć je z zewnątrz, jasne?

– Jak słońce – odparł Fazio. – Ale czego mamy szukać?

Komisarz powiedział im czego i dodał:

– Mam nadzieję, że się mylę. Naprawdę chciałbym się mylić.

– Ale pozostawimy ślady, nie wzięliśmy rękawiczek – wtrącił zasepiony Giallombardo.

– I chuj z tym.

Niestety, nie mylił się. Po godzinie usłyszał triumfalny okrzyk Galla, który przeszukiwał kuchnię. Nadbiegli wszyscy. Gallo schodził z krzesła, ze skórzanym pokrowcem w dłoni.

– Leżał na tym kredensie.

Komisarz otworzył: w środku był granat, podobny do tego, który widział w sądówce, oraz pistolet, przypominający te, które nosili przy sobie niemieccy oficerowie.

– Gdzie byliście? Co to za pokrowiec? – spytał Mimi, czujny jak pies.

– A ty co masz mi do powiedzenia?

– Lofaro wziął zwolnienie lekarskie na cały miesiąc. Od piętnastu dni zastępuje go niejaki Culicchia.

– Znam go dobrze – powiedział Giallombardo.

– Co to za typ?

– Nie lubi siedzieć za biurkiem i prowadzić rejestrów. Oddałby duszę za to, żeby znów być w akcji. Chce zrobić karierę.

– Duszę już chyba oddał – skomentował Montalbano.

– Czy mogę się dowiedzieć, co jest w tym pokrowcu? – spytał Mimi, coraz bardziej zaciekawiony.

– Cukierki, Mimi. A teraz słuchajcie. O której godzinie Culicchia schodzi

ze służby? Pewnie o ósmej?

– Dokładnie – potwierdził Fazio.

– Kiedy Culicchia wyjdzie z kwestury, ty, Fazio, i ty, Giallombardo, przekonacie go, żeby wsiadł do mojego samochodu. Nie mówcie mu, o co chodzi. Kiedy usiądzie między wami, pokażcie mu pokrowiec. On go nigdy nie widział, więc spyta was, co to za przedstawienie.

– Czy mogę się w końcu dowiedzieć, co jest w środku? – spytał ponownie Augello, ale nikt mu nie odpowiedział.

– Dlaczego pan mówi, że on jeszcze nie widział tego pokrowca?

Pytanie zadał Gallo. Komisarz spojrzał na niego spode łba.

– Czy możecie choć raz ruszyć głową? Maurizio Di Blasi był opóźnionym na umyśle, porządnym człowiekiem i z pewnością nie miał przyjaciół, którzy mogliby mu dostarczać broń, rozgłaszając to wszystkim wokół. Jedynym miejscem, gdzie mógł znaleźć granat, jest jego wiejski dom. Ale trzeba mieć dowód, że właśnie stamtąd go zabrał. A więc Panzacchi, stary lis, rozkazuje podwładnemu, by jechał do Montelusy i wziął dwa granaty i pistolet z czasów wojny. Twierdzi, że jeden z granatów miał w rękach Maurizio, drugi, razem z pistoletem, bierze ze sobą, zaopatruje się w pokrowiec, potajemnie wraca do domu w Raffadali i chowa wszystko w miejscu, w którym łatwo będzie można to znaleźć.

– No to już wiem, co jest w tym pokrowcu! – wrzasnął Mimi, klepiąc się z całej siły w czoło.

– Krótko mówiąc, ten kutas Panzacchi sfingował sytuację niezwykle prawdopodobną. I jeśli ktoś go zapyta, dlaczego reszta broni nie została odnaleziona podczas pierwszego przeszukania, będzie mógł powiedzieć, że przerwali rewizję w chwili, kiedy Maurizio próbował się ukryć, bo musieli go łapać.

– Co za skurwysyn! – powiedział wzburzony Fazio. – Nie dość, że zabija chłopaka, bo nawet jeśli to nie on strzelał osobiście, jest zwierzchnikiem i ponosi odpowiedzialność, to jeszcze próbuje pogrozić starego człowieka, żeby ratować własną skórę!

– Wróćmy do tego, co macie robić. Gotujcie tego Culicchię na wolnym ogniu. Powiedzcie mu, że pojemnik został znaleziony w domu w Raffadali. Potem pokażcie mu granat i pistolet. Następnie spytajcie, niby to ze zwykłej ciekawości, czy do rejestru trafia cała zarekwirowana broń. A na końcu każcie mu wysiąść z samochodu i zabierzcie ze sobą broń oraz pokrowiec.

– I to wszystko?

– To wszystko, Fazio. Następny ruch należy do niego.

13

– Pan komisarz? Dzwoni Galluzzo, chce osobiście z panem rozmawiać. Co mam zrobić, panie komisarzu? Mam łączyć?

To musiał być Catarella, bo właśnie on pełnił dyżur przy telefonie, ale dlaczego wysławił się jakoś inaczej niż zwykle? Dlaczego nie powiedział, że Galluzzo chce rozmawiać osobiście z jego osobą?

– Połącz. Słucham, Galluzzo.

– Komisarzu, ktoś zadzwonił zaraz po tym, jak w Telegigancie pokazano zdjęcia pani Licalzi i Maurizia Di Blasi, jedno obok drugiego, dokładnie tak, jak pan chciał. Ten facet jest pewny, że widział panią Michelę z jakimś mężczyzną około wpół do dwunastej w nocy, ale tym mężczyzną nie był Maurizio Di Blasi. Twierdzi, że zatrzymali się w jego barze, przed Montelusą.

– Jest pewny, że to było w środę?

– Absolutnie. Powiedział, że w poniedziałek i wtorek nie było go w barze, bo wyjechał, natomiast w każdy czwartek bar jest zamknięty. Zostawił nazwisko i adres. Co mam zrobić? Mam wracać?

– Nie, zostań do wieczornego serwisu, tego o ósmej. Wrócisz potem. Możliwe, że ktoś się jeszcze odezwie.

Drzwi otwały się na oścież i uderzyły o ścianę. Komisarz aż podskoczył.

– Czy mi wolno? – spytał Catarella z uśmiechem.

Bez wątpienia Catarella nie miał łatwych relacji z drzwiami. Na widok jego niewinnej twarzy Montalbano powstrzymał wybuch gniewu.

– Włącz. Co jest?

- Przynieśli właśnie tę paczuszkę i ten list do pańskiej osoby.
- Jak ci idzie na kursie informatycznym?
- Dobrze, komisarzy. Ale nie mówi się „informatyki”, tylko „informatyczny”, komisarzy.

Odwrócił się w kierunku drzwi, a Montalbano spojrzał na niego zdumiony. Zepsują mu na kursie tego chłopaka jak nic.

W kopercie była kartka, na której ktoś wystukał na maszynie kilka linijek tekstu bez podpisu:

TO TYLKO FINAŁ PRZEDSTAWIENIA. MAM NADZIEJĘ, ŻE SIĘ PANU SPODOBA. JEŻELI JEST PAN ZAINTERESOWANY CAŁYM NAGRANIEM, PROSZĘ DZWONIĆ BEZ WAHANIA.

Montalbano pomacał paczuszkę: kasetą wideo.

Jego auto mieli Fazio i Giallombardo, zadzwonił więc do Galla, żeby przyjechał po niego samochodem służbowym.

- Dokąd jedziemy?
- Do Montelusy, do Retelibery. Tylko nie pędź na złamanie karku, nie chcę powtórki z ubiegłego czwartku.

Gallo spochmurniał.

- Raz mi się zdarzyło, a pan od razu wypomina, ledwo tylko pan wsiadł.

Jechali w milczeniu.

- Mam zaczekać? – spytał Gallo, kiedy dotarli na miejsce.

- Tak, to nie potrwa długo.

Nicolo Zito wprowadził go do swojego studia. Był podenerwowany.

- Jak ci poszło z Tommaseo?

- A jak miało mi pójść? Opierdolił mnie od góry do dołu i o mało nie

obdarł ze skóry.

– A ty co na to?

– Odwołałem się do piątej poprawki.

– Nie mamy piątej poprawki, nie wygłupiaj się.

– I dobrze, że nie mamy. Bo ci, którzy w Ameryce powoływali się na piątą poprawkę, i tak dostali po dupie.

– Powiedz, jak zareagował na nazwisko Guttadauro. Musiało to na nim zrobić jakieś wrażenie.

– Przestraszył się, wydał się też zmartwiony. W każdym razie udzielił mi formalnego ostrzeżenia. Następnym razem pośle mnie do mamra, i tyle.

– O to mi chodziło.

– Żeby mnie posłał do mamra?

– Nie, kutasie. Żeby wiedział, że wciął się w to Guttadauro i ci, których reprezentuje.

– Co według ciebie robi teraz Tommaseo?

– Porozmawia z kwestorem. Na pewno zrozumiał, że on również wpadł do sieci, więc będzie chciał się jakoś wyplątać. Nicolo, chcę przejrzeć tę kasetę.

Dziennikarz wziął ją i włożył do odtwarzacza. Zobaczyli ogólne ujęcie z ludźmi na polu, nie można było dostrzec ich twarzy. Dwie osoby, w białych fartuchach, przenosiły ciało na nosze. Na dole monitora widniała data niebudząca najmniejszych wątpliwości: MONDAY 14.4.97. Operator zrobił zbliżenie: teraz widać było Panzacchiego i doktora Pasquano. Rozmawiali bezgłośnie, po czym uścisnęli sobie ręce i doktor wyszedł z kadru. Plan został poszerzony: pokazało się sześciu funkcjonariuszy oddziałów specjalnych, którzy otaczali swojego przełożonego. Panzacchi coś im powiedział, wszyscy wyszli z kadru. Koniec programu.

– Kurwa! – powiedział półgłosem Zito.

- Przegraj mi to.
- Tutaj nie mogę, muszę iść do reżyserki.
- Dobrze, ale ostrożnie: nie pokazuj nikomu.

Wyjął z szuflady Nicolo kartkę i kopertę bez nadruku Retelibery. Usiadł przy maszynie do pisania.

OBEJRZAŁEM PRÓBKĘ. NIE JESTEM ZAINTERESOWANY. NIECH PAN Z TYM ROBI, CO CHCE. ALE ZALECAM ZNISZCZENIE ALBO UŻYCIE WYŁĄCZNIE DO CELÓW PRYWATNYCH.

Nie podpisał, nie naniósł adresu, który znał z książki telefonicznej.

Wrócił Zito, wręczył mu dwie kasety.

– To oryginał, a to kopia. Wyszła tak sobie, wiesz, jak to jest, kopia z kopii...

– Nie jadę z tym na festiwal do Wenecji. Daj mi dużą kopertę podklejoną plastikiem.

Włożył kopię do zwykłej koperty, a list i oryginał do firmowej, którą podał mu Nicolo. Na niej też nie zapisał adresu.

Gallo siedział w samochodzie, czytając „Gazzetta dello Sport”.

– Wiesz, gdzie jest ulica Xerri? Pod numerem osiemnastym mieści się biuro mecenasa Guttadauro. Przekaż mu tę kopertę i przyjedź tu po mnie.

Fazio i Giallombardo dotarli do komisariatu po dziewiątej.

- Oj, komisarzu! To była tragikomedial – krzyknął Fazio.
- Co powiedział?
- Najpierw mówił, a potem przestał – odparł Giallombardo.
- Kiedy pokazaliśmy mu pokrowiec, nie zrozumiał. Pytał: „Co to, żarty sobie robicie? To jakiś żart, prawda?” Jak tylko Giallombardo powiedział, że

pokrowiec został znaleziony w Raffadali, twarz mu się zupełnie zmieniła, zrobił się blady jak trup.

– Potem, kiedy zobaczył broń – wtrącił Giallombardo, który też chciał mieć swój udział – poczuł się źle. Już myśleliśmy, że szlag go trafi w samochodzie.

– Cały drżał, wyglądał, jakby nim trzęsła malaria. Potem nagle wstał, dał przeze mnie susa i uciekł – powiedział Fazio.

– Biegł jak pijany zając, to w lewo, to w prawo – zakończył Giallombardo.

– I co teraz? – spytał Fazio.

– Walnęliśmy w stół, zobaczymy, co powiedzą nożyce. Dziękuję za wszystko.

– Na rozkaz – odparł krótko Fazio i dodał: – A gdzie mamy zostawić pokrowiec? W szafie pancерnej?

– Tak – powiedział Montalbano.

Komisarz miał w swoim pokoju sporą szafę pancerną, w której nie gromadził dokumentów, tylko zarekwirowaną broń i narkotyki, czekające na przewiezienie do Montelusy.

Zmęczenie podeszło go zdradziecko i prawie zważyło z nóg: czterdzieści sześć lat piechotą nie chodzi. Powiedział Catarelli, że jedzie do domu, i nakazał, by przełączał do niego telefony. Za mostem zatrzymał się, wysiadł, podszedł pod dom Anny. A jeśli ktoś u niej jest? Spróbował.

Anna wyszła mu naprzeciw.

– Wejdz, proszę.

– Jest ktoś u ciebie?

– Nie ma nikogo.

Poprosiła, żeby usiadł na kanapie przed telewizorem. Ściszyła dźwięk,

wyszła z pokoju, wróciła z dwiema szklankami: w jednej była whisky dla komisarza, w drugiej białe wino dla niej.

– Jadłaś już?

– Nie – odpowiedziała Anna.

– Nie jesz nigdy?

– Jadłam w południe.

Usiadła obok niego.

– Nie siadaj za blisko, bo sam czuję, jak śmierdzieć – powiedział Montalbano.

– Miałaś ciężkie popołudnie?

– Dosyć.

Odchylił do tyłu głowę i oparłszy się na jej ramieniu, zamknął oczy. Na szczęście zdążył odstawić szklankę na stolik, bo nagle zapadł w sen, jak gdyby do whisky dosypano mu opium. Obudził się pół godziny później i aż się poderwał. Rozejrzał się wokół, przypomniał sobie, gdzie jest, i się zawstydził.

– Bardzo cię przepraszam.

– To dobrze, że się obudziłeś. Ręka już zaczęła mi drętwieć.

Komisarz wstał.

– Muszę iść.

– Odprowadzę cię.

W drzwiach, bez żadnych podtekstów, Anna pocałowała go w usta.

– Odpocznij, Salvo.

Bardzo długo brał prysznic, zmienił bieliznę i ubranie, wystukał numer Livii. Telefon dzwonił i dzwonił, zanim połączenie zostało automatycznie

przerwane. Co się z nią działo?

Dręczyła się z powodu Francois? Było za późno, żeby dzwonić do jej przyjaciółki po jakieś informacje. Usiadł na werandzie i po namyśle podjął decyzję: jeśli nie uda mu się połączyć z Livią w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, to machnie ręką na wszystko, złapie samolot do Genui i pobędzie z nią choć przez jeden dzień.

Z werandy przywołał go dzwonek telefonu. Był pewny, że to wreszcie Livia.

– Halo? Czy rozmawiam z komisarzem Montalbano?

Głos był mu znany, ale nie pamiętał skąd.

– Tak, kto mówi?

– Ernesto Panzacchi.

Nożyce się odezwały.

– Mów.

Byli na ty czy na pan? W tej chwili to nie miało znaczenia.

– Chciałbym z tobą porozmawiać. Osobiście. Czy mam do ciebie przyjechać?

Nie miał ochoty gościć Panzacchiego w swoim domu.

– Ja przyjadę. Gdzie mieszkasz?

– W hotelu „Pirandello”.

– Czekał.

Pokój Panzacchiego był przestronny jak jakiś salon. Oprócz małżeńskiego łoża i szafy były w nim dwa fotele, lodówka i duży stół, na którym stał telewizor z odtwarzaczem wideo.

– Rodzina jeszcze nie zdążyła się do mnie przeprowadzić.

I dobrze, bo musiałyby się od razu pakować z powrotem – pomyślał komisarz.

– Przepraszam, ale muszę się wysikać.

– Bądź spokojny, w ubikacji nie ma nikogo.

– Ale mnie naprawdę chce się siusiu.

Nie można było ufać takiej żmii.

Kiedy Montalbano wyszedł z łazienki, Panzacchi wskazał mu fotel.

Szef oddziałów specjalnych był człowiekiem zwalistym, lecz eleganckim, o jasnych oczach i wąsach na Tatarzyna.

– Napijesz się czegoś?

– Nie.

– Przejdziemy od razu do sprawy? – spytał Panzacchi.

– Jak chcesz.

– A więc dziś wieczorem przyszedł do mnie Culicchia, funkcjonariusz, nie wiem, czy go znasz.

– Osobiście nie, ale z nazwiska tak.

– Był dosłownie przerażony. Dwaj twoi ludzie podobno mu grozili.

– Tak ci powiedział?

– Tak zrozumiałem.

– To źle zrozumiałeś.

– To ty mi powiedz, jak było.

– Posłuchaj, jest późno i jestem już bardzo zmęczony. Pojechałem do domu Di Blasich w Raffadali, ździebko poszukałem i prawie od razu znalazłem pokrowiec z granatem i pistoletem. Teraz mam je w szafie pancernej.

– Na Boga! Przecież nie byłeś upoważniony! – powiedział Panzacchi

i wstał.

– No więc wybrałeś kiepską metodę – odparł spokojnie Montalbano.

– Ukrywasz dowody!

– Już ci powiedziałem, że wybrałeś kiepską metodę. Jeśli zaczniemy rozmawiać o pozwoleniach i hierarchiach, wstanę, pójdę sobie i pozwolę ci utonąć w tym gównie. Bo wpadłeś w nie już po uszy.

Panzacchi przez chwilę się wahał, rozważał wszystkie za i przeciw, w końcu usiadł. Próbował szczęścia, ale pierwszej rundy nie wygrał.

– I powinieneś mi podziękować – ciągnął dalej komisarz.

– Za co?

– Za to, że zabrałem pokrowiec z domu. Miał ci posłużyć jako dowód, że Maurizio Di Blasi wziął granat właśnie stamtąd, prawda? Tyle że sądówka nie znalazłaby na broni odcisków Di Blasiego, nawet gdybyś jej płacił złotem. I jak byś to wytłumaczył? Mówiąc, że Maurizio miał rękawiczki? Byłyby niezłe jaja!

Panzacchi się nie odzywał, tylko jasnymi oczami wpatrywał się w komisarza.

– Mam mówić dalej? Twój podstawowy grzech... co ja gadam, twoje grzechy mam głęboko w dupie, więc mówmy raczej o błędach... A więc po raz pierwszy popełniłeś błąd, kiedy odtrąbiłeś pogoń za Mauriziem Di Blasi, nie mając pewności, że jest winny. Ale za wszelką cenę chciałeś przeprowadzić „błyskotliwą” akcję. I stało się to, co się stało, a ty na pewno odetchnąłeś potem z ulgą. Udając, że ratujesz swojego człowieka, który pomylił broń z butem, wysłałeś z palca całą tę historię z granatem i żeby ją uwiarygodnić, pojechałeś do domu państwa Di Blasich ukryć pokrowiec.

– To wszystko bzdury. Jeśli opowiesz je kwestorowi, bądź pewny, że nie uwierzy. Wygadujesz te idiotyzmy po to, żeby mnie oczernić, żeby się

zemścić za dochodzenie, które odebrano tobie, a powierzono właśnie mnie.

– A co zrobisz z Culicchią?

– Jutro przejdzie do mnie, do oddziałów specjalnych. Zapłacę cenę, jakiej zażądał.

– A jeśli zawiozę broń do sędziego Tommaseo?

– Culicchia powie, że to ty poprzedniego dnia prosiłeś o klucze do magazynu. Gotowy jest przysiąc. Spróbuj zrozumieć: musi się bronić. I pouczyłem go, co ma robić.

– A więc przegrałem?

– Tak mi się wydaje.

– Czy ten odtwarzacz działa?

– Tak. Wyciągnął kasetę.

– Czy możesz to tam włożyć?

Panzacchi posłuchał bez słowa. Pojawiło się nagranie. Szef oddziałów specjalnych obejrzał je w całości, następnie przewinął kasetę do początku, wyjął i oddał Montalbanowi. Usiadł i zapalił połówkę tokańskiego cygara.

– To tylko finał, resztę mam u siebie, w szafie pancерnej z bronią – skłamał Montalbano.

– Jak to zrobiłeś?

– Nie ja kręciłem. W pobliżu były dwie osoby, które widziały wszystko i włączyły kamerę. Przyjaciele mecenasa Guttadauro, którego dobrze znasz.

– To brzydka niespodzianka.

– O wiele brzydsza, niż ci się wydaje. Trafiłeś pomiędzy mnie a nich.

– Za pozwoleniem: ich pobudki rozumiem doskonale, ale nie bardzo rozumiem twoje. Chyba że chodzi o zemstę.

– No, to spróbuj mnie zrozumieć: nie mogę dopuścić, po prostu nie mogę,

żeby szef oddziałów specjalnych Montelusy został zakładnikiem mafii i pozwolił się szantażować.

– Wiesz, Montalbano, ja naprawdę chciałem bronić dobrego imienia moich ludzi. Czy wyobrazasz sobie, co by było, gdyby dziennikarze się dowiedzieli, że zabiliśmy człowieka, który chciał rzucić w nas butem?

– I dlatego wciągnąłeś w to inżyniera Di Blasi, który z tą sprawą nie miał nic wspólnego?

– Ze sprawą nie, ale z moimi planami owszem. A co do szantażu, to umiem się bronić.

– Wierzę. Ty dasz sobie radę, choć nie będzie ci łatwo, ale jak długo wytrzyma Culicchia i tamtych sześciu, jeśli każdego dnia będą stawiani pod ścianą? Wystarczy, żeby uległ choć jeden, i wszystko wyjdzie na jaw. Przedstawię ci inną prawdopodobną hipotezę: za którymś razem, słysząc po raz kolejny twoje „nie”, tamci będą gotowi wziąć kasetę i wyemitować ją publicznie albo wysłać do prywatnej telewizji, której dziennikarz zaryzykuje pierdla, bo będzie miał w końcu okazję na prawdziwą bombę. A wtedy wyleci również kwestor.

– To co mam robić?

Montalbano przez chwilę pomyślał o nim niemal z podziwem. Panzacchi był bezlitosnym, pozbawionym skrupułów graczem, ale potrafił przegrywać, kiedy widział, że naprawdę stoi na straconej pozycji.

– Musisz ich uprzedzić, zdetonować broń, którą mają w ręku.

Nie mógł się powstrzymać od złośliwości, której potem pożałował.

– A ta broń to, niestety, nie but. Porozmawiaj o tym dziś w nocy z kwestorem. Znajdźcie razem jakieś rozwiązanie. Ale uwaga: jeśli jutro w południe okaże się, że nic nie zrobiliście, wezmę sprawę w swoje ręce.

Wstał, otworzył drzwi i wyszedł.

„Wezmę sprawy w swoje ręce” – ładnie powiedziane, wystarczająco złowieszczo. Ale co to niby miało konkretnie znaczyć? Jeśli, założmy, szef oddziałów specjalnych przeciągnie na swoją stronę kwestora, a ten z kolei pozyska sędziego Tommaseo, to on sam, Montalbano, zostanie wyruchany. Czy to możliwe, że w Montelusie wszyscy, i to w ciągu jednego dnia, stali się nieuczciwi? Antypatia to jedno, ale charakter czy moralność człowieka to już zupełnie co innego.

Dotarł do Marinelli pełen wątpliwości i pytań. Czy dobrze zrobił, że rozmawiał w ten sposób z Panzacchim? Czy kwestor uwierzy, że nie powodowało nim pragnienie zemsty? Wybrał numer Livii. I znowu nie odebrała. Położył się do łóżka, ale udało mu się zasnąć dopiero po dwóch godzinach.

14

Kiedy wszedł do komisariatu, minę miał tak wściekłą, że jego ludzie na wszelki wypadek trzymali się od niego z daleka. „Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz” – mówi przysłowie, ale niektóre przysłowia są widać do niczego, bo komisarz sam sobie rozłożył prześcieradło na łóżku, a tymczasem ciągle się budził i teraz czuł się tak, jak gdyby przebiegł cały maraton.

Tylko Fazio, który był z nim w największej zażyłości, odważył się zapytać:

– Czy jest coś nowego?

– Powiem ci po dwunastej.

Zameldował się Galluzzo.

– Komisarzu, wczoraj wieczorem szukałem pana na lądzie i morzu.

– Na niebie ci się nie chciało, co?

Galluzzo zrozumiał, że to nie czas na przydługie wstępy.

– Po wieczornych wiadomościach zadzwonił facet. Powiedział, że w środę około ósmej, najwyżej piętnaście po, pani Licalzi zatrzymała się na jego stacji benzynowej i zatankowała do pełna. Zostawił nazwisko i adres.

– Dobra, potem do niego wpadniemy.

Był spięty, nie mógł skupić uwagi, ciągle spoglądał na zegarek. A jeśli minie dwunasta i nikt z kwestury się nie odezwie?

O jedenastej trzydzieści zadzwonił telefon.

– Komisarzu – powiedział Grasso – dzwoni redaktor Zito.

– Łącz.

Z początku nie rozumiał, o co chodzi.

– Pa-ram-pampam, pa-ram-pampam, du-bi-dubi, bi-du-bidu – nucił Zito.

– Nicolo?

– *Fratelli d'Italia...* – Zito powtórzył początek hymnu narodowego, tyle że już słowami.

– Daj spokój, Nicolo, nie mam ochoty do żartów.

– A kto tu żartuje? Przeczytam ci komunikat, który otrzymałem kilka minut temu. Jeśli nie siedzisz mocno na tyłku, to usiądź. Wiedz tylko, że przysłano go do nas, do Telegaty i do pięciu korespondentów prasowych. Czytam. KWESTURA W MONTECUSO. Z POWODÓW OSOBISTYCH KOMISARZ ERNESTO PANZACCHI ZWRÓCIŁ SIĘ Z PROŚBĄ O ZWOLNIENIE GO Z FUNKCJI SZEFA ODDZIAŁÓW SPECJALNYCH I ODDAŁ SIĘ DO DYSPOZYCJI PRZEŁOŻONYCH. JEGO PROŚBA ZOSTAŁA PRZYJĘTA. OBOWIĄZKI KOMISARZA PANZACCHIEGO PRZEJMIE CZASOWO KOMISARZ ANSELMO IRRERA. W ZWIĄZKU Z FAKTEM, IŻ W TRAKCIE DOCHODZENIA W SPRAWIE ZABÓJSTWA MICHELI LICALZI POJAWIŁY SIĘ NOWE I NIEOCZEKIWANE OKOLICZNOŚCI, ŚLEDZTWO POPROWADZI KOMISARZ SALVO MONTALBANO Z KOMISARIATU W VIGACIE. PODPISANE: BONETTI-ALDERIGHI, KWESTOR MONTECUSO
Wygraliśmy, Salvo!

Podziękował przyjacielowi i odłożył słuchawkę. Nie był zadowolony. To fakt, że prysło napięcie i otrzymał dokładnie taką odpowiedź, na jaką liczył, ale dobrze się z tym nie czuł, coś go jednak uwierało. Z serca przeklął Panzacchiego, ale nie za to, co zrobił, lecz za to, że zmusił go do podjęcia działań, które mu teraz ciążyły.

Drzwi otworzyły się na oścież, cała załoga wparowała do środka.

– Komisarzu! – odezwał się Galluzzo. – Właśnie dzwonił do mnie

szwagier, ten z Televigaty. Otrzymali komunikat...

– Wiem, już go znam.

– No, to my teraz idziemy po szampana i...

Giallombardo nie zdążył dokończyć zdania, bo zmroził go wzrok szefa. Wyszli powoli, mrużąc coś pod nosem. Co za dziwny facet z tego komisarza!

Sędzia Tommaseo nie miał odwagi patrzeć Montalbanowi w oczy. Pochylony nad biurkiem, udawał, że przegląda ważne dokumenty. Komisarz pomyślał, że sędzia pewnie chciałby mieć teraz zarost na całej twarzy, tyle że o posturze yeti mógł tylko pomarzyć.

– Musi pan zrozumieć, komisarzu. Jeśli chodzi o wycofanie zarzutu posiadania broni z czasów wojny, nie ma problemu, wezwałem już adwokata inżyniera Di Blasi. Ale nie mogę z równą łatwością obalić zarzutu współudziału. Maurizio Di Blasi przyznał się do zabójstwa Micheli Licalzi i będzie uważany za winnego, dopóki nie znajdą się zaprzeczające temu dowody. Moje prerogatywy nie pozwalają mi w żaden sposób...

– Do widzenia – powiedział Montalbano, wstał i wyszedł.

Sędzia Tommaseo wybiegł za nim na korytarz.

– Komisarzu, niech pan zaczeka! Chciałbym wyjaśnić...

– Nie ma tu nic do wyjaśniania, panie sędzio. Czy rozmawiał pan z kwestorem?

– Tak, i to długo. Widzieliśmy się dzisiaj rano, o ósmej.

– A więc znane są panu pewne szczegóły, które mimo wszystko widocznie uważa pan za nieistotne. Na przykład ten, że dochodzenie w sprawie zabójstwa pani Licalzi zostało przeprowadzone chujowo, że na dziewięćdziesiąt dziewięć procent młody Di Blasi był niewinny, że przez

pomyłkę został zabity, że Panzacchi wszystko zataił. Nie ma wyjścia: nie może pan uwolnić inżyniera od zarzutu przechowywania broni, nie wszczynając równocześnie postępowania przeciw Panzacchiemu, który tę broń mu podłożył.

– Analizuję właśnie sytuację komisarza Panzacchiego.

– To niech pan analizuje. Ale kiedy będzie pan ważył argumenty, to spośród wszystkich wag, jakie znajdują się w pańskim urzędzie, niech pan wybierze tę, która dobrze działa.

Tommaso miał zareagować, ale zastanowił się przez chwilę i nie odezwał się ani słowem.

– Kolejna sprawa – powiedział Montalbano. – Dlaczego zwłoki pani Licalzi nie zostały dotąd przekazane jej mężowi?

Zmieszanie sędziego stało się jeszcze bardziej widoczne. Zaczął ścisnąć kciuk palcami drugiej dłoni.

– No tak, to był... tak, to był pomysł Panzacchiego. Zwrócił mi uwagę na fakt, że opinia publiczna... Krótko mówiąc, najpierw odnalezienie zwłok, potem śmierć Di Blasiego, następnie pogrzeb pani Licalzi i jeszcze pogrzeb młodego Maurizia... Sam pan rozumie.

– Nie, nie rozumiem.

– Było lepiej rozłożyć to w czasie... Nie przygnębiać społeczeństwa tak wieloma przykrymi wydarzeniami naraz...

Mówił dalej, lecz komisarz zdążył już dojść do końca korytarza.

Kiedy wyszedł z sądu miasta Montelusa, była druga. Zamiast wracać do Vigaty, skierował się na szosę Enna-Palermo. Galluzzo wytłumaczył mu, gdzie znajdzie stację benzynową i bar restauracyjny – dwa miejsca, w których widziano Michelę Licalzi. Stacja, usytuowana około trzech

kilometrów za Montelusą, była zamknięta. Komisarz przeklął, przejechał dalsze dwa kilometry, zobaczył po lewej stronie drogowskaz z napisem: BAR RESTAURACYJNY DLA KIEROWCÓW CIĘŻARÓWEK. Był duży ruch, Montalbano czekał cierpliwie, aż któryś z jadących w przeciwnym kierunku zdecyduje się go przepuścić, ale widząc, że sprawa jest beznadziejna, przeciął im drogę, wszczynając piekielny jazgot hamulców, klaksonów, przekleństw i wyzwisk, i zatrzymał się na parkingu przed barem.

W środku było mnóstwo ludzi. Podszedł do człowieka przy kasie.

– Chciałbym rozmawiać z panem Gerlandem Agró.

– To ja. A kim pan jest?

– Komisarz Montalbano. Dzwonił pan do Televigaty, żeby powiedzieć...

– Ożeż kurwa! Czy musiał pan przychodzić właśnie teraz? Nie widzi pan, ile mam pracy?

Montalbanowi wpadł do głowy pomysł, który z punktu uznał za genialny.

– A jak u was się je?

– Ci, którzy tu siedzą, to sami kierowcy ciężarówek. Czy tacy dadzą sobie wcisnąć byle gówna?

Pod koniec posiłku pomysł okazał się nie tyle genialny, ile ledwie dobry. Kucharz trzymał się tutaj reguł żelaznej normalności, pozbawionej choćby szczypty fantazji. Kiedy komisarz wypił kawę i wychylił kieliszek anyżówki, kasjer posadził przy kasie jakiegoś chłopca i podszedł do jego stołu.

– Już możemy. Przysiądę się, dobrze?

– Pewnie.

Jednak Gerlando Agró szybko zmienił zdanie.

– Lepiej niech pan pójdzie za mną.

Wyszli z lokalu.

– No więc tak... W środę około wpół do dwunastej w nocy stałem tutaj i paliłem sobie papierosa. I zobaczyłem, jak od szosy Enna-Palermo nadjeżdża to twingo.

– Jest pan pewny?

– Dałbym sobie rękę uciąć. Samochód zatrzymał się tuż przede mną i wysiadła z niego kobieta. Ta, która go prowadziła.

– Czy dałby pan sobie uciąć drugą rękę, że to była ta sama kobieta co w telewizji?

– Komisarzu, przecież takiej jak ta świętej pamięci biedaczka to człowiek łatwo nie zapomni!

– Proszę mówić dalej.

– Mężczyzna pozostał w środku, w samochodzie.

– W jaki sposób udało się panu zobaczyć, że to był mężczyzna?

– Jakaś ciężarówka miała włączone światła. Zdziwiłem się, bo na ogół to mężczyzna wysiada, a kobieta zostaje w środku. Tak czy inaczej, kobieta zamówiła dwie kanapki z wędliną i wzięła butelkę wody mineralnej. Przy kasie siedział wtedy mój syn Tanino, ten sam co teraz. Kobieta zapłaciła i zeszła po tych trzech schodkach. Ale na ostatnim potknęła się i upadła, kanapki wyleciały jej z rąk. Więc zszedłem po tych trzech schodkach, żeby jej pomóc, i stanąłem twarzą w twarz z mężczyzną, który w tym czasie wysiadł z samochodu. „Nic się nie stało”, powiedziała kobieta. On wrócił do samochodu, ona zamówiła następne dwie kanapki, zapłaciła i odjechali w kierunku Montelusy.

– Opowiedział pan wszystko bardzo przejrzyście, panie Agró. Krótko mówiąc, jest pan w stanie stwierdzić, że mężczyzna, którego pan widział w telewizji, to nie ten sam, który był z tą kobietą w samochodzie?

– Bezwzględnie. To dwie różne osoby!

– Gdzie ona miała pieniądze? W worku?

– Nie, komisarzu. Nie miała żadnego worka. Trzymała w ręku portmonetkę.

Po porannej nerwówce, zjadłszy obiad, poczuł zmęczenie. Postanowił jechać do Marinelli i przespać się godzinę. Kiedy jednak minął most, zatrzymał się, wysiadł i nacisnął guzik domofonu. Nikt nie odpowiedział. Pewnie Anna pojechała do pani Di Blasi. I być może to lepiej.

Z domu zadzwonił do komisariatu.

– O piątej chcę widzieć u siebie Galluzza wraz z samochodem.

Wybrał numer Livii, ale nie odpowiadała. Zadzwonił do jej przyjaciółki z Genui.

– Mówi Montalbano. Posłuchaj, zaczynam naprawdę się martwić. Livia już od kilku dni nie...

– Nie martw się. Dzwoniła do mnie przed chwilą, aby powiedzieć, że wszystko u niej w porządku.

– A można wiedzieć, gdzie ona jest?

– Nie wiem. Wiem tylko, że zadzwoniła do szefa i poprosiła o jeszcze jeden dzień urlopu.

Telefon odezwał się, kiedy tylko odłożył słuchawkę.

– Komisarz Montalbano?

– Tak, kto mówi?

– Guttadauro. Nie znajduję słów podziwu dla pana, komisarzu.

Montalbano rozłączył się, zdjął ubranie, wszedł pod prysznic, po czym nagi rzucił się na łóżko. Zasnął od razu.

Drrrrryń, drrrrryń – dźwięczał mu w mózgu jakiś daleki dzwonek.

Wreszcie się zorientował, że to dzwonek do jego drzwi. Wstał z trudem, poszedł otworzyć. Ujrawszy, że komisarz stoi przed nim nago, Galluzzo odskoczył do tyłu.

- Co jest, Galluzzo? Boisz się, że cię wciągnę do środka i zerznę?
- Dzwonię od pół godziny, już miałem wyważać drzwi.
- Tobys musiał mi je wstawiać z powrotem. Zaraz będę gotowy.

Pracownik stacji benzynowej był kędzierzawym trzydziestolatkiem o czarnych, błyszczących oczach, dobrze zbudowanym i zwinnym. Nosił kombinezon, lecz komisarz łatwo wyobraził go sobie jako ratownika na plaży w Rimini, który podrywa niemieckie turystki.

– Twierdzi pan, że ta kobieta przyjechała z Montelusy i że była godzina ósma, czy tak?

– Daję głowę. Widzi pan, właśnie zamykałem, bo skończył się dyżur, ale ona opuściła szybę i spytała, czy mogę jej nalać do pełna. „Jeżeli pani sobie tylko tego życzy, to dla pani mogę pracować nawet przez całą noc”, odpowiedziałem. Wysiadła. Matko przenajświętsza, ale była piękna!

- Czy pamięta pan, co miała na sobie?
- Cała była w dzinsie.
- Miała jakiś bagaż?
- Jedyne, co widziałem, to coś w rodzaju worka. Leżał na tylnym siedzeniu.
- Proszę mówić dalej.

– Skończyłem nalewać, powiedziałem jej, ile ma zapłacić, więc zapłaciła kartą na sto tysięcy, którą wyjęła z worka. Kiedy wydawałem jej resztę... wie pan, lubię sobie poartować z kobietami, więc zapytałem: „Czy jest jeszcze coś szczególnego, co mogę dla pani zrobić?” Myślałem, że mnie opierdzieli,

ale ona tylko się uśmiechnęła i powiedziała: „Do czegoś szczególnego kogoś już mam”. I pojechała.

– Nie wróciła w kierunku Montelusy, jest pan pewny?

– Jak najbardziej. Rany, jak pomyślę, co ją spotkało!...

– Dziękuję panu.

– Aha, jeszcze jedno, komisarzu. Spieszyła się. Kiedy zatankowała, ruszyła na pełnym gazie. Widzi pan? Tu jest odcinek prościutkiej drogi, więc można przycisnąć. Patrzyłem za nią, aż zniknęła za tamtym zakrętem. Pędziła na złamanie karku.

– Miałem być jutro – powiedział Gillo Jacono – ale wróciłem wcześniej, więc uważałem za swój obowiązek zjawić się natychmiast.

Był eleganckim trzydziestolatkiem o miłym wyrazie twarzy.

– Dziękuję panu.

– Chciałem powiedzieć, że kiedy myśli się o takim zdarzeniu, to ciągle coś przychodzi do głowy.

– Czy chce pan skorygować to, co powiedział mi pan przez telefon?

– Absolutnie nie. Ale za któryś tam razem, kiedy myślałem o tym, co wtedy zobaczyłem, przypomniał mi się jeszcze jeden szczegół. Z tym że do tego, co panu zaraz powiem, musi pan dorzucić „być może”, tak dla ostrożności.

– Proszę śmiało.

– No więc ten mężczyzna trzymał walizkę w lewej ręce. Niósł ją swobodnie, dlatego miałem wrażenie, że jest pusta. Na jego prawym ramieniu wspierała się ta kobieta.

– Trzymała go pod rękę?

– Nie, raczej opierała dłoń na jego ramieniu. Wydało mi się, że ona lekko

kuleje.

– Doktor Pasquano? Mówi Montalbano. Czy przeszkadzam?

– Właśnie przeprowadzałem na nieboszczyku cięcie w kształcie litery „Y”. Nie sędzę, by miał mi za złe, jeśli przerwę to zajęcie na kilka minut.

– Czy stwierdził pan na ciele pani Licalzi jakieś ślady, które mogłyby świadczyć, że jeszcze przed śmiercią upadła czy coś takiego?

– Nie pamiętam. Zajrzę do raportu.

Wrócił, zanim komisarz zdążył zapalić papierosa.

– Tak, upadła na kolana. Na otarciu, które miała na lewym kolanie, były mikroskopijne włókienka jej dzinsów.

Nie potrzebował już innych potwierdzeń. O ósmej wieczorem Michela Licalzi zatankowała do pełna i skierowała się w głąb wyspy. Trzy i pół godziny później wróciła z jakimś mężczyzną. Po północy widziano, jak wciąż w towarzystwie mężczyzny, zapewne tego samego, szła do swojej willi w Vigacie.

– Cześć, Anno. Mówi Salvo. Dziś po południu byłem u ciebie, ale cię nie zastałem.

– Zadzwoił inżynier Di Blasi. Jego żona źle się poczuła.

– Mam nadzieję, że niedługo będę miał dla nich dobre wiadomości.

Anna nic nie odpowiedziała. Zrozumiał, że palnął głupstwo. Jediną wiadomością, którą państwo Di Blasi mogliby uznać za dobrą, byłoby zmartwychwstanie Maurizia.

– Anno, chciałbym powiedzieć ci coś, czego dowiedziałem się o Micheli.

– Przyjedź.

Nie, nie powinien. Czuł, że jeśli Anna jeszcze raz pocałuje go w usta, cała

sprawa potoczy się źle.

– Nie mogę, Anno. Jestem zajęty.

Dobrze, że rozmawiał z nią przez telefon. Gdyby go widziała, od razu by zrozumiała, że kłamie.

– A więc mów.

– Ustaliłem, z niewielkim prawdopodobieństwem pomyłki, że Michela o ósmej wieczorem w środę jechała drogą Enna-Palermo. Być może była w którejś miejscowości na peryferiach Montelusy. Zastanów się, zanim odpowiesz: czy przypuszczasz, że miała inne znajomości oprócz tych, które zawarła w Montelusie i Vigacie?

Odpowiedź nie padła od razu. Zgodnie z życzeniem komisarza Anna starała się zebrać myśli.

– Przyjaciół wykluczam. Powiedziałyby mi o nich. Znajomości, owszem, kilka.

– Gdzie?

– Na przykład w Aragonie i w Comitini, które są po drodze.

– Jakie to znajomości?

– Kafelki kupiła w Aragonie. W Comitini też się w coś zaopatrywała, ale nie pamiętam w co.

– A więc interesy?

– Chyba tak. Ale, widzisz, Salvo, od tej drogi można odbić dokądkolwiek. Jest rozjazd, który prowadzi do Raffadali: z tej okoliczności szef oddziałów specjalnych na pewno wyciągnąłby wnioski.

– Inna rzecz: po dwunastej była widziana na alejce przed willą, kiedy wysiadła z samochodu. Wspierała się na ramieniu jakiegoś mężczyzny.

– To pewne?

– Pewne.

Tym razem pauza trwała długo, aż komisarz pomyślał, że coś przerwało połączenie.

– Anno, jesteś tam?

– Tak, Salvo, i chcę powtórzyć dobitnie i raz na zawsze to, co już ci mówiłam. Michela nie była specjalistką od szybkich numerków, mówiła mi, że to dla niej fizycznie niemożliwe, rozumiesz? Kochała męża. Była też bardzo przywiązana do Serravallego. Do tamtych stosunków, cokolwiek by o tym myślał lekarz sądowy, nie mogło dojść za jej przyzwoleniem. Została potwornie zgwałcona.

– Jak myślisz, dlaczego nie uprzedziła państwa Vassallo, że nie przyjdzie do nich na kolację? Przecież miała telefon komórkowy, prawda?

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Już wyjaśniam. Kiedy o wpół do ósmej Michela zegnała się z tobą, twierdząc, że jedzie do hotelu, mówiła prawdę. Ale potem zdarzyło się coś, co kazało jej zmienić zdanie. To mógł być tylko telefon, ponieważ w chwili, kiedy wjeżdżała na szosę Enna-Palermo, była sama.

– Myślisz więc, że pojechała na jakieś spotkanie?

– Nie ma innego wytłumaczenia. Nie planowała tego spotkania, ale nie potrafiła z niego zrezygnować. Oto dlaczego nie uprzedziła państwa Vassallo: nie miała wiarygodnego usprawiedliwienia swojej nieobecności, więc najlepszą rzeczą, jaką mogła zrobić, było zatarcie za sobą śladów. Przyjmijmy twoją wersję, że nie była to randka dla seksu, tylko spotkanie w interesach, które następnie zmieniło się w tragedię. Przyjmijmy ją, ale tylko na chwilę. Otóż jeśli naprawdę chodziło o interesy, to na usta samo się ciśnie pytanie: co dla Micheli było na tyle ważne, że zachowała się nie w porządku wobec państwa Vasallo i nie poszła do nich na proszoną kolację?

– Nie wiem – odpowiedziała smutno Anna.

„Co dla Micheli było na tyle ważne?” Komisarz zadał sobie raz jeszcze to samo pytanie, kiedy odłożył słuchawkę. Jeżeli nie szło tu o miłość i seks, a według Anny nie wchodziły one w rachubę, to mogło iść tylko o pieniądze. Podczas budowy willi Michela musiała obracać sporymi sumami – czy tu był pies pogrzebany? Ten wątek natychmiast wydał mu się wąły jak pajęczna nić, ale i tak miał obowiązek go sprawdzić.

– Anna? Mówi Salvo.

– Już zrobiłeś, co miałeś zrobić? Możesz przyjechać?

W głosie dziewczyny rozbrzmiewały radość i nadzieja, komisarz nie chciał, żeby pojawiło się również rozczarowanie.

– Niewykluczone, że wpadnę.

– Kiedy tylko chcesz.

– Dziękuję. Chciałem cię o coś zapytać. Może wiesz, czy Michela otworzyła rachunek oszczędnościowy w Vigacie?

– Tak, tak było jej wygodniej realizować płatności. W Banku Spółdzielczym. Ale nie wiem, ile miała na nim pieniędzy.

Było za późno, żeby jechać do banku. W szufladzie trzymał wszystkie papiery, które znalazł w hotelu „Jolly”. Otworzył ją i wybrał same faktury oraz zeszyt wydatków; kalendarz i inne karteczki zostawił w środku. Czekająca go praca długa, żmudna i na dziewięćdziesiąt procent absolutnie bezużyteczna. Na rachunkach nie znał się ani trochę.

Przejrzał dokładnie wszystkie faktury. O ile mógł to ocenić, tak na oko, nie wydawały się przesadzone. Widniejące na nich ceny zgadzały się z cenami rynkowymi, w niektórych przypadkach były chyba nawet lekko zaniżone,

Michela wyraźnie umiała się targować i oszczędzać. Nie zauważył nic ciekawego, zgodnie z przewidywaniami jego praca do niczego nie prowadziła. Dopiero po jakimś czasie zauważył niezgodność pomiędzy wartością z faktury a zapiskiem Micheli w zeszycie: faktura opiewała na sumę niższą o pięć milionów lirów. Czy to możliwe, że Michela, zawsze precyzyjna i uporządkowana, popełniła tak ewidentny błąd? Cierpliwie zaczął sumować od nowa, aż wyliczył, że różnica pomiędzy realnie wydanymi pieniędzmi a sumą zapisaną w zeszycie wynosi sto piętnaście milionów. Nie mogła się pomylić aż o tyle. Lecz jeśli to nie była pomyłka, to ta różnica nie miała żadnego sensu, ponieważ wynikało z niej, że Michela oszukiwała samą siebie. Chyba że...

– Halo, doktor Licalzi? Mówi komisarz Montalbano. Przepraszam, że męczę pana po całym dniu pracy.

– Tak, to był podły dzień.

– Chciałbym się czegoś dowiedzieć... Spytałem wprost: czy mają państwo wspólne konto?

– Czy pan, komisarzu, nie został...

– ...odsunięty od śledztwa? Tak, ale wszystko już wróciło do normy.

– Nie, nie mieliśmy wspólnego rachunku. Każde miało odrębny.

– Pańska małżonka nie miała swoich dochodów, prawda?

– Nie, nie miała. Robiliśmy w ten sposób: co pół roku przelewałem na jej konto określoną sumę. Jeśli wypadły nieprzewidziane wydatki, mówiła mi, a ja je pokrywałem.

– Rozumiem. Czy pokazywała panu faktury dotyczące budowy domu?

– Nie, tą sprawą w ogóle się nie interesowałem. Ale wiem, że zapisywała wszystkie wydatki w zeszycie. Co jakiś czas prosiła, żebym do niego zajrzał.

– Dziękuję, doktorze, i...

– Czy już pan zadbał?

O co miał zadbać? Nie wiedział, jak odpowiedzieć.

– O twingo – podsunął doktor.

– A, tak, już załatwione.

Przez telefon kłamało mu się jak z nut. Pożegnali się, wyznaczyli sobie spotkanie na piątek rano, kiedy miał się odbyć pogrzeb.

Teraz wszystko nabrało sensu. Prosząc męża o pieniądze na budowę willi, kobieta po prostu go naciągała.

Po zniszczeniu faktur (gdyby Michela żyła, na pewno by je podarła) jedynym świadectwem wydatków pozostałyby wartości zapisane w zeszycie. Pani Michela rozporządzała więc sumą stu piętnastu milionów, jak chciała.

Ale na co potrzebowała tych pieniędzy? Była szantażowana? A jeśli tak, to co miała do ukrycia?

Nazajutrz rano, kiedy już był gotów jechać do pracy, zadzwonił telefon. Przez chwilę wahał się, czy odebrać. Telefon do domu o tej porze na pewno oznaczał wezwanie do komisariatu, zawracanie dupy i ból głowy.

Ale zwyciężyła władza, jaką telefon ma nad ludźmi.

– Salvo?

Od razu rozpoznał głos Livii. Czuł, że uginają się pod nim nogi.

– Livia! Nareszcie! Gdzie jesteś?

– W Montelusie.

Co ona robiła w Montelusie? Kiedy przyjechała?

– Przyjadę po ciebie. Jesteś na dworcu?

– Nie. Zaczekaj, najpóźniej za pół godziny będę w Marinelli.

– Czekam.

Co się działo? Co się, do diabła, działo? Zadzwoił do komisariatu.

– Nie łączcie mnie z nikim, jestem w domu.

W ciągu pół godziny wypił cztery filiżanki kawy, jeszcze raz napełnił maszynkę i postawił na gazie. Wreszcie usłyszał szum nadjeżdżającego i hamującego samochodu. To musiała być taksówka, którą przyjechała Livia. Otworzył drzwi. To jednak nie taksówka – stwierdził – lecz wóz Mimi Augella. Livia wysiadła, samochód zawrócił i odjechał.

Montalbano zaczynał rozumieć.

Zaniedbana, źle uczesana, z podkrążonymi i zaczerwienionymi od płaczu oczami. Ale przede wszystkim jak to się stało, że jest taka mała i krucha? Oskubany wróbelek. Montalbano poczuł, że ogarnia go czułość, wzruszenie.

– Chodź – powiedział, biorąc ją za rękę.

Poprowadził Livię do domu, posadził w jadalni. Poczuł, że cała drży.

– Jest ci zimno?

– Tak.

Poszedł do sypialni, wziął marynarkę i okrył jej plecy.

– Chcesz kawy?

– Tak.

Podał jej wrzątek. Livia wypiała, jak gdyby to była mrożona herbata.

Siedzieli na werandzie. Livia chciała, żeby usiedli właśnie w tym miejscu. Dzień był tak pogodny, że aż wydawał się sztuczny: łagodnych fal nie burzył nawet najłżejszy powiew. Livia długo patrzyła w milczeniu na morze, następnie oparła głowę na ramieniu Salva i zaczęła bezgłośnie płakać. Łzy skapywały jej z twarzy, opadały na stół. Montalbano wziął ją za rękę, była bezwładna. Miał desperacką chęć zapalić papierosa, ale się powstrzymał.

– Byłam u Francois – powiedziała nagle Livia.

– Domyślam się.

– Nie chciałam uprzedzać Franki. Wsiadłam do samolotu, potem do taksówki i niespodziewanie zwałam im się na głowę. Kiedy Francois mnie zobaczył, rzucił mi się w ramiona. Był naprawdę szczęśliwy, że mnie widzi. A ja byłam szczęśliwa, że się do niego przytulałam, i wściekła na Francę i jej męża, a przede wszystkim na ciebie. Przekonałam się, że jest dokładnie tak, jak podejrzewałam: ty i oni umówiliście się, że mi go odbierzecie. I zaczęłam ich wyzywać, obrażać. W pewnej chwili, kiedy próbowali mnie uspokoić, zdałam sobie sprawę, że Francois nie ma już przy mnie. Pomyślałam, że go ukryli przede mną, że zamknęli go w jakimś pokoju na klucz. Zaczęłam krzyczeć. Tak głośno, że zbiegli się wszyscy: dzieci Franki, Aldo, trzech pracownicy. Pytali siebie nawzajem, ale nikt z nich nie widział Francois. Zaniepokojeni, wyszli z gospodarstwa, wołając go, a ja zostałam sama i płakałam. W pewnej chwili usłyszałam głos: „Livia, jestem tutaj”. To był on. Ukrył się gdzieś w domu, gdy tamci szukali go na zewnątrz. Sam widzisz, jaki on jest. Sprytny i niesamowicie inteligentny.

Ponownie wybuchnęła płaczem. Nazbyt długo tłumiała go w sobie.

– Odpocznij. Połóż się na chwilę. Potem opowiesz mi resztę – powiedział Montalbano, który nie mógł wytrzymać cierpienia Livii. Z trudem powstrzymywał się, żeby jej nie objąć. Czuł jednak, że byłby to fałszywy ruch.

– Ale ja wyjeżdżam – powiedziała Livia. – Mam samolot z Palermo o drugiej.

– Odwiozę cię.

– Nie, umówiłam się już z Mimi. Przyjedzie tu po mnie za godzinę.

„Kiedy tylko Mimi zjawi się w komisariacie – pomyślał komisarz – dostanie wpierdol, że aż miło”.

– To on mnie przekonał, żebym się z tobą spotkała. Chciałam wyjechać już wczoraj.

Wychodziło więc na to, że musi mu wręcz podziękować.

– Nie chciałaś się ze mną widzieć?

– Postaraj się zrozumieć, Salvo. Muszę pobyć sama ze sobą, zebrać myśli, wyciągnąć jakieś wnioski. To wszystko było potworne.

Komisarza ogarnęła ciekawość.

– A więc powiedz, co wydarzyło się potem.

– Kiedy go zobaczyłam w tym pokoju, odruchowo chciałam do niego podejść. Odsunął się ode mnie.

Montalbano przypomniał sobie scenę, którą sam przeżył przed kilkoma dniami.

– Spojrzał mi prosto w oczy i powiedział: „Kocham cię, ale nie opuszczę tego domu ani moich braci”. Skamieniałam, zmroziło mnie. A on mówił dalej: „Jeśli mnie zabierzesz, ucieknę i już mnie więcej nie zobaczysz”. I wybiegł z domu, wołając: „Jestem tutaj, jestem tutaj!” Zakręciło mi się w głowie. Ocknęłam się, leżąc na łóżku. Franca siedziała przy mnie. Mój Boże, jak okrutne potrafią być dzieci!

„A to, co myśmy chcieli mu zrobić, nie było okrutne?” – spytał sam siebie Montalbano.

– Byłam osłabiona, próbowałam się podnieść, ale znowu zemdlalam. Franca nie chciała mnie puścić, wezwała lekarza, wciąż przy mnie była. Nocowałam u nich. Ale nie spałam. Przez całą noc siedziałam na krześle przy oknie. Rano przyjechał Mimi, wezwała go siostra. Mimi był jak brat. Zadbał o to, żebym nie spotkała się już z Francois, wywiózł mnie, zwiedziliśmy razem pół Sycylii. Przekonał mnie, żebym przyjechała do ciebie choć na godzinę. „Musicie ze sobą porozmawiać, wyjaśnić to sobie”, powtarzał.

Wczoraj wieczorem dotarliśmy do Montelusy, zostawił mnie w „Albergo della Valle”. Dziś rano przyjechał po mnie i przywiózł do ciebie. Moja walizka jest w jego samochodzie.

– Myślę, że nie trzeba tu wiele wyjaśniać – powiedział Montalbano.

Wyjaśnienia byłyby możliwe tylko wtedy, gdyby Livia, rozumiejąc, jak bardzo się myliła, znalazła choć jedno słowo zrozumienia dla jego uczuć. Może myślała, że on, Salvo, nic nie czuł, widząc, że Francois jest dla nich na zawsze stracony? Livia nie umiała się jednak otworzyć, była zasklepiona w swoim bólu, widziała tylko własną, egoistyczną rozpacz. A on? Czy ich związek nie był zbudowany na miłości? Owszem, na seksie również, lecz przede wszystkim na wzajemnym zrozumieniu, które niekiedy przybierało charakter wspólnictwa. Jedno niepotrzebnie wypowiedziane słowo mogłoby w tej chwili otworzyć jątrzącą się ranę. Montalbano przełknął swój żal.

– Co masz zamiar zrobić? – spytał.

– Dla... chłopca? – Nie mogła już nawet wymawiać imienia Francois.

– Tak.

– Nie będę się sprzeciwiała.

Szybko wstała, pobiegła w kierunku morza, wydając z siebie cichy, bolesny jęk, jak śmiertelnie zranione zwierzę. W końcu nie dała rady, upadła twarzą na piasek. Montalbano wziął ją na ręce, zaniósł do domu, położył na łóżku i wilgotnym ręcznikiem, delikatnie, otarł piasek z jej twarzy.

Kiedy usłyszał klakson, pomógł Livii wstać, poprawił na niej ubranie. Poddawała się wszystkiemu, była zupełnie bierna. Objął ją w talii, wyprowadził na zewnątrz. Mimi wysiadł z samochodu; wiedział, że gdyby zbyt blisko podszedł do przełożonego, ten mógłby go co najmniej ugryźć. Cały czas patrzył nieruchomo przed siebie, unikając wzroku komisarza.

Zanim Livia wsiadła do samochodu, lekko odwróciła głowę i pocałowała Montalbana w policzek. Komisarz wszedł do domu, potem wprost do łazienki, stanął w ubraniu pod prysznicem i z całą mocą przekręcił kran. Następnie połknął dwa proszki nasenne, których nie brał nigdy, popił je szklanką whisky i rzucił się na łóżko, oczekując, że nieuchronny cios pograży go we śnie.

Obudził się o piątej po południu, trochę bolała go głowa i miał zgagę.

– Czy jest Augello? – spytał, wchodząc do komisariatu.

Mimi wszedł do gabinetu i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Wyglądało na to, że Montalbano już pogodził się z losem.

– Ale jeśli swoim zwyczajem masz mnie opieprzać na całe gardło – powiedział Mimi – to może lepiej, żebyśmy wyszli z komisariatu.

Komisarz wstał z fotela, podszedł do niego, stanął z nim twarzą w twarz, położył mu dłoń na karku.

– Jesteś prawdziwym przyjacielem, Mimi. Ale radzę ci wyjść natychmiast z tego pokoju. Czuję, że zaraz dam ci w łeb.

– Komisarz? Dzwoni pani Clementina Vasile Cozzo. Mam łączyć?

– Kto mówi?

To nie mógł być Catarella.

– Jak to kto mówi? Ja.

– Ale jak ty się, kurwa, nazywasz?

– Catarella, komisarzu! Osobiście we własnej osobie!

Ufff! Błyskawiczne poszukiwanie tożsamości przywróciło do życia dawnego Catarellę, tłumiąc tamtego drugiego, w którego nieuchronnie zmieniały go komputery.

- Komisarzu! Co się dzieje? Całkiem zniknął pan z oczu.
- Proszę mi wierzyć, to były dni...
- Wybaczone. Czy mógłby pan do mnie przyjechać? Chcę coś panu pokazać
- Teraz?
- Teraz.

Pani Clementina wprowadziła go do jadalni, wyłączyła telewizor.

– Proszę spojrzeć. To program jutrzejszego koncertu, który maestro Cataldo Barbera przesłał mi przed chwilą.

Montalbano wziął wyrwaną z zeszytu kartkę, którą podała mu pani Vasile Cozzo. Czy po to chciała się z nim widzieć?

Na kartce było zapisane ołówkiem: „Piątek, godzina dziewięta trzydzieści. Koncert ku czci Micheli Licalzi”.

Montalbano wzdrygnął się. Czyżby maestro znał Michelę?

– To dlatego prosiłam, żeby pan przyszedł – powiedziała pani Vasile Cozzo, wycytując pytanie z jego oczu.

Komisarz znów spojrzał na kartkę. „W programie: G. Tartini, *Wariacje na temat Corellego*; J.S. Bach, *Largo*; GB. Viotti, fragment koncertu”.

Oddał kartkę.

- Czy pani wiedziała, że oni się znali?
- Nie miałam pojęcia. I zadaję sobie pytanie, jak to możliwe, skoro maestro nigdy nie wychodzi z domu. Kiedy tylko przeczytałam program, pomyślałam, że ta sprawa może pana zainteresować.
- Pójdę do niego i z nim porozmawiam.
- Tylko straci pan czas, nie przyjmie pana. Osiemnasta trzydzieści, o tej

porze jest już w łóżku.

– Co robi? Ogląda telewizję?

– Nie ma telewizora i nie czyta gazet. Zasypia i budzi się około drugiej w nocy. Pytałam pokojówki, czy wie, dlaczego maestro funkcjonuje o tak dziwnych porach, ale odpowiedziała, że nic z tego nie rozumie. Sama jednak zastanawiałam się nad tym i mam pewną hipotezę.

– Jaką?

– Myślę, że maestro przekreśla w ten sposób konkretne pory, anuluje, przesypia godziny, o których zazwyczaj dawał koncerty. Śpiąc, nie rozpamiętuje.

– Rozumiem. Ale nie mogę się powstrzymać, muszę z nim porozmawiać.

– Może pan spróbować jutro rano, po koncercie.

Piętro wyżej trzasnęły drzwi.

– Słyszał pan? – spytała pani Vasile Cozzo. – Właśnie wyszła jego gospodyni.

Komisarz ruszył do drzwi wyjściowych.

– Komisarzu, proszę pamiętać, że to nie tyle gospodyni, ile ktoś w rodzaju administratorki – uściśliła pani Clementina.

Montalbano otworzył drzwi. Elegancko ubrana, mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta, schodząc z wyższego piętra, ukłoniła mu się skinieniem głowy.

– Proszę pani, jestem komisarzem...

– Znam pana.

– Idzie pani do domu, więc nie chcę pani narażać na stratę czasu. Czy maestro i pani Licalzi się znali?

– Tak. Od jakichś dwóch miesięcy. Pani Licalzi chciała poznać maestra.

On był z tego bardzo zadowolony, lubi piękne kobiety. Okazało się, że mają sobie dużo do powiedzenia. Podałam im kawę, wypili, potem zamknęli się w gabinecie, z którego nie dochodzi żaden głos.

– Dźwiękoszczelnym?

– Tak. Dzięki temu maestro nie przeszkadza sąsiadom.

– Czy kobieta przychodziła jeszcze potem do niego?

– Jeżeli nawet, to nie podczas mojej obecności.

– A kiedy pani bywa obecna?

– Nie widzi pan? Wychodzę wieczorem.

– Proszę zaspokoić moją ciekawość. Skoro maestro nie ma telewizora i nie czyta gazet, to skąd się dowiedział o zabójstwie?

– Ja mu powiedziałam, mimochodem, dziś po obiedzie. Po drodze widziałam klepsydrę z godziną jutrzejszego pogrzebu.

– I jak zareagował maestro?

– Bardzo źle. Poprosił o pastylki na serce, był blady jak ściana. Naprawdę się przestraszyłam! Czy coś jeszcze?

16

Rano Montalbano pojawił się w komisariacie w ciemnoszarym garniturze, białoniebieskiej koszuli, miał krawat w zgaszonych kolorach i czarne buty.

– Jak z żurnala – ocenił Mimi Augello.

Komisarz nie mógł powiedzieć, że ubrał się tak na recital skrzypcowy, który miał się rozpocząć o dziewiątej trzydzieści, bo Mimi uznały go za niespełna rozumu. I słusznie, bo cała ta sprawa wyglądała na epizod z domu wariatów.

– Wiesz przecież, muszę iść na pogrzeb – wybąkał.

Wszedł do gabinetu, usłyszał telefon.

– Salvo? Mówi Anna. Przed chwilą zadzwonił do mnie Guido Serravalle.

– Z Bolonii?

– Nie, z Montelusy. Powiedział, że mój numer dała mu kiedyś Michela. Wiedział, że się przyjaźniłyśmy. Przyjechał na pogrzeb, zatrzymał się w „Albergo della Valle”. Spytał, czy pójdziemy potem na obiad. Wyjeżdża po południu. Co mam robić?

– W jakim sensie?

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że będę się czuła nieswojo.

– A niby dlaczego?

– Pan komisarz? Mówi Emanuele Licalzi. Czy będzie pan na nabożeństwie żałobnym?

– Tak. O której się rozpoczyna?

– O jedenastej. Potem, prosto z kościoła, samochód z trumną odjedzie do

Bolonii. Czy ma pan jakieś nowości?

– Nic ważnego, na razie. Czy zatrzyma się pan w Montelusie?

– Do jutra rana. Jestem umówiony z agencją nieruchomości w sprawie sprzedaży willi. Mam pojechać tam po południu z ich agentem, chce ją zobaczyć. Aha, wczoraj wieczorem, w samolocie, widziałem Guida Serravalle, przyleciał na pogrzeb.

– Musiało to być krępujące – wymknęło się komisarzowi.

– Tak pan uważa?

Doktor Emanuele Licalzi opuścił przyłbicę.

– Proszę się pospieszyć, właśnie zaczyna – powiedziała pani Clementina, prowadząc go do pokoiku przy salonie. Usiedli w skupieniu. Pani Vasile Cozzo założyła z tej okazji długą suknię. Wyglądała jak dama Boldiniego, tyle że starsza. Dokładnie o dziewiętej trzydzięci maestro Barbera rozpoczął koncert. I po niespełna pięciu minutach komisarz poczuł coś, co go dziwnie poruszyło. Miał wrażenie, że w pewnej chwili dźwięk skrzypiec stał się głosem, głosem kobiety, która prosi, żeby ktoś ją wysłuchał i zrozumiał. Powoli, lecz nieuchronnie, nuty zmieniały się w sylaby, a raczej w głoski, i wyrażały lament, składając się na bolesną pieśń o antycznym wręcz dostojństwie, która chwilami dotykała zenitu palącego, tajemniczego tragizmu. Ten poruszający głos kobiety mówił, że istnieje jakiś potworny sekret, który może zostać zrozumiany tylko przez kogoś, kto potrafi całkowicie poddać się dźwiękowi, jego fali. Zamknął oczy, głęboko wstrząśnięty i wzruszony. Ale w duszy odczuwał również zdziwienie: jak to się stało, że skrzypce tak bardzo zmieniły brzmienie od ostatniego razu, kiedy je słyszał? Nie otwierając oczu, poddał się temu głosowi. I zobaczył siebie samego, jak wchodzi do willi, jak przemierza salon, otwiera kredens, bierze do ręki futerał ze skrzypcami... Oto co go dręczyło, szczególnie, który nie

pasował do reszty! Świetlista eksplozja, do której doszło w jego głowie, wydobyła z niego jęk.

– Wzruszyło to również pana? – spytała pani Clementina, ocierając łzę. – Jeszcze nigdy tak nie grał.

Koncert musiał zakończyć się właśnie w tej chwili, bo kobieta włączyła telefon, który poprzednio odłączyła od gniazdka, wybrała numer i zaczęła bić brawo.

Tym razem komisarz, zamiast się do niej przyłączyć, wziął słuchawkę do ręki.

– Maestro? Mówi komisarz Montalbano. Koniecznie muszę z panem porozmawiać.

– Ja z panem też.

Montalbano odłożył słuchawkę, potem impulsywnie objął panią Clementinę, pocałował ją w czoło i wyszedł.

Drzwi otworzyła gospodyni-administratorka.

– Napije się pan kawy?

– Nie, dziękuję.

Cataldo Barbera wyszedł mu naprzeciw z wyciągniętą ręką.

O tym, jak będzie ubrany, komisarz myślał, wchodząc po schodach. Zgadł bez pudła: maestro, który był mężczyzną drobnej budowy, o białych włosach, czarnych, małych oczach o bardzo intensywnym spojrzeniu, miał na sobie świetnie skrojony frak.

Jedyną rzeczą, która nie pasowała do reszty, był biały jedwabny szalik, owinięty wokół dolnej części twarzy. Okrywał nos, usta i brodę, odsłaniając jedynie oczy i czoło. Był spięty złotą szpilką.

– Proszę się rozgościć – powiedział uprzejmie Barbera, prowadząc

komisarza do dźwiękoszczelnego gabinetu.

W środku stał kredens z pięciorgiem skrzypiec, skomplikowany zestaw stereo, regały biurowe ze stłoczonymi płytami CD, płytami winylowymi i taśmami, a także biblioteka, biurko i dwa fotele. Na biurku leżały jeszcze jedne skrzypce, widocznie te, na których maestro dopiero co skończył grać.

– Dziś grałem na skrzypcach Guarnieriego – potwierdził przypuszczenia komisarza maestro, wskazując je palcem. – Mają niezrównane brzmienie, niebiańskie.

Montalbano był z siebie zadowolony: choć nie znał się na muzyce, wyczuł, że brzmienie skrzypiec różniło się od tego, które słyszał na poprzednim koncercie.

– Trzymać w rękach podobny skarb to dla skrzypka, proszę mi wierzyć, prawdziwy cud.

Westchnął.

– Niestety, będę je musiał zwrócić.

– Nie należą do pana?

– Bardzo bym pragnął, ale niestety nie! Tyle że nie wiem, komu mam je zwrócić. Miałem dzisiaj zadzwonić do kogoś z komisariatu, żeby wyłożyć problem. Ale skoro pan tu jest...

– Do pańskiej dyspozycji.

– Widzi pan, te skrzypce należały do biednej pani Licalzi.

Komisarz czuł, że ma nerwy naciągnięte jak struny; gdyby maestro musnął go smyczkiem, na pewno wydałby dźwięk.

– Mniej więcej dwa miesiące temu – zaczął maestro Barbera – ćwiczyłem przy otwartym oknie. Usłyszała mnie pani Licalzi, która właśnie wtedy przechodziła. Wie pan, że ona się znała na muzyce? Przeczytała moje nazwisko na domofonie i postanowiła się ze mną spotkać. Była na moim

ostatnim koncercie w Mediolanie; potem miałem się wycofać, ale wtedy nikt jeszcze o tym nie wiedział.

– Dlaczego?

Pytanie zadane tak wprost zaskoczyło maestra. Wahał się tylko przez chwilę, następnie wyjął szpilkę i powoli rozluźnił szalik. Potwór. Nie miał połowy nosa, a górna warga, zupełnie zżarta, odsłaniała dziąsło.

– Czyż nie jest to wystarczający powód?

Okręcił się znowu szalikiem, wpiął szpilkę.

– Toczył. Bardzo rzadki, nieuleczalny przypadek o postępującym działaniu. Jak mógłbym się pokazać publiczności?

Komisarz był mu wdzięczny za to, że natychmiast owinał się szalikiem. Nie można było na to patrzeć, widok był przerażający i robiło się od niego niedobrze.

– A zatem to piękne i uprzejme stworzenie w trakcie rozmowy wspomniało, że posiada skrzypce po pradziadku, lutniku z Cremony. Dodała, że kiedy była małą dziewczynką, mówiło się w rodzinie, że ten instrument jest wart fortunę, ale ona nie przykładła do tego wagi. W wielu rodzinach istnieją takie legendy o cennym obrazie czy statuetce, która jest rzekomo warta miliony. Jednak jakoś dziwnie mnie to zainteresowało. Kilka dni później zadzwoniła do mnie, przyjechała samochodem i zawiozła do willi, którą dopiero co postawiła. Kiedy tylko zobaczyłem instrument, proszę mi wierzyć, poczułem, że coś we mnie wybucha, jak gdyby poraził mnie prąd. Były dość zniszczone, ale wystarczyłoby niewiele pracy, żeby je przywrócić do doskonałej formy. To był Andrea Guarnieri, komisarzu, rozpoznawalny po bursztynowym lakierze o nadzwyczaj promiennej mocy.

Komisarz popatrzył na skrzypce. Szczerze mówiąc, nie widział w nich niczego promiennego. Ale on przecież na muzyce się nie znał.

– Spróbowałem – powiedział maestro – i przez dziesięć minut grałem wniebowzięty razem z Paganinim, z Ole Bullem...

– Jaką mają cenę na rynku? – spytał komisarz, który w odróżnieniu od rozmówcy zazwyczaj fruwał przy ziemi.

– Cenę?! Na rynku?! – powtórzył ze zgrozą maestro. – Taki instrument nie ma ceny!

– No dobrze, ale gdybyśmy jednak chcieli przeliczyć...

– Czy ja wiem?... Dwa, trzy miliardy.

Czy dobrze usłyszał? Tak, dobrze.

– Uzmysłowiłem pani Licalzi, że nie może ryzykować, pozostawiając instrument takiej wartości w niezamieszkanym praktycznie willi. Zaczęliśmy się zastanawiać nad rozwiązaniem, również dlatego, że chciałem uzyskać fachowe potwierdzenie moich podejrzeń, że był to Andrea Guarnieri. Zaproponowała, żebym je wziął do domu. Wolałem nie brać na siebie takiej odpowiedzialności, ale umiała mnie przekonać, nie chciała nawet poświadczenia. Odwiozła mnie z powrotem, a ja dałem jej w zamian moje skrzypce, które miała włożyć do futerału od guarnieriego. Gdyby je ukradli, niewielka strata: są warte kilkaset tysięcy lirów. Nazajutrz rano zadzwoniłem do Mediolanu, do mojego przyjaciela, który w dziedzinie skrzypiec jest absolutnie najwybitniejszym ekspertem. Jego sekretarka powiedziała mi, że jeździ po świecie i nie wróci przed końcem miesiąca.

– Przepraszam – przerwał mu komisarz. – Niedługo wrócę.

Wybiegł, pędem dotarł do komisariatu.

– Fazio!

– Na rozkaz!

Nabazgrał coś na kartce, podpisał, dla uwiarygodnienia przystawił pieczęć komisariatu.

– Chodź ze mną.

Wsiadł do swojego samochodu, zatrzymał niedaleko kościoła.

– Wręcz tę kartkę doktorowi Licalzi. Musi ci dać klucze do willi. Ja nie mogę tam iść; jeśli wejdem do kościoła i ludzie zobaczą, że rozmawiam z doktorem, domysłem nie będzie końca.

Po pięciu minutach jechali do dzielnicy Tre Fontane. Wysiedli, Montalbano otworzył drzwi. W środku unosił się mocny, dławiący zapach, wywołany nie tylko tym, że okna były zamknięte. Spraye sądówki również robiły swoje.

W towarzystwie Fazio, który nie zadawał żadnych pytań, otworzył kredens, wziął futerał ze skrzypcami, wyszedł, zamknął drzwi.

– Zaczekaj, chcę coś zobaczyć.

Skręcił za róg domu i poszedł na zaplecze, gdzie nigdy wcześniej nie zaglądał. Ujrzał tam jakby szkic do tego, co w przyszłości miało się stać rozległym ogrodem. Po prawej stronie, tuż przy domu, rosło duże drzewo morwowe, usiane małymi jaskrawoczerwonymi owocami o kwaśnawym smaku, które Montalbano jadł w dzieciństwie pełnymi garściami.

– Wejdz na najwyższą gałąź.

– Kto? Ja?

– Nie, twój brat bliźniak.

Fazio niechętnie się ruszył. Miał już swoje lata, bał się, że spadnie i skręci sobie kark.

– I czekaj tam na mnie.

– Pewnie, przecież jako chłopiec uwielbiałem Tarzana.

Montalbano wszedł na piętro i włączył światło w sypialni. Tutaj zapach aż dusił w gardle. Podniósł rolety, nie otwierając okien.

– Widzisz mnie?!– spytał głośno Fazia.

– Tak, świetnie.

Wyszedł z willi, zamknął drzwi, ruszył do samochodu.

Fazia nie było, został na drzewie, czekał, aż komisarz powie mu, co ma robić.

Kiedy wysadził Fazia przed kościołem i polecił mu zwrócić klucze doktorowi Licalzi („powiedz mu, że może będą nam jeszcze potrzebne”), ruszył w stronę domu maestra Catalda Barbery. Wbiegał po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Maestro otworzył. Był już bez fraka, miał na sobie spodnie i golf; biały szalik ze szpilką był ten sam co przedtem.

– Proszę wejść – powiedział Barbera.

– Nie ma potrzeby, maestro. Tylko kilka chwil. Czy to jest ten sam futerał, w którym były skrzypce Guarnieriego?

Maestro wziął go do ręki, przyjrzał mu się uważnie i oddał.

– Wydaje mi się, że tak.

Montalbano otworzył futerał i nie wyjmując z niego skrzypiec, zapytał:

– Czy to właśnie ten instrument pan dał pani Licalzi?

Maestro cofnął się o dwa kroki, z wyciągniętą ręką, jak gdyby chciał odsunąć od siebie jakiś koszmar.

– Ależ czegoś takiego nie dotknąłbym nawet jednym palcem! Coś podobnego! To produkcja seryjna! Obraza dla prawdziwych skrzypiec!

A więc miał potwierdzenie tego, co odkrył przed nim głos skrzypiec. Ba, wręcz wyciągnął na powierzchnię! Ponieważ nieświadomie zarejestrował to od razu: różnicę pomiędzy zawartością a futerałem. Była oczywista nawet dla niego, który na skrzypcach się nie znał. A tak dla ścisłości, to nie znał się na żadnym instrumencie.

– Nawiasem mówiąc – podjął Cataldo Barbera – te, które dałem pani Licalzi, były skromniutkiej wartości, ale bardzo przypominały guarnieriego.

– Dziękuję, do widzenia.

Zaczął schodzić.

– A co ja zrobię z guarnierim? – spytał zdziwiony maestro. Nic z tego nie rozumiał.

– Proszę na razie trzymać te skrzypce u siebie. I grać na nich tak często, jak pan tylko może.

Wkładano trumnę do karawanu, przed bramą kościoła leżało mnóstwo wieńców. Emanuele Licalzi stał w otoczeniu ludzi, którzy składali mu kondolencje. Wydawał się niezwykle poruszony.

Montalbano podszedł do niego i odciągnął go na bok.

– Nie spodziewałem się tylu osób – powiedział doktor.

– Pańska żona była bardzo lubiana. Czy otrzymał pan klucze? Chyba znów muszę o nie poprosić.

– Będą mi potrzebne od szesnastej do siedemnastej. Muszę pokazać dom agencji nieruchomości.

– Będę to miał na uwadze. Proszę posłuchać. Kiedy pan wróci do willi, zauważy pan pewnie, że w kredensie nie ma skrzypiec. Wziąłem je, zwrócę panu wieczorem.

Doktor był zaskoczony.

– Czy ma to coś wspólnego ze sprawą? To rzecz bez żadnej wartości.

– Musimy zdjąć z nich odciski – skłamał Montalbano.

– Skoro tak, to proszę pamiętać, że trzymałem je w rękach, bo chciałem je panu pokazać.

– Pamiętam doskonale. Aha, doktorze, zwykła i prosta ciekawość: o której

godzinie wyleciał pan wczoraj z Bolonii?

– Jest taki samolot, który wylatuje o osiemnastej trzydzieści, potem trzeba się przesiąść w Rzymie i o dwudziestej drugiej jest się w Palermo.

– Dziękuję.

– Komisarzu, przepraszam, proszę pamiętać o twingo.

Do diabła z tym samochodem!

Wśród rozchodzących się ludzi zobaczył Annę Tropeano, która rozmawiała z wysokim, bardzo dystyngowanym czterdziestolatkiem. Musiał to być Guido Serravalle. Zauważył też Giallombarda, zawołał go.

– Dokąd idziesz?

– Do domu na obiad, komisarzu.

– Przykro mi, ale nie pójdziesz.

– Jezu, właśnie dzisiaj, kiedy żona sama zagniotła makaron!

– Zjesz sobie wieczorem. Czy widzisz tych dwoje? Tę ciemnowłosą panią i tego mężczyznę, którzy tam rozmawiają?

– Tak.

– Nie możesz go tracić z oczu. Zaraz będę w komisariacie, informuj mnie co godzinę. Co robi, dokąd idzie.

– Dobrze – powiedział Giallombardo z rezygnacją.

Montalbano zostawił go i podszedł do Anny. Nie widziała, jak się zbliża. Rozpromieniła się, kiedy przy nich stanął. Obecność Serravallego ewidentnie sprawiała jej przykrość.

– Jak się masz, Salvo?

Przedstawiła ich sobie nawzajem.

– Komisarz Salvo Montalbano, pan Guido Serravalle.

Montalbano podjął aktorskie zadanie.

– Przecież znamy się przez telefon!

– Tak, oddałem się do pańskiej dyspozycji.

– Pamiętam doskonale. Przyjechał pan na pogrzeb?

– Nie mogło mnie tutaj nie być.

– Rozumiem. Czy wyjeżdża pan dzisiaj?

– Tak, opuszczam hotel około szóstej. Mam samolot z Punta Raisi o dwudziestej.

– Dobrze, dobrze – powiedział Montalbano. Wydawał się szczęśliwy, że wszystkim wszystko idzie jak najlepiej i że mogą liczyć nawet na sprawność linii lotniczych.

– Wiesz – powiedziała Anna, przybierając pozę światową i luźną – pan Serravalle zapraszał mnie właśnie na obiad. Pójdiesz z nami?

– Byłbym szczęśliwy – podjął Serravalle, dzielnie przyjmując cios.

Twarz komisarza natychmiast zasnęła nieskrywana, głęboka przykrość.

– Ach, gdybym tak wcześniej wiedział! Niestety, jestem już zajęty.

Wyciągnął rękę do Serravallego.

– Bardzo miło było mi pana poznać. Choć okoliczności właściwie nie pozwalają tak mówić.

Przestraszył się, że przesadził, robiąc z siebie idealnego kretyna. Za bardzo poddał się roli. I rzeczywiście, Anna patrzyła na niego oczami, w których rysowały się dwa znaki zapytania.

– Usłyszemy się, Anno, prawda?

W drzwiach komisariatu wpadł na Mimi, który właśnie wychodził.

– Dokąd idziesz?

- Jeść.
- Co wy, kurwa, wszyscy myślicie tylko o jednym?!
- Przecież jest pora obiadowa, więc niby o czym mielibyśmy myśleć?
- Kogo mamy w Bolonii?
- Jako burmistrza? – spytał zaskoczony Augello.
- Pierdołę burmistrza Bolonii! Czy mamy w tamtejszej kwesturze przyjaciela, który mógłby nam udzielić informacji w ciągu godziny?
- Zaczekaj... Guggino, pamiętasz go?
- Filiberto?
- Tak, on. Przenieśli go tam w zeszłym miesiącu. Jest szefem wydziału do spraw cudzoziemców.
- Idź i zjedz sobie swoje spaghetti z małżami i posyp je parmezanem – powiedział za całe podziękowanie Montalbano, patrząc na niego z pogardą. Bo niby jak miał patrzeć na kogoś, kto posypuje małże parmezanem?

Była dwunasta trzydzieści pięć. Miał nadzieję, że Filiberto jest jeszcze w pracy.

– Halo? Mówi komisarz Salvo Montalbano. Dzwonię z Vigaty, chciałbym rozmawiać z komisarzem Filibertem Guggino.

– Proszę chwilę poczekać.

Po serii klikań i buczeń usłyszał wesoły głos.

– Salvo! A to niespodzianka! Jak się masz?

– Dobrze, Filiberto. Dzwonię, bo mam bardzo pilny interes. Musisz zdobyć dla mnie trochę informacji najwyżej w godzinę, półtorej. Szukam ekonomicznych motywów zabójstwa.

– Nie dajesz mi zbyt wiele czasu.

– Musisz się dowiedzieć jak najwięcej o człowieku, który być może należy do kręgu ofiar lichwiarzy... no, nie wiem, handlowiec, taki, który dużo gra...

– To wszystko bardzo utrudnia poszukiwania. Mogę ci powiedzieć, kto jest lichwiarzem, a nie kogo zrujnowali.

– Spróbuj. Podam ci imię i nazwisko.

– Komisarz? Mówi Giallombardo. Jedzą obiad w dzielnicy Capo, w tej restauracji nad morzem, wie pan której?

Niestety, wiedział. Trafił tam raz przez przypadek i już nie mógł o niej zapomnieć.

– Mają dwa samochody? Każde jest własnym?

– Nie, samochód prowadzi on i dlatego...

– Nie trać go z oczu ani na chwilę. Na pewno odwiezie tę panią do domu, a potem wróci do „Albergo della Valle”. Informuj mnie bez przerwy.

„Tak” i „nie” – odpowiedzieli mu w końcu w firmie, która wynajmowała samochody na Punta Raisi, choć przedtem przez pół godziny robili problemy i nie chcieli udzielić żadnej informacji, aż musiał poprosić o interwencję szefa komisariatu na lotnisku. Tak – wczoraj wieczorem, w czwartek, ten mężczyzna wynajął samochód, którym zresztą wciąż jeździ. Nie – w ubiegłym tygodniu, w środę wieczorem, ten sam mężczyzna nie wynajmował żadnego samochodu, tak wynikało z danych w komputerze.

Odpowiedź od Guggina otrzymał na kilka minut przed trzecią. Długą i skomplikowaną. Wszystko pilnie zapisał. Po pięciu minutach odezwał się Giallombardo, poinformował, że Serravalle wrócił do hotelu.

– Nie ruszaj się stamtąd – rozkazał komisarz. – Jeśli wyjdzie, zanim ja się tam zjawię, zatrzymaj go pod byle pretekstem. Zrób przed nim striptiz, wykonaj taniec brzucha, ale nie pozwól mu odjechać.

Szybko przejrzał papiery Micheli. Pamiętał, że widział wśród nich kartę pokładową. Znalazł – ostatni lot pani Licalzi z Bolonii do Palermo. Włożył do kieszeni, zawołał Galla.

– Zawieź mnie do „Albergo della Valle”.

Hotel znajdował się w połowie drogi między Vigatą a Montelusą. Został wzniesiony obok jednej z najpiękniejszych świątyń na świecie, na wprost rozmaitych urzędów, sprawujących funkcję gospodarza malowniczej okolicy.

– Czekaj na mnie – powiedział komisarz do Galla.

Podszedł do swojego samochodu. W środku drzemał Giallombardo.

– To był sen tylko na jedno oko, drugie wciąż miałem szeroko otwarte! – zapewnił komisarza.

Montalbano wyjął z bagażnika futerał z bezwartościowymi skrzypcami.

– Wracaj do komisariatu – rozkazał Giallombardowi.

Wszedł do hotelu. Idąc przez hall, wyglądał jak najbardziej stereotypowe wyobrażenie pierwszego skrzypka.

– Czy jest pan Serravalle?

– Tak, jest u siebie w pokoju. Kogo mam zapowiedzieć?

– Masz siedzieć cicho, masz milczeć. Nazywam się Montalbano, jestem komisarzem. I jeśli ośmielisz się podnieść słuchawkę, pošlę cię do pierdła, a potem zobaczymy, co dalej.

– Czwarte piętro, pokój czterysta szesnaście – powiedział portier drżącymi wargami.

– Czy ktoś do niego dzwonił?

– Kiedy wrócił, przekazałem mu informacje o telefonach, trzech albo czterech.

– Chcę rozmawiać z telefonistką.

Telefonistka, którą komisarz, nie wiadomo dlaczego, wyobraził sobie jako młodą i ładną dziewczynę, okazała się łysym sześćdziesięcioletkiem w okularach.

– Portier już mi powiedział, o co chodzi. Od południa zaczął dzwonić niejaki Eolo z Bolonii. Nie podał nazwiska. Dokładnie dziesięć minut temu zadzwonił ponownie, połączyłem go z pokojem czterysta szesnaście.

W windzie Montalbano wyciągnął z kieszeni kartkę z nazwiskami wszystkich, którzy w ubiegłym tygodniu, w środę wieczorem, wynajęli samochód na lotnisku Punta Raisi. Zgoda, nie było wśród nich Guida Serravalle, ale Eolo Portinari owszem. A od Guggina wiedział, że jest on bliskim przyjacielem antykwariusza.

Zastukał delikatnie i przypomniał sobie, że pistolet został w schowku w tablicy rozdzielczej.

– Proszę wejść, drzwi są otwarte.

Antykwariusz leżał wyciągnięty na łóżku, z dłońmi splecionymi na karku. Zdjął tylko buty i marynarkę, na szyi wciąż miał krawat. Zobaczył komisarza

i skoczył na równe nogi jak te zabawki na sprężynach, co to wyskakują z pudełka, kiedy tylko podniesie się przykrywkę.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – powiedział Montalbano.

– Ależ jakżebym mógł, panie komisarzu! – powiedział Serravalle, szybko wkładając buty. Włożył również marynarkę.

Montalbano usiadł na krześle, futerał trzymał na kolanach.

– Słucham, czemu zawdzięczam pańską wizytę?

Skrupulatnie omijał wzrokiem futerał.

– Mówił mi pan przez telefon, że będzie do mojej dyspozycji, kiedy tylko o to poproszę.

– Oczywiście, i wciąż to potwierdzam – powiedział Serravalle i też usiadł.

– Nie przeszkadzałbym panu, ale skoro już pan przyjechał na pogrzeb, to chciałbym wykorzystać pańską obecność.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Jak mogę panu pomóc?

– Proszę mnie tylko słuchać.

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Proszę słuchać. Chcę panu opowiedzieć pewną historię. Jeśli pan uzna, że w którymś miejscu przesadzam lub wręcz się mylę, proszę przerwać i mnie poprawić.

– Nie rozumiem, jak byłbym w stanie to zrobić, panie komisarzu. Nie znam historii, którą chce mi pan opowiedzieć.

– Ma pan rację. A więc na koniec podzieli się pan ze mną swoimi wrażeniami. Bohaterem mojej opowieści jest niezłe sytuowany mężczyzna, człowiek o wyrobionym smaku, właściciel znanego sklepu z zabytkowymi meblami, w którym zaopatruje się znakomita klientela. Antykwariat nasz bohater odziedziczył po ojcu.

– Przepraszam – wtrącił Serravalle – gdzie rozgrywa się pańska opowieść?

– W Bolonii – odparł Montalbano i ciągnął dalej: – Jakoś tak w zeszłym roku mężczyzna ten spotyka młodą kobietę z dobrego mieszczańskiego domu. Zostają kochankami. Ich romans pozbawiony jest elementu ryzyka, ponieważ jej mąż, z powodów, o których za długo byłoby teraz rozprawiać, przymyka na to nawet nie jedno, lecz dwoje oczu. Kobieta kocha męża, ale seksualnie czuje się mocno związana z kochankiem.

Przerwał.

– Czy mogę zapalić?

– Ależ oczywiście – powiedział Serravalle i podsunął mu popielniczkę.

Montalbano wyciągał paczkę powoli i wyjął z niej trzy papierosy. Obracał jeden za drugim między palcami, aż w końcu wybrał ten, który wydał mu się najbardziej miękki; pozostałe odłożył do paczki. Wreszcie zaczął się obmacywać w poszukiwaniu zapalniczki.

– Niestety, nie mogę panu pomóc. Nie palę – powiedział antykwariusz.

Komisarz znalazł wreszcie zapalniczkę w kieszeni marynarki, obejrzał, jak gdyby widział ją po raz pierwszy, zapalił papierosa, włożył zapalniczkę z powrotem do kieszeni.

Zanim podjął opowieść, popatrzył zagubionym wzrokiem na Serravallego. Górna warga antykwariusza była wilgotna, zaczął się pocić.

– Na czym skończyłem?

– Na kobiecie, która czuje się związana z kochankiem.

– Aha. Nasz bohater, niestety, ma brzydki nałóg. Jest namiętym graczem, hazardzistą. W ciągu ostatnich trzech miesięcy zostaje trzykrotnie nakryty w nielegalnych szulerniach. Pewnego dnia, proszę sobie wyobrazić, trafia nawet do szpitala, ponieważ został brutalnie pobity. On sam twierdzi, że był ofiarą napadu rabunkowego, ale policja przypuszcza... powtarzam:

przypuszcza... że to ostrzeżenie od wierzycieli. Tak czy inaczej, dla naszego bohatera, który wciąż gra i przegrywa, sytuacja staje się coraz trudniejsza. Zwierza się przyjaciółce, a ta, jak może, próbuje mu pomóc. Przyszło jej do głowy, żeby zbudować sobie tutaj willę, ponieważ bardzo polubiła to miejsce. I oto willa okazuje się szansą: udając, że ma większe wydatki niż w rzeczywistości, może zdobyć dla swojego przyjaciela około stu milionów. Planuje założenie ogrodu, przypuszczalnie również budowę basenu: nowe źródła dochodów na czarno. Ale to tylko kropla w morzu jego potrzeb, daleko do dwustu czy trzystu milionów. Pewnego dnia kobieta, którą dla wygody nazwę tutaj Michelą...

– Chwileczkę – przerwał Serravalle ze śmiechem, który miał brzmieć sardonicznie. – A sam pański bohater jak ma na imię?

– Założmy, że Guido – powiedział Montalbano, jak gdyby chodziło o rzecz drugorzędną.

Serravalle wykrzywił twarz, koszula już mu się przyklejała do klatki piersiowej.

– Nie podoba się panu? Jeśli pan chce, możemy ich nazwać Paolo i Francesca, ale to nie zmieni istoty.

Zaczekał, aż Serravalle coś powie, lecz antykwariusz nie otworzył ust, zatem kontynuował.

– Pewnego dnia w Vigacie Michela spotyka się ze słynnym skrzypkiem, który żyje tu w odosobnieniu. Miło im się rozmawia, więc kobieta wyjawia muzykowi, że ma stare skrzypce, odziedziczone po pradziadku. Myślę, że ot tak, bez specjalnego powodu, pokazuje instrument skrzypkowi, a ten na pierwszy rzut oka stwierdza, że to przedmiot wielkiej wartości, zarówno muzycznej, jak i finansowej. Skarb, którego cena przekracza dwa miliardy. Kiedy Michela wraca do Bolonii, opowiada kochankowi całą historię. Jeżeli sprawy mają się tak, jak mówi maestro, skrzypce spokojnie można sprzedać –

mąż Micheli widział je raz albo dwa, nikt nie zna ich prawdziwej wartości. Wystarczy je zamienić, włożyć do futerału jakieś inne – i Guido raz na zawsze pozbędzie się swoich kłopotów.

Montalbano zawiesił glos, zabębnił palcami w futerał i westchnął.

– A teraz czas na najgorsze – powiedział.

– Cóż – odezwał się Serravalle – jeśli pan chce, może dokończyć następnym razem.

– Mógłbym, ale wtedy musiałbym kazać panu wrócić z Bolonii albo samemu do pana jechać, a to byłoby bardzo niewygodne. A skoro jest pan tak uprzejmy, że chce mnie słuchać cierpliwie, pomimo że kona z gorąca, to wyjaśnię, dlaczego tę część, którą opowiem teraz, uznaję za najgorszą.

– Ponieważ będzie pan opowiadał o morderstwie?

Montalbano spojrział na antykwariusza z rozdziawionymi ustami.

– Myśli pan, że dlatego? Nie, jestem przyzwyczajony do morderstw. Uważam tę część za najgorszą, ponieważ muszę oddalić się od faktów, a wejść w umysł pewnego człowieka, w jego myśli. Powieściopisarz miałby tu ułatwioną sprawę, ale ja jestem tylko zwykłym wielbicielem książek, które uważam za dobre. Proszę mi wybaczyć tę dygresję. A więc nasz bohater zbiera informacje o skrzypku, o którym opowiedziała mu Michela. Odkrywa w ten sposób, że jest on nie tylko wielkim solistą o międzynarodowej sławie, lecz również znawcą instrumentu, na którym gra. Krótko mówiąc, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent maestro nie mylił się co do wartości skrzypiec. Lecz jeśli cała ta sprawa pozostanie w rękach Micheli, to bez wątplenia przeciągnie się jeszcze długo. Na domiar złego Michela będzie chciała sprzedać instrument nie po kryjomu, lecz legalnie: z tych dwóch miliardów – wskutek różnych wydatków, odsetek i działań naszego państwa, które rzuci się jak złodziej, żeby zagarnąć swoją część – pozostanie w końcu

mniej niż miliard. Ale jest droga na skróty. I nasz bohater myśli o tym w dzień i w nocy, rozmawia również ze swoim przyjacielem. Przyjaciel, założmy, nazywa się Eolo...

Trafił, przypuszczenie zmieniło się w pewność. Serravalle jak rażony kulą szybko wstał z krzesła, żeby ciężko opaść na nie z powrotem. Poluzował sobie krawat.

– Tak, nazwijmy go Eolo. Eolo ustala z bohaterem, że jest tylko jedno wyjście: zabić kobietę, wziąć skrzypce, w futerale zaś zostawić jakiś inny, bezwartościowy instrument. Serravalle przekonuje go, żeby mu pomógł. Atutem jest to, że nikt nie wie o jego przyjaźni z Eolem, pewnie poznali się przy stoliku karcianym, Michela też nigdy go nie widziała. Umówionego dnia wsiadają razem do ostatniego samolotu Bolonia-Rzym, który pozwala na przesiadkę do Palermo. Eolo Portinari...

Serravalle zakrztusił się jak dobijany nieboszczyk.

– Co ze mnie za głupek, nadałem mu nazwisko! Eolo Portinari podróżuje prawie bez bagażu, za to Guido ma dużą walizkę. W samolocie obaj zachowują się tak, jakby się nie znali. Tuż przed wylotem do Rzymu Guido dzwoni do Micheli, mówi, że do niej leci, że jej potrzebuje, żeby przyjechała po niego na lotnisko Punta Raisi, Być może daje jej do zrozumienia, że ucieka przez wierzycielami, którzy chcą go zamordować. Kiedy samolot ląduje w Palermo, Guido jedzie z Michelą do Vigaty, a Eolo wynajmuje samochód i jedzie w to samo miejsce, zachowując jednak pewien dystans. Myślę, że podczas podróży bohater zwierza się kochance, że gdyby nie uciekł z Bolonii, przypłaciłby to życiem. Postanowił ukryć się na kilka dni w willi Micheli. Komu przyszłoby do głowy szukać go tak daleko? Kobieta zgadza się, szczęśliwa, że kochanek z nią będzie. Zanim dojeżdża do Montelusy, zatrzymuje się przy barze, kupuje dwie kanapki i butelkę wody mineralnej. Ale potyka się o stopień i upada, Serravalle staje twarzą w twarz

z właścicielem baru. Dojeżdżają do willi po północy. Michela szybko bierze prysznic, wpada w ramiona swojego mężczyzny. Kochają się raz, następnie kochanek prosi ją, by zrobili to znowu, w szczególny sposób. I na zakończenie tego drugiego stosunku przyciska jej głowę do materaca tak mocno, że aż ją dusi. Czy wie pan, dlaczego poprosił Michelę o ten rodzaj stosunku? Na pewno już się kochali tak wcześniej, ale tym razem po prostu nie chce, żeby ofiara patrzyła mu w oczy w chwili, kiedy on ją zabija. Zaraz po śmierci Micheli słyszy z zewnątrz coś w rodzaju lamentu, tłumionego krzyku. Wygląda i w świetle, które bije z okna, widzi, że na pobliskim drzewie stoi podglądacz, za takiego przynajmniej uważa człowieka, który jest świadkiem morderstwa. Nasz bohater wybiega nagi, bierze coś twardego do ręki, uderza nieznanego w twarz, ale temu udaje się uciec. Guido nie ma chwili do stracenia. Ubiera się, otwiera kredens, bierze skrzypce, wkłada do walizki, a z walizki wyjmuje inne, bezwartościowe, które zamyka w futerale. Po kilku minutach nadjeżdża Eolo, przyjaciel wsiada do jego samochodu. Nieważne, co robią potem, nazajutrz są na Punta Raisi, żeby pierwszym samolotem lecieć do Rzymu. Do tej pory naszemu bohaterowi wszystko szło w miarę dobrze, lecz sprawy przybierają znakomity obrót, kiedy z sycylijskich gazet, które studiuje teraz z uwagą, dowiaduje się, że morderca został schwytany, a w dodatku, zanim zginął podczas próby ucieczki, zdążył się jeszcze przyznać do winy. Bohater czuje, że już nie musi czekać na sprzyjający moment, żeby wystawić skrzypce na sprzedaż na czarnym rynku, prosi więc Eola Portinariego, by ten zajął się sprawą. Ale tu rodzi się komplikacja: bohater dowiaduje się, że dochodzenie zostało podjęte na nowo. Chwyta w lot okazję, jaką stwarza mu pogrzeb, i leci do Vigaty, żeby porozmawiać z przyjaciółką Micheli, jedyną, o której coś wie i która jest w stanie mu powiedzieć, jak się sprawy mają. Następnie wraca do hotelu i tu odbiera telefon od Eola: skrzypce są warte zaledwie kilkaset tysięcy lirów.

Nasz bohater rozumie, że został wyruchany, że zamordował na próżno.

– A więc – powiedział Serravalle, który zlany potem wyglądał, jakby umył sobie twarz i zapomniał się wytrzeć – pański bohater wpadł w ten minimalny margines błędu, w ten jeden procent, który przyznał maestrowi.

– Kiedy ktoś nie ma szczęścia w grze... – skomentował komisarz.

– Czy napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję.

Serravalle otworzył minibar, wziął trzy buteleczki whisky, wlał je do szklanki i wypił dwoma łykami.

– To ciekawa historia, komisarzu. Poprosił mnie pan, żebym na zakończenie podzielił się wrażeniami. I, jeśli pan pozwoli, zrobię to. A więc przejdźmy do rzeczy. Pański bohater nie byłby taki głupi, żeby podróżować samolotem pod prawdziwym nazwiskiem, prawda?

Montalbano wysunął z kieszeni kartę pokładową, wystarczająco, żeby antykwariusz ją zobaczył.

– Nie, komisarzu, na nic się to nie przyda. Nawet jeśli karta pokładowa istnieje, to i tak nic nie znaczy. Jeśli jest na niej nazwisko pańskiego bohatera – każdy może się nim posłużyć, nie żądają tam dokumentu tożsamości. A co do spotkania w barze... Mówi pan, że doszło do niego wieczorem i że trwało kilka sekund. Cóż, sąd nie mógłby wziąć takiego zeznania pod uwagę.

– Pańskie rozumowanie trzyma się kupy – powiedział komisarz.

– To pójdę dalej. Proponuję modyfikację pańskiej opowieści. Bohater mówi o odkryciu kochanki niejakiemu Eolowi Portinari, drobnemu bandycie. A Portinari przyjeżdża z własnej inicjatywy do Vigaty i robi wszystko to, co pan przypisuje swojemu bohaterowi. Wynajmuje samochód, pokazując prawo jazdy. Próbuje sprzedać skrzypce, które tak olśniły maestra. Gwałci kobietę, aby udać, że to przestępstwo z namiętności.

– Bez ejakulacji?

– Ależ oczywiście! Ze spermy można by łatwo odczytać DNA.

Montalbano podniósł dwa palce jak uczeń, który chce wyjść do ubikacji.

– Chciałbym skomentować pańskie rozważania. Ma pan całkowitą rację: przeprowadzenie dowodu winy bohatera będzie długie i trudne, ale nie niemożliwe. A więc od dzisiaj bohater będzie ścigany przez dwa dzikie psy: wierzycieli i policję. Jest jeszcze inna sprawa: maestro wcale się nie pomylił, oceniając skrzypce, one naprawdę są warte dwa miliardy.

– Ale przecież...

Serravalle zrozumiał, że właśnie się zdradza, i zamilkł.

– Mój bohater jest bardzo sprytny. Proszę zważyć, że wciąż wydzwania do hotelu, nawet po zamordowaniu Micheli. Ale nie wie o jednym szczególe.

– O jakim?

– Nie, ta historia jest tak niewiarygodna, że chyba jej panu nie opowiem.

– Proszę spróbować.

– Nie czuję się na siłach... No dobrze, zrobię to dla pana. Mój bohater dowiedział się od kochanki, że maestro nazywa się Cataldo Barbera, i zebrał o nim wiele informacji. Proszę teraz zadzwonić do recepcji i kazać się połączyć ze skrzypkiem, którego nazwisko jest w książce telefonicznej. Niech pan porozmawia z nim w moim imieniu i poprosi, żeby opowiedział panu tę historię.

Serravalle wstał, podniósł słuchawkę, powiedział telefoniście, z kim chce się połączyć. Czekał ze słuchawką w dłoni.

– Halo? Czy rozmawiam z maestro Barbera?

Kiedy tylko maestro odpowiedział, Serravalle odłożył słuchawkę.

– Wolę to usłyszeć od pana.

– No dobrze. Pani Michela wieczorem zawozi maestra do willi. Kiedy Cataldo Barbera widzi skrzypce, prawie doznaje omdlenia. Gra na nich i nie ma już najmniejszych wątpliwości: to skrzypce Guarnieriego. Rozmawia o nich z Michelą, mówi jej, że chciałby je pokazać słynnemu znawcy. Równocześnie radzi jej, żeby nie trzymała instrumentu w domu, w którym tak rzadko bywa. Kobieta powierza instrument skrzypkowi, który zabiera go do domu, a w zamian daje jej swoje skrzypce, które ona wkłada do futerału zamiast tamtych. Są to te same skrzypce, które później ukradnie mój bohater. Aha, byłbym zapomniał, po zabiciu kobiety bohater kradnie również worek z biżuterią i zegarek „Piaget”. Jak to się mówi: od przybytku głowa nie boli. Zabiera również ubrania i buty, ale tylko po to, żeby zmylić ślady i uniemożliwić badania DNA.

Wszystkiego się spodziewał, tylko nie takiej reakcji. Z początku myślał, że antykwariusz, który właśnie stał plecami do niego i patrzył w okno, płacze. Potem jednak odwrócił się i Montalbano zobaczył, że z trudem powstrzymuje śmiech. Wystarczyło jednak, że przez chwilę jego oczy spotkały wzrok komisarza, by śmiech wybuchł z całą gwałtownością. Serravalle śmiał się i płakał. Wreszcie, wielkim wysiłkiem, udało mu się nad sobą zapanować.

– Może lepiej, żebym z panem poszedł – powiedział.

– Serdecznie to panu doradzani – odparł Montalbano. – Ci, którzy czekają na pana w Bolonii, mają całkiem inne zamiary.

– Coś jeszcze włożę do aktówki i możemy iść.

Montalbano zobaczył, że pochyła się nad aktówką, która leżała na skrzyni. Coś w jego geście zaniepokoiło komisarza i poderwało na równe nogi.

– Nie! – krzyknął Montalbano. I doskoczył do antykwariusza.

Za późno. Guido Serravalle zdążył włożyć sobie lufę pistoletu do ust i nacisnął spust. Z trudem powstrzymując torsje, komisarz otarł rękami twarz,

z której ściekała kleista, ciepła materia.

Guido Serravalle odstrzelił sobie pół głowy. W małym pokoju hotelowym strzał był tak silny, że Montalbano wciąż słyszał świst w uszach. Czy to możliwe, że nikt jeszcze nie przyszedł, nie zapukał do drzwi i nie spytał, co się stało? „Albergo della Valle” został zbudowany pod koniec XIX wieku, miał grube, solidne ściany, ponadto o tej porze wszyscy goście pewnie spacerowali i robili zdjęcia świątyni.

Komisarz poszedł do łazienki, wytarł, jak mógł najdokładniej, dłonie lepkie od krwi, podniósł słuchawkę.

– Mówi komisarz Montalbano. Na waszym parkingu jest samochód policyjny, wezwijcie kierowcę. I przyślijcie tu natychmiast dyrektora.

Pierwszy zjawił się Gallo. Kiedy zobaczył przełożonego z krwią na twarzy i na ubraniu, przestraszył się.

– Komisarzu, jest pan ranny?

– Spokojnie, to nie moja krew, tylko tamtego.

– A kto to?

– Morderca Micheli Licalzi. Tylko na razie nikomu nic nie mów. Leć do Vigaty i powiedz Augellowi, żeby zadeszował do Bolonii: muszą mieć na oku takiego drobnego bandytę, na pewno mają go w kartotekach, nazywa się Eolo Portinari. To jego wspólnik – zakończył, wskazując samobójcę. – Aha, i potem szybko tu wracaj.

W drzwiach Gallo odsunął się na bok, żeby przepuścić dyrektora, chłopisko o dwóch metrach wysokości i proporcjonalnej szerokości. Na widok ciała z rozłupaną głową i upapranego pokoju wybąkał pytające „e?”, jak gdyby nie dosłyszał jakiegoś pytania, po czym upadł w zwolnionym

tempie na kolana, aż wreszcie, bez przytomności, runął twarzą na podłogę. Reakcja dyrektora była tak natychmiastowa, że Gallo nie zdążył wyjść. We dwóch zaciągnęli go do łazienki, oparli o ścianę wanny, Gallo wziął prysznic, odkręcił wodę i polał mu głowę. Dyrektor prawie od razu się ocknął.

– Co za szczęście! Co za szczęście! – mamrotał, wycierając twarz.

Montalbano patrzył na niego pytająco, więc dyrektor wyjaśnił, potwierdzając jego przypuszczenia.

– Grupa japońska zdążyła już wyjść z hotelu.

Zanim przybyli sędzia Tommaseo, doktor Pasquano, nowy szef oddziałów specjalnych i sędziówka, Montalbano musiał się przebrać, ulegając prośbom dyrektora, który zechciał mu pożyczyć swoje ubrania. W ubrania chłopiska wszedłby dwa razy – z dłońmi zagubionymi w rękawach, w spodniach, które zginały mu się na butach w harmonijkę, wyglądał jak karzeł Bagonghi. I to go wprowadzało w znacznie gorszy humor niż opowiadanie wszystkim wciąż na nowo szczegółów zdemaskowania mordercy i jego samobójstwa. Po niezliczonych pytaniach i odpowiedziach, uwagach i spostrzeżeniach, rozmaitych „jeśli”, „być może”, „lecz” oraz „jednak”, mógł wrócić do komisariatu w Vigacie dopiero około wpół do dziewiątej wieczorem.

– Zmalaleś? – spytał Mimi na jego widok.

W ostatniej chwili zdołał uniknąć ciosu Montalbana, który, gdyby trafił, rozwaliby mu nos.

Nie musiał wołać „wszyscy!”, bo wszyscy zjawili się spontanicznie. I komisarz dał im taką satysfakcję, na jaką zasługiwali: opowiedział dokładnie całą historię – od pierwszych podejrzeń, jakich nabrał wobec Guida Serravalle, do tragicznego zakończenia. Najbardziej przytomnie odezwał się Mimi Augello.

– To dobrze, że strzelił sobie w łeb. Trudno byłoby zatrzymać go w więzieniu bez konkretnych dowodów. Dobry adwokat natychmiast by doprowadził do jego uwolnienia.

– Przecież on też popełnił samobójstwo! – wykrzyknął Fazio.

– O co ci właściwie chodzi? – spytał Mimi.

– Z biednym Maurizem Di Blasi było tak samo! Skąd wiecie, że wychodząc z groty z butem w ręku, nie miał nadziei, że tamci strzelą do niego, pewni, że trzyma broń?

– Przepraszam, komisarzu, ale dlaczego wołał, żeby go ukarać? – spytał Germana.

– Ponieważ widział morderstwo, któremu nie umiał zapobiec – zakończył Montalbano.

Kiedy wychodzili z gabinetu, przypomniał sobie o czymś, czego jeśli nie zrobiłby od razu, to nazajutrz mógłby zapomnieć o tym na śmierć.

– Chodź tu, Gallo. Słuchaj, musisz pojechać do naszego warsztatu. Weź wszystkie papiery, które są w twingo, i przywieź mi je. Porozmawiaj z właścicielem i powiedz, żeby zrobił preliminarz za naprawę. Po naprawie, jeśli chce się zająć sprzedażą samochodu, to niech się zajmie.

– Komisarzu, czy przyjmie mnie pan na jedną minutkę?

– Wejdz, Catarella.

Catarella był czerwony na twarzy, zmieszany i zadowolony.

– Co jest? Mów.

– Dostałem ocenę za pierwszy tydzień, komisarzu. Kurs informatyki trwa od poniedziałku do piątku rano. Chciałem panu pokazać.

Była to kartka złożona na pół. Zebrał same celujące, a w rubryce „uwagi” było napisane: „Najlepszy kursant w grupie”.

– Znakomicie, Catarella! Jesteś flagowym policjantem naszego komisariatu!

Niewiele brakowało, a Catarella by się rozplakał.

– Ilu jest was na kursie?

Catarella zaczął liczyć na palcach:

– Amato, Amoroso, Basile, Bennato, Bonura, Catarella, Cimino, Farinella, Filippone, Lo Dato, Scimeca i Zicari. Dwunastu, komisarzu. Gdybym miał pod ręką komputer, policzyłbym szybciej.

Komisarz złapał się za głowę.

Czy przed ludzkością jest jeszcze jakaś przyszłość?

Z warsztatu wrócił Gallo.

– Rozmawiałem z właścicielem. Chce się zająć sprzedażą. W schowku była książka wozu i karta drogowa.

Położył wszystko na biurku komisarza, ale nie odszedł. Był jeszcze bardziej zmieszany niż Catarella.

– Co się dzieje?

Gallo nie odpowiedział, podał mu papierowy prostokąt.

– Znalazłem to pod przednim siedzeniem, po prawej stronie.

Była to karta pokładowa samolotu relacji Rzym-Palermo, tego, który lądował na Punta Raisi o dziesiątej wieczorem. Na odcinku widniała data: środa ubiegłego tygodnia. Pasażer nazywał się G. Spina. Dlaczego – zapytał się w duchu komisarz – ci, którzy wymyślają sobie pseudonimy, prawie zawsze zachowują swoje prawdziwe inicjały? Guidowi karta wypadła w samochodzie Micheli. Po zabójstwie nie miał już czasu jej szukać albo myślał, że wciąż ma ją w kieszeni. Oto dlaczego, rozmawiając z nim, zanegował jej istnienie i zasugerował, że nazwisko pasażera było fałszywe.

Ale mając tę kartę, dałoby się jednak, choć z pewnym trudem, odkryć tożsamość pasażera.

Dopiero teraz zorientował się, że Gallo wciąż stoi przed jego biurkiem, z poważną miną. Słabym głosem powiedział:

– Gdybyśmy zajrzeli do tego samochodu wcześniej...

No właśnie, gdyby przeszukali twingo nazajutrz po znalezieniu zwłok, śledztwo od razu by weszło na właściwą drogę, Maurizio Di Blasi by żył, a prawdziwy zabójca siedziałby w więzieniu. Gdyby...

Wszystko, od samego początku, było serią pomyłek. Maurizio został wzięty za zabójcę, but za pistolet, jedne skrzypce zostały pomyłone z drugimi, te drugie z trzecimi, a Serravalle chciał, żeby go wzięto za Spinę... Za mostem zatrzymał się, ale nie wysiadł. W domu Anny paliło się światło. Czuł, że ona na niego czeka. Zapalił papierosa, wypalił połówkę, wyrzucił resztę przez okno, włączył silnik i ruszył.

Nie chciał dopisać do listy kolejnej pomyłki.

Wszedł do domu, zdjął ubrania, które robiły z niego karła Bagonghi, otworzył lodówkę, wziął kilka oliwek, ukroił kawałek sera.

Usiadł na werandzie. Noc była jasna, morze lekko poruszone. Nie chciał już tracić czasu. Wstał, wybrał numer.

– Livia? To ja. Kocham cię.

– Co się stało? – spytała podenerwowana Livia.

Przez cały czas trwania ich związku Montalbano wyznawał jej miłość tylko w trudnych, a nawet wręcz niebezpiecznych momentach.

– Nic. Jutro rano jestem zajęty, muszę napisać długi raport dla kwestury. Jeżeli nie będzie komplikacji, po południu wsiądę do samolotu i przylecę.

– Czekam – odpowiedziała Livia.

Od autora

W tym czwartym śledztwie komisarza Montalbano (gdzie wysane z palca są nazwiska, miejsca i sytuacje) swoją rolę odgrywają skrzypce. Autor, podobnie jak jego bohater, nie czuje się upoważniony do rozprawiania o muzyce czy instrumentach muzycznych (przez jakiś czas, ku rozpaczy sąsiadów, usiłował ćwiczyć grę na saksofonie tenorowym), zatem wszelkie informacje zaczerpnął z książek, które skrzypcom poświęcili S. F. Sacconi i F. Farga.

Doktor Silio Bozzi pozwolił mi uniknąć błędów „technicznych” w prezentacji śledztwa; jestem mu za to wdzięczny.